

Magdalena Samozwaniec

***tylko dla
mężczyzn***

z ilustracjami
Gwidona Miklaszewskiego

glOb
1990

Zdjęcie na okładkę
NORBERT KOMAN
Projekt okładki
JÓZEF KRZYŻANOWSKI

© Copyright by Wydawnictwo ŚLĄSK, 1958

ISBN 83-7007-290-9

Wydawnictwo GLOB Szczecin 1990
Wydanie trzecie. Nakład 49 750 + 250 egz.
Ark. wyd. 10,0 Ark. druk. 11,5
Papier offset, kl. III, 70 g, rozł. 61 cm
Łódzka Drukarnia Dzielowa
Łódź, ul. Rewolucji 1905 r. nr 45
Nr zam. 884/1100/89

*Mojemu kochanemu mężowi,
Zygmuntowi Niewidowskiemu*

JAK BYĆ SZCZĘŚLIWYM W MAŁŻEŃSTWIE

(rady i wskazówki)

„Gdyby mężczyzna nie miał się zestarzeć,
nie życzyłbym mu w ogóle małżeństwa”.

NAPOLEON I

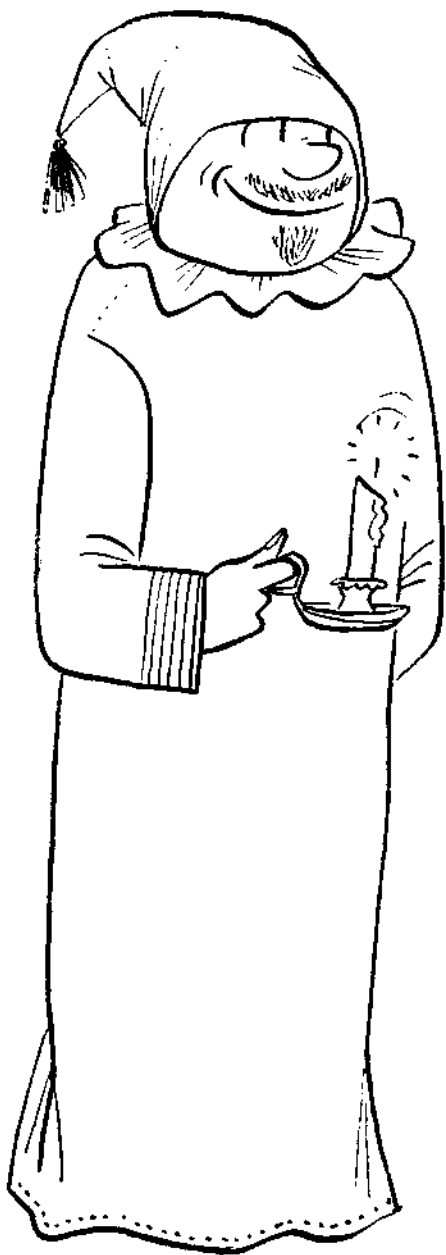
„Małżeństwo jest umiejętnością”.

BALZAC

Wstęp

Od czasu nieocenionej *Fizjologii małżeństwa* Balzaca dużo czasu upłynęło, a marzenia tego wielkiego reformatora życia małżeńskiego, tak niedościgłe wówczas, wcieliły się dziś w życie drogą ewolucji i postępu: panny flirtują przed ślubem (jak pan Balzac przykazał). Jego nieśmiałe życzenie, żeby małżeństwa sypiały oddzielnie, jest dziś częstym wypadkiem. „Proroki” nie rodzą się co roku, jak to dawniej bywało, a panowie w wieku balzakowskim (to znaczy takim, w jakim był Balzac pisząc swoją *Fizjologię*) nie sypiają w szlafmycach lub fularach na głowie, co im ten wielki pisarz miał tak bardzo za złe.

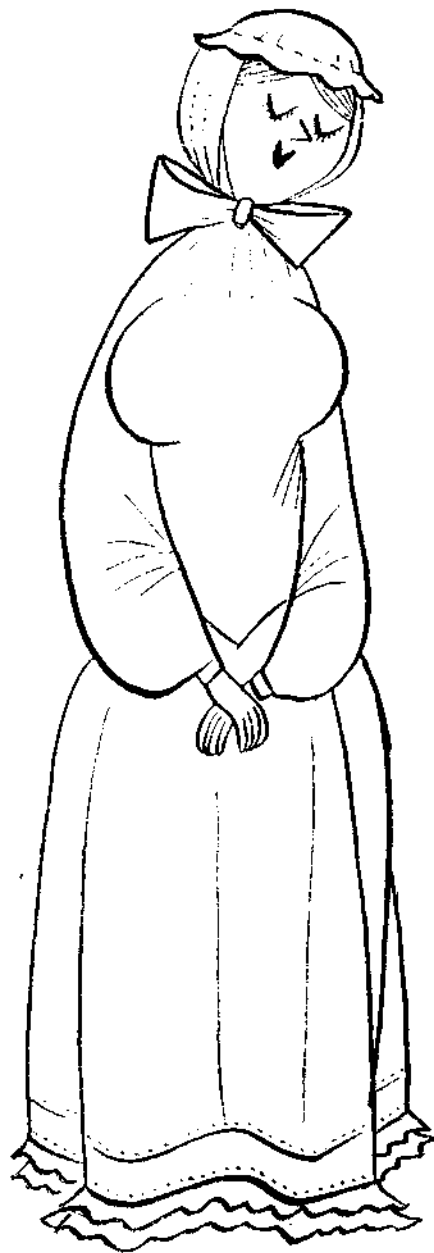
Balzac w swoim dziele zajmuje się przeważnie nieuniknioną według niego zdradą żony, przeciwko której podaje mężom wiele drogocennych rad i wskazówek. Ten genialny humorysta rozumiał doskonale, że niemożliwą rzeczą dla kobiety było nie zdradzić takiej „baby-dziada” w szlafmycy, w długiej nocnej koszuli, śmiesznego nocnego Marka, włóczącego się po korytarzach ze świeczką, jak nam to pokazują staro-świeckie karykatury i shtychy. Ówczesne żony też nie były tak atrakcyjne, jak dzisiejsze. Nosiły one kaftaniki zapięte pod szyję, a na głowie czepce. Wiadomo jednak, że kobieca uroda ma taką siłę promieniowania, iż najciotliwsze płótna i najmniej przezroczyście perkalę zawsze ją przepuszczają. Balzakowski mąż zaplątany w długie giezło i fulary, wyglądający raczej na jakąś kuzynkę swojej matki, do którego żona mogłaby zawołać słowami Boya: „Moja ty luba pieszczotko, bądźże mi choć ciotką”,



nakazane miał z góry przez swojego ojca, żeby „nie robić z żony kochanki”. To pobożne życzenie ojcowskie do niedawna miało jeszcze wśród młodych mężów wielu zwolenników. Cóż więc miała robić dawna śliczna mężateczka, jeśli nie znaleźć sobie amanta, który romantycznie zakradając się podczas nieobecności pana domu do jej alkowy, pięknie odziany, utrefiony i „larendogry” skropiony, w niczym nie przypominał „ciociobabki” w szlafmocy. Mężczyźni nie zawsze — jeśli chodziło o małżeństwo — przypadało prawo wyboru, pannę po prostu rodzice wydawali za mąż. Urządzali za jej plecami istne Targi Wschodnie, tłumacząc jej pobożnie, że „mąż i żona od Boga przeznaczona”, po czym wiedli to niewinne białe jagnię do ołtarza, zacierając ręce, że dwa majątki, dwa stare nazwiska lub dwa dobrze prosperujące sklepy połączą ze sobą. Niewiniątko nie bardzo się bronilo (co prawda małżeństwo miało zawsze dla panien nieodparty urok), nawet jeśli kandydatem był pan starszy lub pan łysy. Oprócz własnego domu i własnych mebli dawało małżeństwo jeszcze i inne poboczne przy-

jemności, jako to, że się będzie wreszcie dorosłą osobą, że się będzie mogło wszystko czytać, a w powozie będzie się siedziało na głównym siedzeniu, nie jak dotąd na małej ławeczce. Handel niewolnicami kwitł, jeśli chodziło o małżeństwo, w tych dawnych, nieprzyzwoitych czasach (z tą różnicą tylko, że się nabywcy do towaru jeszcze dopłacało). Niewolnica, pokorna i potulna, porósłszy w małżeńską pierzynę, nabierała z wolna pewności siebie, stawała się królową, wymagającą dla siebie honorów, atencji, powozów i biżuterii.

W majątnych domach taka królowa matka dostawała za każdego bachora (a co rok to prorok) jakąś kosztowną biżuterię. (Klnę się na zaślinioną brodę takiego „proroka”, że u jednej starszej damy sterczały na wszystkich palcach „urodzinowe” pierścionki, a ona, rachując na owych palcach, mówiła: — „Ten za Jacusia, ten za Melasię, ten za Pawelka” — etc.) Żona rozrastała się, rozwijała, mnożyła, a mąż kurczył się, małał, w końcu stawał się dla niej, tak jak określił to jeden Francuz, „służącym danym kobiecie przez naturę”.



Dziś, kiedy małżeństwa z woli rodziców niemal się nie zdarzają, kiedy nikt nikogo nie kupuje i nic nikomu nie jest „winien”, kiedy mężowie chodzą spać bez szlafmycy, a młodzi pobierają się z miłości lub czystej fantazji, zdrada żony nie jest rzeczą konieczną i z góry przewidzianą, jak za czasów Balzaca. Mąż, tak zwany rogacz, ośmieszony przez lekką literaturę francuską biedaczysko, który nie zdradzał żony z braku powodzenia u kobiet, też wyszedł całkiem z obiegu. Dzisiejsze małżeństwa albo się zdradzają nawzajem i nie mają sobie nic do wyrzucenia, albo też rozchodzą się, żeby wstąpić w związek małżeński po raz drugi. Wielkie tragedie małżeńskie, jeśli się nawet zdarzają, to zwykle na tle katastrof finansowych, a nie uczuciowych. Najnowszy zaś model małżeństwa — to małżeństwo sportowo-koleżeńskie, gdzie narty i kajaki zastępują (do czasu) smoczki i kołyski, a wzajemna przyjaźń zastępuje z powodzeniem dawny „obopólny szacunek”. Inna kwestia, że w sportowej żonie-koleżance też zaczyna z biegiem lat rosnać, jak w piecu, „baba”, a w mężu-koledze — ponurak, ale wszystko to razem nie jest groźne i w niczym nie przypomina dawnych nieszczęśliwych małżeństw, które dźwigały jarzmo życia, jak dwa gryzące się konie w jednym zaprzęgu. Dla tego nowego typu małżeństw postaraliśmy się (pisarze „serio” piszą zawsze o sobie „my”) zebrać wiele cennych spostrzeżeń, rad i wskazówek, które mogą, jeśli nie wiele dobrego zdziałać, to w każdym razie wywołać zastanowienie łącznie z pogodnym uśmiechem.

Wady i zalety małżeńskiej instytucji

Pewien chłopiec, gdy nauczyciel zapytał go w szkole, jakie są grzechy główne, odpowiedział bez namysłu: „lakomstwo, małżeństwo i świństwo”. To oczywiście anegdota, ale czyż małżeństwo w wielu wypadkach nie jest ciężkim grzechem? Małżeństwa ludzi chorych, a poza tym tak zwane małżeństwa z rozsądku można śmiało zaliczyć do tej kategorii. W życiu zwierząt istnieją podobno wszystkie seksualne zbo-

czenia, nie istnieje tylko jedno — miłość interesowna, kjarzenie się dla poprawienia sobie bytu. Gdyby na przykład stara, chora jaskółka miała najlepiej urządzone i zaopatrzone gniazdko, nie będzie mieć przez to większego powodzenia u jaskółczych samców, jakby to mogło się zdarzyć u ludzi. Ktoś powiedział kiedyś słusznie, że małżeństwo zostało wymyślone dla kobiet i dzieci. Wszystkie kobiety dążą do małżeństwa, wszyscy mężczyźni do romansu. Najmądrzejsza kochanka będzie zawsze pod tym względem niepewnym przyjacielem mężczyzny. Być na starość legalnie utrzymywaną przez mężczyznę — oto ciche marzenie każdej kobiety. Ilość uwiedzionych „na małżeństwo” młodych chłopców jest na pewno nie mniejsza niż ilość uwiedzionych przez nich „na romans” młodych dziewcząt. Uwiedzionych „na małżeństwo” młodych ludzi nikt nie

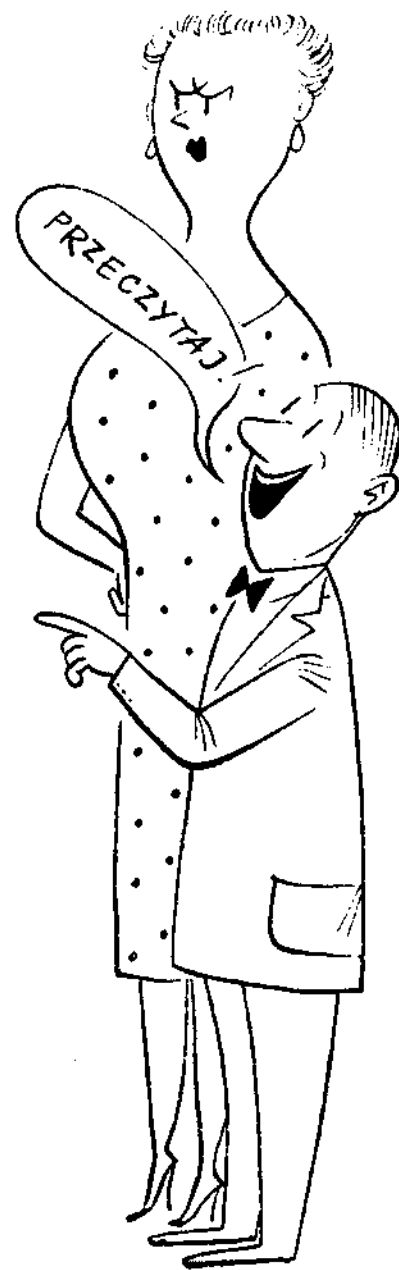
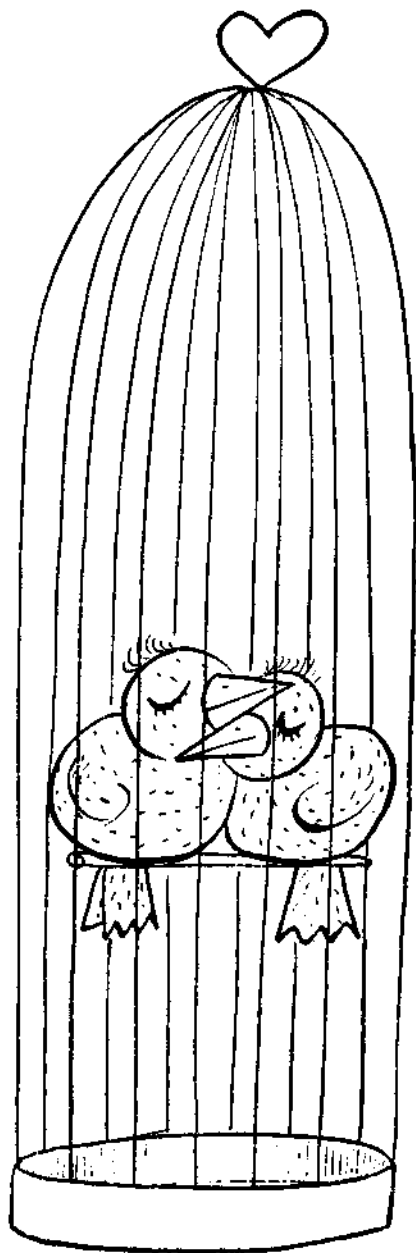


żałuje, chociaż są często tak bardzo pożałowania godni. Żenią się nieraz tylko przez uczciwość z chytrym a dramatyzującym dziewczęciem, często zupełnie dla nich nieodpowiednim jako sfera i kultura, a doszedłszy później do poważnego i odpowiedzialnego stanowiska, muszą całe życie iść koło ordynarnego babsztyla, plotkującej kumoszki, jakiejś „sabat-mater”, która utrudnia im stosunki z ludźmi i ciężką wspinaczkę ku świetnej karierze. Żenić powinni się ludzie albo tuż przed, albo po trzydziestce, bo wtedy mniej więcej zdają sobie sprawę z doniosłości tego zdarzenia. Małżeństwa niedorostków zwykle kończą się smutno: albo następuje rozwód, albo też są całe życie z sobą nieszczęśliwi. Gdyby zawarcie małżeństwa związane było z tyłoma trudnościami co (nawet dzisiaj) uzyskanie rozwodu, to ilość obrońców konsystorskich zmniej-

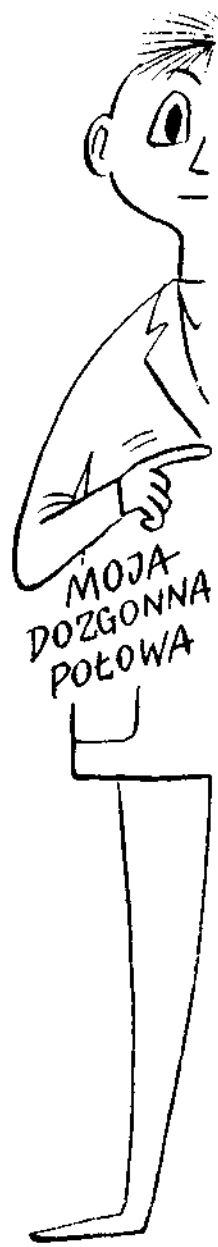
szyla by się do minimum. Trzeba wziąć pod uwagę, że małżeństwo, jako takie, w świecie zwierzęcym nie istnieje właściwie wcale. Dozgonną wierność małżeńską obserwować można tylko u parki zamkniętej w jednej klatce w jakimś ogrodzie zoologicznym.

W dżungli, na swobodzie, o żadnych małżeństwach nie ma mowy; każda papużka może być chwilową żoną papuziego samca, każdy lew — przygodnym mężem lwicy. I właśnie dlatego, że małżeństwo jest tak ściśle ludzkim wynalazkiem, zawiierać je powinny osobniki antyzwierzęce, posiadające trochę kultury i inteligencji. Jak wyglądają małżeństwa takich *des bêtes humaines*,* wiemy dobrze z rubryki zbrodni w codziennych pismach. Mąż pijak zabija żonę, ojciec „litościwy” topi, jak kota, własnego synka, tłumacząc się potem w sądzie, że uczynił to z biedy itd. Szczególnie zabijanie własnych żon weszło tak u tego rodzaju ludzkich zwierząt w modę, że do przysięgi ślubnej powinno być dodane: — „A iż cię nie zabiję aż do śmierci — amen!”

* (fr.) ludzkich bestii.



Kobiety, jak już wspomnieliśmy, lubią wychodzić za mąż; nie można im się zupełnie dziwić, ponieważ w rozmaitych warunkach ciągną one z tej instytucji daleko większe beneficyja niż mężczyźni. Szczególnie w dzisiejszych czasach, kiedy jest tyle kobiet, mieć zawsze kogoś, kto odprowadzi do domu i zapłaci za kawę, jest rzeczą przyjemną i praktyczną. Poza tym małżeństwo jest trochę tak, jak okręt: trudno mężowi z niego uciec; nawet gdy się najbardziej obrazi i pogniewa, zawsze musi wrócić do domu, gdzie ma swoje rzeczy we wspólnej szafie. Kobiety nie powinny zapominać, że mężczyzna przez swoją fizyczną naturę nie jest zupełnie do małżeństwa i wierności stworzony — wprost przeciwnie — i że małżeństwo zadaje gwałt jego wielożennej naturze. Jako kawaler miewał on różne, dłuższe lub krótsze romanse (czasem po kilka naraz), które kończyły się bez adwokata i bez zgody obu stron. Gdy się ożeni, każą mu nagle zmienić zupełnie tryb życia, musi „żyć” ciągle w tych samych warunkach, ciągle z jedną i tą samą, która — jak każda kobieta — mogła



mu się po prostu fizycznie sprzykrzyć. Każde uczucie ma, tak samo jak każda rzecz w przyrodzie, swój okres pączkowania, dojrzewania i przekwitania. Gdyby zostawić wolną rękę przyrodzie, to każda miłość trwałaby tak długo, jak dojrzewanie, owocowanie i przekwitanie na przykład poziomki. Ale tak samo, jak kultura ogrodnicza doprowadziła do tego, że są poziomki, które kwitną i dojrzewają po raz drugi w jesieni, tak samo kultura miłości powinna doprowadzić do tego, żeby każde uczucie po czasowym przekwitnięciu zakwitło na nowo. Ale do tego, podobnie jak do poziomki jesiennej, potrzeba ciepła. A ciepło w miłości to nie szal „namiętności”, który można „między filmy włożyć”, ale wzajemne zrozumienie i serdeczność, której tak często w małżeństwie brakuje.

U długoletnich kochanków nawroty uczucia, szczególnie po dłuższym niewidzeniu się, są bardzo częstym wypadkiem. Miłość to „cygańskie dziecko”, które nie znosi za wielkich wygod i ułatwień. To tak trochę, jak gdyby się taternika chciało wozić na szczyty kolejką; od razu by mu się taternictwa



odechciało, a piękne widoki górskie, dostępne, ułatwione, straciłyby dla niego zupełnie urok. Ślub, błogosławieństwo ciotek i babek — to dla miłości taka właśnie kolejka.

Poza tym nad małżeńskim łóżem nie wisi wypisane, jakby to mogło być w gnieździe kochanków: Śmiejmy się, może nasza miłość potrwa jeszcze tylko dwa tygodnie!”, ale mrozące krew w żyłach, straszne jak jakieś *memento mori*:* „na zawsze!” Wszystko na ziemi jest niepewne i nietrwałe; świetnie prosperujące miasta, urządzone jak najbardziej „na zawsze”, zmiotane bywają z powierzchni ziemi przez wojny i żywiołowe katastrofy. Lodowce na oceanie miażdżą najsilniejsze, na oko niezniszczalne, transatlantyki; jedno tylko małżeństwo ma być wyjęte spod ogólnego prawa jako nierozzerwalne, niezniszczalne, chyba przez śmierć jednego z małżonków. Dzisiaj, kiedy coraz częstsze rozwody zostawiają zawsze w półprzymkniętą furtkę do ucieczki, ilość udanych, lubiących się małżeństw wzrośnie na pewno, mimo że ponure określenie: „moja dozgonna połowa” wyjdzie zupełnie z użycia.

Towarzysz podróży

Co tu dużo gadać, jedziemy wszyscy na wielkiej kuli w podróż po wszechświecie: „Rajd w nieznaną z wiadomą stacją końcową”.

Samemu jechać — z początku zabawnie, ale, podobnie jak na okręcie, po pewnym czasie samotność i rozmówki z samym sobą zaczynają być pozbawione soli i pieprzu. Rozglądamy się wówczas za towarzyszem, a kiedy go znajdziemy, podróż zaczyna nabierać dla nas zupełnie nowego uroku.

Jest komu powiedzieć: — „O, mewy!”, pokazać komuś zachód słońca (który tamten widzi zresztą równie dobrze, jak my). Potem idzie się razem na obiad, który w towarzystwie też zupełnie inaczej smakuje.

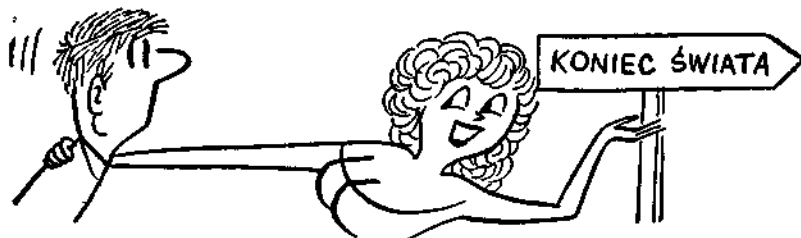
Gdy towarzysz podróży okaże się wyjątkowo miłym kom-

* (łac.) pamięć śmierci.

panem, mamy ochotę, żeby nas nigdy nie opuścił, żeby z nami poszedł wszędzie (nie na koniec świata, bo takowy nie istnieje, ale na koniec korytarza, do naszej kajuty).

Zupełnie tak samo jest w życiu; samemu żyć bardzo miło i swobodnie, ale do czasu — z biegiem lat robi się zimno i smutno. Rodzina własna, matka, ojciec, rodzeństwo — to nie to; na ogół kwaśno i krytycznie do człowieka ustosunkowani, nie dają nam potrzebnego do życia ciepła.

Instykt jechania na kuli ziemskiej we dwójkę jest tak silny, że nieraz słyszy się młodych ludzi, wrogo na ogół do małżeństwa usposobionych, którym się wyrwie powiedzenie w rodzaju: — „Jak to smutno wracać wieczorem do pustego mieszkania, gdzie nikt się do człowieka nie ucieszy, gdzie nie ma z kim pogadać...”



Przypomnijmy sobie także, jak strasznie jest chorować samemu, jak bardzo blisko jest się wówczas „tamtego świata”, nawet gdy się choruje tylko na zwyczajną gripę. Kto nie chorował tak nigdy, sam na sam z sobą, nie wie, co to za tragedia i jak bardzo potrzeba wówczas nie kogoś, kogo się zna od dziecka (mamy przerażonej i jęczącej, znudzonej siostry etc.), ale właśnie takiego sympatycznego towarzysza podróży, który położy rękę na głowie i zamiast pogarszać stan chorego ponurym nastrojem, opowie dla rozweselenia jakiś „nowy kawał”, który się zwykle zna od dawna, ale który znów wprowadzi człowieka *en plein** w ten świat znajomy, stary, erotyczny i nie pozbawiony humoru.

* (fr.) całkowicie, w pełni.

W tym wszystkim, oczywiście, jest dużo marzycielstwa, bo ów upragniony towarzysz podróży, gdy się jest chorym, bywa często nieznośny, znudzony i ucieka z domu. Towarzyszka podróży wita zapóźnionego męża (który tak marzył kiedyś o tym, żeby wróciwszy do domu „mieć z kimś pogadać”) taką Niagarą nieprzyjemnych słów, że mu „pogawędka” zbrzydnie na długo. Mimo to jednak życie bez towarzysza podróży jest dużo groźniejsze i bardziej ponure niż we dwoje, o czym zresztą dobrze wiedzą wszyscy ci, którzy bez oczywistego powodu, po prostu „dla towarzystwa”, żenią się lub wychodzą za męża.

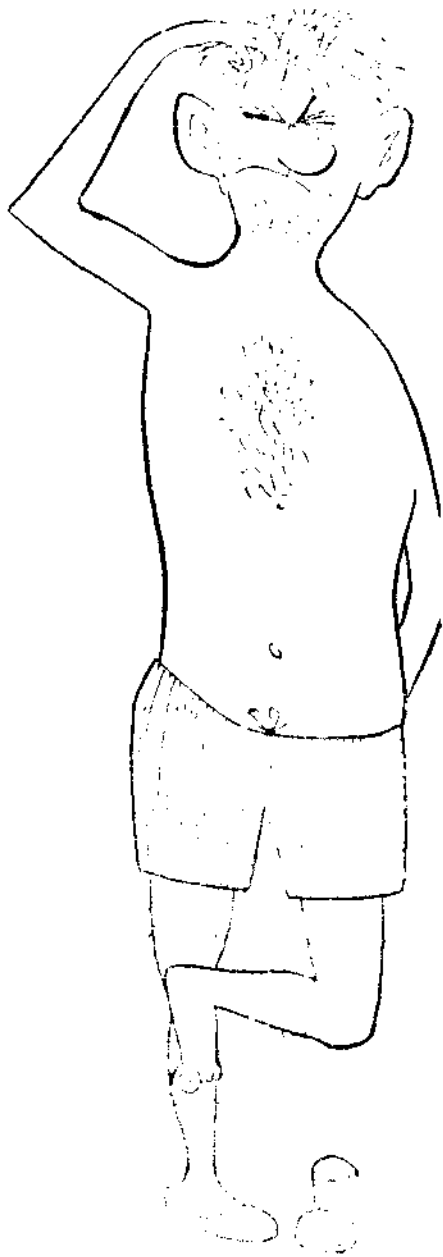
Jak się należy zachować podczas tej wspólnej podróży przez życie?

Shaw powiedział, że „nie urodził się jeszcze ten, kto by był naprawdę wart kochania”. Może w tym powiedzeniu jest i dużo prawdy, ale Shaw, jako świetnie zasuszony staruszek, zapomniał, że zmysły to guśla i czary, które rozkazują nam kochać całkiem czasem niewartego miłości osobnika.

Nieraz, będąc na jakimś ślubie, widzimy rozanieloną twarz panny młodej, uśmiechającej się miło do swego całkiem nieatrakcyjnego pana młodego; ma się ochotę zawołać wówczas jak ów guślarz w *Dziadach*: „Czegóż uśmiechasz się, czego? Co w nim widzisz wesołego?” Zmysły nakładają nam na oczy różowe okulary, przez które przyszłe życie z ukochanym lub ukochaną wydaje nam się też różowe.

Odświętne stroje państwa młodych (nie wiadomo, dlaczego tak bardzo galowe?) mają, że życie tych państwa popłynie po różach i kwiatach pomarańczy. Ale któż potrafi być dla partnera długo-takim „szczęściem”?

Mąż wraca powoli do swoich nawyczek, przeciąga się, ziewa, pali cygaro, chodzi po domu w pantoflach, wieczorem ucieka do swojego klubu. Żona smaruje na noc twarz kremem tak, że wygląda jak jakaś „córka króla smalcu”, nakręca włosy na papierki, pokazuje się mężowi w przydeptanym starym



kimonie, bo ktoś by tam się krępował ze swoją „drugą połową” (to utarte określenie na pewno narobiło w małżeństwie dużo szkód). Uroczą białą damą z fotografii poślubnej chowa koronkową bieliznę do szafy, na jakąś specjalną „czarną godzinę”.

Ślubny cuduś we fraku, położywszy się do łóżka, zasypia bezkarnie jak długi, rano nosi na głowie czarną siatkę, spod której wystają mu uszy jak u nietoperza — i mówi, że go coś boli. Szwenda się po wspólnej sypialni, z bezwstydem maminego synka, w swoich czarujących męskich kombinacjach, w których wygląda jak nieudany tyrolezyk z kolanami na wierzchu...

Żeby to wszystko, ta cała bezkarna bezżenada małżeńska nie popsuka uczucia, potrzeba wielkiej obustronnej wyrozumiałości i jakiegoś ciągłego rozczulania się nad tym drugim, co się tak często zdarza u kochanków, kiedy, patrząc na przykład na śpiącego nie ogolonego przyjaciela myśli się: „kochanie moje, jak to potrafi czasami paskudnie wyglądać”...

Probierzem tego uczucia, pokładającego nie na jakiejś wście-

klej namiętności, ale na bezbrzeżnym lubieniu się, jest to, czy się lubi wszystkie przedmioty należące do tego drugiego, czy też przeciwnie, wzbudzają one odrazę i niesmak. Ubranie męskie na przykład, leżące na krześle we wspólnej sypialni, jakież rozczulenie budzi w kochającej kobiecie! Zachowuje ono jeszcze formy jego figury, wydecie ulubionych mięśni i przyjemnie jest go się dotknąć.

W jednej ślicznej nowelce francuskiej mąż, którego żona porzuciła na zawsze i który na pozór przyjął to spokojnie, rozplakał się z żalu i tęsknoty dopiero wówczas, gdy po kilku tygodniach rozstania znalazł na dnie szafy zapomniane przez nią różowe majteczki.

Ten człowiek kochał naprawdę, i czytelnik, przeczytawszy ten szczegół, jest głębiej o tym przekonany, niż gdyby autor zmusił owego męża do napisania do niej błagalnego miłostkowego listu. Gdy się odczuwa żywą sympatię do przedmiotów tego drugiego, to wówczas nie istnieją tak zwane obowiązki. Wszystko jest przyjemnością i zabawą, czy przyszy-



cie guzika, czy — gdy się jest razem w podróży — wypranie jego chustek do nosa, wyprasowanie krawata etc.

O tym, czy się lubi danego człowieka „ze wszystkim”, z butami, koszulą i grzebieniem, można się już przekonać w narzeczeństwie, a gdy tak nie jest, nie daj Boże wychodzić za niego za mąż: niechęć do przedmiotów narzeczonego przejdzie w jakiś czas później i na niego — i wówczas ze wspólnej podróży, która mogłaby być taka miła, robi się jakaś ciężka przeprawa przez moczary i bagna, pełne żab i pijawek.

Mężczyźni czasem zupełnie fetyszowo lubią nasze niektóre suknie i zawsze chcieliby nas w nich widzieć, nie zdając sobie sprawy, że owe suknie niszczą się lub wychodzą z mody. Jeszcze w kilka lat po ślubie upominają się: — „Czemu nigdy nie włożysz tej miłej niebieskiej sukienki, w której cię poznałem?”

Inna kwestia, że owa sukienka na pewno nie była niebieska, tylko na przykład zielona — pamięci kolorystycznej mężczyźni zwykle nie mają — ale to nic nie szkodzi i mądra żona powinna sobie sprawić podobną, choć zmodernizowaną, a mąż zareaguje na nią atakiem odnowionej czułości.

Które wady i zalety popłacają w małżeństwie ?

Smutne to, ale prawdziwe: w każdej miłości popłacają wady charakteru i zalety ciała. W małżeństwie, które jest walką o życie (o życie szczęśliwe), dobroć wyzyskiwana jest przez tę drugą stronę w sposób bezwzględny. Anioły bywają najbardziej przez mężów zdradzane. Idąc z piękną wydrą do kina lub do teatru, mężowie opowiadają jej o tym, jakimi to „aniołami” są ich żony. Poczciwy, dobry, oddany mąż-pies, z gatunku „wiernusiów”, to zawsze materiał na typowego rogacza. W małżeństwie wygrywają najwięcej atuty fizyczne. — Piękność wygrywa! Brzydszy, choćby nawet mądrzejszy, jest zawsze pobity przez tego ładniejszego, wszystko jedno, czy jest to mężczyzna czy kobieta. Wszyscy szanujemy najwięcej urok

piękności; głupie, ładne żony panują nad swoimi przeciętnie wyglądającymi mężami. Wystługują się nimi, wyręczają, „wy-nożają”.

— Przynieś, zanieś, zapłać, wrzuć do skrzynki, załatw to i tamto, otwórz, zamknij! — rozkazują od rana do wieczora.

Hipnoza ładnej twarzy, uśmiechu, pięknego, melancholijnego spojrzenia jest rzeczą potężną. Do piękności można się przyzwyczaić i podobno nie zauważać jej, ale do brzydoty trudniej. Poza tym ładne rysy, piękne oczy — to rzeczy trwałe, wyglądają one dobrze nawet przy siwych włosach, brzydota zaś zmienia się, zmienia się na coraz gorszą. Zakrój na łysinę powiększa się, nieznaczny brzuch zmienia się z biegiem lat na Kopiec Krakusa, szarozębny zamienia się na „złotoustego” itd.

Upodobanie nasze do piękności jest nieuleczalne. Roczne dziecko już wyciąga ręce do rumianego jabłka, oceniając jego kolorowe piękno. W każdej sytuacji wyszukujemy przyjemne dla oczu przedmioty; do podwieczorków w lesie szukamy „ładnego miejsca”, do czytania — pięknego, zacisznego kąta w parku, do jedzenia — estetycznych talerzy, do miłości — pięknych ludzi; to całkiem zrozumiałe i naturalne.

Bardzo popłacającą zaletą u mężczyzn jest zarozumiałstwo i wiara w siebie. Wprawdzie jedno wschodnie przysłowie mówi: „nie mów o sobie ani dobrze, ani źle”, ale to nie jest najlepszy system; bliźni nasz łatwo ulega sugestii i łatwo mu wmówić, że jest pod każdym względem doskonałością. Nie raz widzimy rodziny, w których ojciec zajmuje stanowisko jakiegoś murzyńskiego królika. Cały dom drży przed jego władzą, dzieci, „drżona”, służąca, a nawet domokrażcy (czyli wierzyciele).

Wszystko, co królik murzyński robi, jest słuszne i przez wszystkich w domu uznawane — jego spoczynek, jego zły humor, jego królewski apetyt; wszystko to jest traktowane ze czcią i respektem. Dzieci muszą jeść różne okropne potrawy, „bo ojciec je lubi”. Groźba: „Pan będzie się gniewał” mrozi służącej krew w żyłach. „Gniew pański” to przecież



gorsze od burzy — żona wówczas nieomal że biega naokoło stołu z dzwonkiem loretańskim, żeby odegnąć te gromy, które padają z jego ust, te błyskawice, które ciska wzrokiem.

Wielu starej daty polskich szlachciców wyrabiało sobie chętnie w domu takie stanowisko murzyńskiego kacyka.

Czasem dla odmiany kobieta jest domowym bożkiem; ileż widzi się takich ciężkich, tłustych, groźnych bab-bożków, które mężowie-czciociele wysyłają na kosztowne kuracje, które pobożnie, krok za krokiem prowadzą pod rękę, które ubierają w najkosztowniejsze zwierzęta, a idąc z nimi pod rękę nie śmia spojrzeć na żadną młodą i ładną kobietę.

Matrona o tłustej, nalanej, niepokojącej twarzy jakiegoś chińskiego bożka wożona bywa na wypoczynek, kąpana w kuracyjnych błotach i adorowana przez własnych synów. Bujne jej piersi — *genre* „dzwony kornewilskie” — dzwonią łańcuchami, paciorkami, perłami. Rozkazuje, grymasi, nie pozwala, nudzi, choruje, płacze; mimo to podziwiana jest i czczona przez całą rodzinę.

W małżeństwie bardzo dodatnio działają i imponują wady i zalety, których tamten drugi nie posiada. Dobremu, łagodnemu imponuje egoizm, bezbożnikowi — żona religijna, leniwej kobiecie — pracowite chłopisko, mięsożercy — jaroszka, pannie z domu Bylejak — mąż z dobrej rodziny, mądrymu — głupota (więcej jeszcze niż głupiemu mądrość), niechlujowi — porządek i czystość, choremu — zdrowy, zdrowemu — chorowity. Imponuje nam zawsze to, czego nie rozumiemy, co nam jest obce i dalekie. Jak serio biorą mężowie na przykład strach żony przed burzą: rzadko kiedy śmieją się z tego. „Kobiecość” i „męskość” — to przecież stek wad, ale wad związanych z płcią, więc przeto wrzuszających tę drugą stronę, która ich nie posiada.

Bądźmy szczerzy, ta ulubiona, ceniona przez mężczyzn „kobiecość” — to tchórzliwość, lenistwo, drobiazgowość, wrodzona melancholia i brak poczucia humoru, słabość fizyczna i mózgowa, brak orientacji, wieczna troska o dzieci, hipochondria i brak pamięci.

„Męskość” — to egoizm, brak czułości, niechęć do roz-



mowy, podniecenie na widok każdej ładnej kobiety, wygodnictwo, chęć panowania, apodyktyczność, zupełne niezrozumienie kobiety, żyłka do dzieci, zamiłowanie do „szabelki”, do kieliszka i półmiska.

Wszystkie te „wady-zalety” imponują, a nawet wzbudzają w nie posiadającym ich pewien szacunek, ale o prawdziwym porozumieniu się pary małżonków posiadających te wszystkie właściwości nie ma oczywiście mowy, jak w ogóle nie ma mowy o prawdziwym porozumieniu i zgodzie między czystym typem męskim a czystym typem kobiecym bez męskich domieszek.

Od dawna już wiemy, że prawdziwe porozumienie istnieje może tylko między osobami tego samego gatunku. „Ugadać” mogą się ze sobą tylko kobiety, zabawić naprawdę, pijąc i opowiadając sobie niemożliwe historyjki, tylko mężczyźni między sobą. Świetnie określił to jeden mały chłopiec, któremu starsi kazali bawić się z dziewczynką: — „Jak mam się z nią bawić — rzekło to niezepsute chłopię — kiedy ona jest odmiennej płci?”

Rozwój seksualny, występujący z wiekiem, zaczyna zamylać oczy, chłopcy lgną do panien, panny do chłopców, ale jakże łatwo przy sprzyjających warunkach wylazi z mężatki pensjonarka, która godzinami potrafi chodzić pod rękę z przyjaciółką, a z dorosłego mężczyzny chłopiec, który z radością idzie się zabawić w czysto męskiej kompanii.

Na starość potęguje się to zwykle (obleśnych, podniecających się na widok kobiety starsuszków nie jest tak dużo, jak by się zdawało). Normalny starszy pan, który się już „wyżył”, to zacięty wróg kobiet; nie lubi z nimi grać w brydża, nazywa je wszystkie „babami”. Broni męskich klubów od najścia kobiecego elementu, mówi o nich z gryzącą ironią itd.

Feministki, sufrażystki rekrutują się prawie zawsze ze starszych kobiet, którym wygasły instynkt płciowy każe patrzeć na mężczyzn z przesadną trzeźwością. Czują się one świetnie na kobiecych wiecach, w kobiecych stowarzyszeniach etc.

Czyli że okres, w którym między zaciętymi wrogami — mężczyzną i kobietą — trwa zawieszenie broni na rzecz przyrostu ludności (z czego sobie naturalnie nie zdają sprawy), jest właściwie krótki, zatem nie należy go sobie psuć kwasami, kłótniami, zazdrościami etc.

Zazdrość i zdrada

Cieniem w miłości jest zazdrość i nie ma na to ratunku. Nie ma miłości bez zazdrości, ale istnieje zazdrość bez miłości i to jest najgorsze. W *Listach perskich* Monteskiusza Uzbek w ten sposób pisze o tym do swego przyjaciela: „Pytasz się, drogi przyjacielu, czemu jestem tak zazdrosny o swoje żony, chociaż żadnej z nich właściwie nie kocham. Pustkę, brak miłości musi zastąpić jakieś inne uczucie i dlatego zazdrość zagościła w mym sercu”.

Świątynnym obrazem słów Uzbeka są owe żony, które nie kochając właściwie swoich mężów są o nich tak bardzo zazdrosne. Niechby Felicjan Dulski spróbował zdradzić panią Dulską! O piekle, które by mu zrobiła, strach pomyśleć. Ileż jest kobiet-matek, brzydkich, tłustych, zakurzonych, nie wymiecionych jak zaniedbany pokój, zaczepnych, ironicznie-zgryźliwych, które, zdawałoby się, całą swoją inteligencją i spryt przerabiają na nienawiść do męża. Potrafią one robić tragiczne sceny zazdrości, które szybko prowadzą do rozwodu.

Zazdrość w homeopatycznych dawkach to dla miłości środek podniecający. W dużych, codziennie aplikowanych porcjach staje się trucizną zdolną zabić każde uczucie. Kobiety — może przez to, że rodząc dzieci przedłużają ludzkość w nieskończoność — posiadają zmysł nieskończoności i wieczności. Potrafią czasem kochać jednego człowieka przez całe życie, wymagając tego samego dla siebie, z czego powstają zwykle tragedie i nieporozumienia. Nieraz widzimy starsze panie, które urządzają swoim starszym panom ponure sceny zazdrości, trudno byłoby jednak spotkać starego męża robią-



cego awantury na tle zazdrości swojej starej flirtującej żonie (takie rzeczy zdarzają się za granicą).

— Baba zwariowała! — zawołałby co najwyżej.

— Kochałeś mnie trzydzieści lat temu, powinieneś mnie kochać i teraz! — rozumują kobiety.

„Na Zachodzie bez zmian” — oto życzenie przynajmniej połowy żon.

W każdej takiej zazdrości ze strony starszej żony jest oprócz urażonej ambicji (przede wszystkim jakieś *cherchez l'argent* *) obawa, żeby pieniądze przeznaczone na dom i dzieci nie dostały się w niepowołaną damską torebkę.

Zazdrość jest bardzo często prowokacją do zdrady. Brzydki, spracowany pan profesor, jeśli jest mądry, nie uważa się za uwodziciela i Adonisa; podejrzliwa żona naprowadza go na tę myśl. Zamiast przyjaciela zastaje pan profesor w domu prokuratora zadającego pytania, które mogłyby padać w sali rozpraw co najmniej na procesie Gorgonowej.

— Kto płacił za kolację, gdy byłeś z panią S. wczoraj w restauracji? Każdy za siebie czy ty za nią?

— Czy takie kolacyjki powtarzały się już poprzednio?

— A jak to było z tym kieliszkiem?

— Kto odwiózł tę panią potem taksówką do domu?

— Kto z twoich znajomych używa perfum „Mitsouko”?

— Czy masz może więcej takich plam?

Nieszczęśliwy pan, którego kolega prosił, żeby przez jeden wieczór zaopiekował się jego żoną, miesza się, płacze w zeznaniach, w końcu „załamuje się” i przyznaje, że ta pani jest bardzo miła i że mu się ogromnie podoba. Obojętna znajoma, z którą spędził przyjemnie jeden wieczór, zaczyna go po tych indagacjach naprawdę interesować.

— O, to niebezpieczna kobieta — myśli — inaczej moja żona nie byłaby o nią taka zazdrosna. Ja co praw-

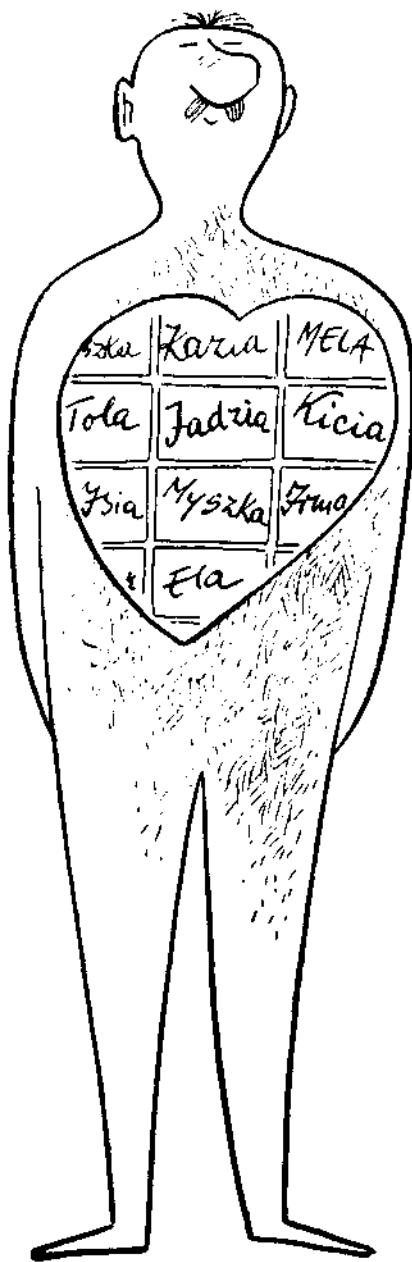
* (fr.) poszukiwanie pieniędzy.

da też nie jestem jeszcze taki całkiem bezpieczny. jeszcze ja im pokażę, co potrafię!

O tym, żeby mąż (jakikolwiek by był) miał nie zdradzić „ukochanej małżonki”, nie ma nawet co marzyć. — „Musisz, musisz, musisz, musisz” — szepczą mu kobiece Don Juany, jak w znanym tangu Ordonki. Wystarczy, żeby przyjaciółka żony dowiedziała się, że mąż kocha żonę i jest jej wierny, a natychmiast rozpoczynają się babskie toki, którym się żaden mężczyzna nie oprze.

Zaczyna się od komplementów (nie tych ironiczných, które pan słyszy w domu, w rodzaju: „Bardzo jesteś mądry”... „Cudnie wyglądasz, popatrz do lustra”... „Nie, jak ty powiesz dowcip, to rzeczywiście można pękać ze śmiechu”... etc.), ale od tych prawdziwych, lechących męską ambicję w sposób delikatny, a przyjemny.

Potem zaczyna się władanie „białą bronią”, czyli gołym ramieniem, w czym kobiety są mistrzami. Oplatają nimi cudzego męża w tańcu, zarzucają je sobie kokieteryjnie za głowę, układają je portretowo



na poręczy krzesła; łodygi te poruszane wewnętrznym (często udawanym) „powiewem namiętności” nie są nigdy spokojne, chyba gdy kobieta zaśnie, ale i wtedy potrafią się tak ułożyć, że patrzącemu robi się miękko na sercu.

Przytłoczony dobrodusznym, poczciwym życiem małżeńskim mąż zaczyna przy tej obcej damie czuć się znowu mężczyzną, zaczynają mu błyszczeć oczy, włosy, buty, zaczyna znów dbać o siebie, prostuje się, wciąga brzusek, zdradza i jest szczęśliwy.

Zdradzać musi, chodzi tylko o to, żeby to robił taktownie, to znaczy, żeby jego żona nie musiała koniecznie o tym wiedzieć, żeby — jeśli kupi coś ładnego swojej przyjaciółce — pomyślał i o prezencie dla „najdroższej małżonki” i żeby się nie zakochał, bo wtedy z czarującej tajemnicy flirtu robi się głośna, brutalna plotka, która rozchodzi się, jak żalosne tango przez głośnik radiowy, na całą Polskę.

Może się to wydawać cyniczne, ale stanowczo małe zdrady podtrzymują miłość w małżeństwie, szczególnie zdrady ze strony męża, który ma w tym wiekowi, a nawet jaskiniową wprawę; kochanka w jednym wypadku na sto może być niebezpieczną konkurentką dla żony i grozić rozburzeniem rodziny. Najczęściej w dzisiejszych czasach zaczyna się i kończy na tak zwanej przygodzie. Zdrada małżeńska nie należy do tego gatunku przestępstw, które każą koniecznie zbrodniarzowi wracać na miejsce zbrodni.

Serce mężczyzny to hotel, w którym dla każdej przyjezdnej znajdzie się pokój, ale w którym żona (o ile nie jest jędzą) zajmuje kilkupokojowe apartamenty. U dżentelmena (ach, ci dżentelmeni!) żona będzie zawsze na pierwszym planie. Co się taka przyjaciółka musi o owej żonie nasłuchiwać komplementów! Tomy można by o tym pisać, a im więcej ją zdradza, tym większym mu się wydaje aniołem.

— Ty nie masz pojęcia, co to za kobieta — mówi przyjaciółce przy każdym braku okazji. — Ten takt, ten

rozum, ten dowcip! Idę już, bo moja żona na mnie czeka... Idziemy dziś z żoną do teatru. Nie będę mógł przyjść do ciebie, bo moja żona jest dziś bez humoru... etc.

Żona... żonie... z żoną... Nieznośną literą „Ż” wierce w uszach biednej kochance jak dentysta w zębie elektryczną maszynką.

Kobiety, które zawsze pozostają w tyle i które mają za mało sił, żeby życie pchać naprzód, dopiero za kilkadziesiąt lat dorównają mężczyźni w lekkim traktowaniu zdrady. Mistrzyń w tym sporcie jest, szczególnie u nas, znikoma ilość; zazwyczaj gdy zdradzają, to się i zakochują, o mężu mówią z antypatią, tak że je nawet umiarkowany przyjaciel musi od tego powstrzymywać (to się nazywa: solidarność, a raczej „soliniezdarność” męska!). Zakochawszy się, są zawsze zdolne porzucić męża i matkę męża, nie licząc się z tym, że ich przyjaciel miewa zazwyczaj tylko ataki miłości, tak jak wariat ataki szału. Po ataku dziwi się, czego od niego chcą, i całkiem nie pamięta, co wówczas bredził. Spokojnie puszcza radio lub smaruje narty i mówi:

— Ależ, dziecko drogie, uspokój się, nie jestem wart tego, żebyś opuszczała dla mnie dzieci i męża, nie byłabyś ze mną szczęśliwa, zaręczam ci...

Gdyby kochankowie byli tak mało zrównoważeni i tak namiętni jak ich przyjaciółki, to liczba mężów każdej ładnej kobiety dochodziłaby do zawrotnej cyfry.

Dlatego też zdrada u kobiety jest o tyle niebezpieczniejsza niż u mężczyzny. Do zdrady oprócz kobiety trzeba i nastroju, który jest nieodzownym partnerem. Bez wytworzenia nastroju najpiękniejsza kobieta nie zdoła porzucić męża swojej przyjaciółki. Nastrój robią mądre oświetlenia: tu elektryczny ptaszek-lampa, tam pod kanapą wazonik z żarówką, tam znów świecący kwiat, a w tym wszystkim porusza się z wdziękiem pani owego zaczarowanego gniazodka, pachnąc przy każdym ruchu jak kadzielnica.



Radio, oświetlenie, perfumy — oto wrogowie żon. Nastroju dla własnego męża nie urządza nigdy żadna żona i może dlatego miłość, ta denerwująca, ta latająca po kościach jak reumatyzm, tak prędko w małżeństwie zanika. Różne niemieckie broszury, traktujące o tematach małżeńskich mówią: „Staraj się ładnie ubierać dla twojego *Gatte**, bądź pełna kokieterii, stwórz dla niego *Stimmung*...** a zobaczysz...” etc. Zobaczą, że powie wówczas:

— Dla kogo się tak wystroiłaś? Czy idziesz na dancing? Jeśli tak, to w każdym razie nie ze mną...

— Chodźmy do ogrodu posłuchać słowików — spróbuje nastroić męża jakaś mądra żona. — Przypomną nam się narzeczeńskie czasy...

— Eee, po co? Zimno! Wolę pójść spać — odpowiada na to ożeniony.

Kobieta nieraz pragnęłaby wywołać z męża zjawę kochanka, ale on tego wcale nie pragnie: właśnie dlatego się ożenił, żeby mieć spokój (przynajmniej w domu) od słowików, żab, bzów i tang.

Pewien mężczyzna, który ożenił się ze swoją przyjaciółką, powiedział, że zrobił to jedynie po to, żeby móc nareszcie przestać o niej myśleć. Każdy mężczyzna pracuje; wróciwszy do domu ma co najwyżej ochotę położyć głowę na ramieniu żony i spokojnie rozmyślać nad tym, co jest komu winien i ile. Nastrój wytwarza przede wszystkim obcość i nie ma na to rady.

Przyzwyczajenie zabija erotyzm, ale za to stwarza przywiązanie. Żona lub mąż mogą być sobie tak potrzebni, tak nieodzowni, jak szklanka gorącej wody z cytryną lub zuber na czczo, albo filiżanka czarnej kawy po obiedzie. Może być ta sama kawa w tej samej filiżance co dzień przez pół życia, a przecież się nie sprzykrzy i trudno byłoby się bez niej obejść.

* (niem.) małżonek.

** (niem.) nastrój.

Drobne środki profilaktyczne przeciwko zdradzie

W każdej prawie kobiecie siedzi małe stręczycielatko; kto jeśli nie ona zwraca mężowi uwagę w restauracji lub na dancingu na jakąś obcą ładną kobietę?

— Daj mi spokojnie przeczytać gazetę — prosi mąż.

— Dobrze, ale wpiersz spojrz, co to za cudna osoba. Ta figura! Te nogi! To musi być cudzoziemka...

— Rzeczywiście duża klasa! — powie w końcu pan i do końca obiadu nie weźmie więcej gazety do ręki.

To samo robią ze swoimi przyjaciółkami; tak długo je zachwalają, przez jakiś niezrozumiały masochistyczno-perwersyjny zmysł, aż zachęcony małżonek głębiej się nimi zainteresuje.

— Miałaś rację, że Fibcia ma śliczną skórę i niebywałe oczy — powie po jakimś czasie. — A ja tak tej Fibci z początku nie lubilem.

Na to oczywiście podnosi się jazgot:

— Fibcia ma ładną skórę? No, jeśli ty to nazywasz skórą? W ogóle skąd ty się znasz na tym? Poza tym to przecież idiotka skończona...

Ale już za późno. Gdy mąż raz dojrzy, zachęcony przez żonę, w jej przyjaciółce kobietę, to przepadło; a tak prosił, żeby go zostawić w spokoju (w jego papierowym domku z gazet).

Nigdy tego nie róbcie...

Tak samo nie należy nigdy zapraszać na dłuższy pobyt przyjaciółki lub kuzynki do domu. Wiernuś — Wiernusiem, a baba — babą. Żadnej przyjaciółce nie można pod tym względem dowierzać, żadnemu najbardziej kochającemu mężowi. Objawia się to u niego coraz częstszym goleniem się, a u niej ciągłym zmienianiem sukien.

— Dla kogo tak się stroisz, ty mała kobietko? — zapyta żona. Przecież nie ma u nas nikogo obcego...

— Dla ciebie, kochanie... — odpowie ta rzesostrzyga.

Flircik na pozór niewinny zaczyna się bardzo często od mocowania. Czyście zauważyli, jak prowokują one w ten sposób mężczyznę? Mocują się, żeby w jakiś sposób nawiązać z nim fizyczny kontakt i żeby wykazać, niby to z pokorą, a w gruncie rzeczy z triumfem, swoją wielką fizyczną słabość: bo i cóż znaczy taki babski bicepsik wobec normalnego męskiego ramienia? On wykazał swoją siłę, ona swoją bezbronność. Dwie najbardziej płciowe cechy. A żona, idiotka, kula się ze śmiechu i woła: — „Jeszcze raz! Jeszcze raz!” — nie wiedząc, że on jeszcze raz spróbuje się mocować, ale na pewno nie w jej obecności, i że to się skończy całkiem dla niej niewesoło.



Jedyną przyjaciółką, którą żona może gościć u siebie (na krótko), to jej własna matka. Zaraz przykróci troszkę męzowski autorytet, pobruździ, pointryguje troszeczkę, pomodli się: żeby nareszcie dzieciątko... ale w gruncie rzeczy jej zła opinia jest mocno przesadzona, a zalety nie doceniane. Przede wszystkim mąż czuje, że żona ma za sobą silne plecy i biust też, wspaniały biust teściowej: zaczyna się trochę bać — zawsze co dwie baby, to nie jedna, tu nie ma żartów — a potem rozkosz samotności we dwoje, gdy odjedzie, i nowa fala miłości...

Ale na ogół — jak najmniej bab! Baba w dom, wróg w dom. Taka własna siostra na przykład — jak może popsuć miły małżeński spokój, zamącić stojącą wodę o pokojowej temperaturze. Mężowie na ogół nie lubią szwagierek, bo i co z tym robić? Całować nie wypada; jeszcze pójdzie to opowiedzieć jego żonie. Kochać jak własną siostrę? Nie ma najmniejszego powodu... Pozostają więc tylko kłótnie, uszczyпки, zaczepki i dogryzki, bo przecież żaden mężczyzna nie może przejść koło młodej kobiety tak zupełnie obojętnie. Nie wolno mu jej traktować w sposób zaczepno-erotyczny, więc będzie ją tępił i atmosfera stanie się dla wszystkich trojga niemożliwa. Siostrzyczka będzie ciągle przesiadywać w pokoju jego żony na poufnych pogawędkach, których jedynym tematem będzie „on”. Najintymniejsze sekrety alkowy będą tam wywlekane. O tym, jak cynicznie (na poczciwo) potrafią ze sobą rozmawiać kobiety, te właśnie najcnotliwsze, wiemy wszyscy! Najbardziej ponure lekarskie terminy będą fruwać w powietrzu jak niewinne motylki. Mąż domyśla się tego, jest wściekły, coraz częściej znika z domu — „żebyście się mogły nagadać” — powiada ze złością. Cały dom gra z hukiem na „dysharmonii”, a siostrzyczka wdycha i mówi:

— Tak, tak, rozwody, to już u nas rodzinne...

Mężowie, w inny sposób niż kobiety, też popychają swe żony do zdrady.

— Ja jej ufam — mówi taki jołop i posyła babę samą nad morze czy do Zakopanego. W Zakopanem zaś narciarze i taternicy, a nad morzem „Wasser-Polacy” przekonają go prędko, że nikomu nie może dowierzać.

Jeśli chodzi o pójście na dansing, to mężowie też lubią się wykreczać młodymi ludźmi.

— Oddaję panu moją żonę pod opiekę — mówi taki poczciwiec przecierając okulary. — Musi pan dzisiaj mnie zastąpić...

Jak zastąpić, to zastąpić. Młodzieniec bierze swoją misję dosłownie. Dawniej trzeba było damę rozkochać w sobie, dziś należy ją tylko dobrze roztańczyć, a wówczas w powro-

tnej drodze z dansingu do domu taksówką zdradzi męża — że się tak wyrażę „taksametralnie” — to pewne i nieuni-
knione.

Macie żonę lubiącą płąsy — to musicie się poświęcić i cho-
dzić z nią sami na dansingi...

Mażeńskie kłótnie

O kłótnie w małżeństwie jest
niestychanie łatwo. Łatwiej o wie-
le niż w innych związkach ro-
dzinnych. Rzadko się zdarza,
żeby dorosły brat kłócił się
z dorosłą siostrą, ojciec —
z córką zamężną lub matka
z dorosłym synem. Przeciwnie,
widać nawet nieraz między nimi
kurtuazję, uprzejmość, chęć do-
godzenia sobie nawzajem. Brat
chodzi godzinami ze swoją
siostrą na spacer, zamęczając
ją inteligentną rozmową, ojciec
najlepiej się bawi w towarzy-
stwie swojej córki itd... W mał-
żeństwie po kilkunastu latach
byłoby to samo, gdyby mię-
dzy małżonkami nie stało groź-
ne czworonożne stworzenie, peł-
ne dziwnych pretensji i zach-
ceń — łóżko.

Niby na pozór rodzina, dzieci, wspólny dom, kłopoty fi-
nansowe, a w to wszystko wmieszany jakiś najniższego ga-
tunku erotyzm, jakies: „dla zdrowia”, „dla świętego spoko-
ju”, „dla obowiązku”. Myśl o tych „obowiązku” psuje
prawdziwą przyjaźń, wywołuje żale, gorycze, pretensje i tę-
sknoty „za czymś innym”...



Te łózkowe pretensje, zawody, przemilczane wstręty wy-
wołują na drugi dzień kłótnie i swary o byle co. Wystarczy
na przykład, żeby pani domu zapragnęła schudnąć tak, aby
jej przyjaciel mógł ją na rękach nosić, a atmosfera z powodu
skąpych obiadów stanie się przy stole nie do zniesienia. Są
to prawdziwe „rozkosze stołu”, znane wszystkim długo za-
ślubionym.

— Znowu wstanę głodny od stołu — grozi mąż.

— Za to dostaniesz na leguminę kawałek babki — stara
się go uspokoić biedna żona.

— Co? — krzyczy już brzydkim głosem małżonek — tę
starą babkę jeszcze ze świąt? Ha, trudno, taki już mój los,
same stare baby koło mnie.

Tego naturalnie jest już troszkę za wiele; pani wybucha
płaczem, pan zaś rzuca serwetkę, jak rękawicę przeciwni-
kowi, i idzie na obiad do restauracji.

Pies przy stole też może być powodem poważniejszej kłótni
mażeńskiej. Pan na przykład lubi żywić psa przy stole. „Jak
człowiek pracuje ciężko cały dzień, to może mieć przynaj-
mniej tę jedną małą przyjemność”. (Oczywiście jest to
lekka aluzja, że inne przyjemności wspólnego pożycia wcale
się nie liczą.)

Pan domu lubi szantażować wszystkich w domu swoją
ciężką pracą. Pracujące żony odjęły mężczyznom tę broń,
którą oni przed żonami tyle lat wymachiwali z powodzeniem.
Dzisiejsza kobieta — która wcześniej wstaje i sama zarabia
na życie (to znaczy na kino, fryzjera i pończochy) — butnie
spogląda na pracującego męża i mówi:

— Ja też jestem człowiekiem pracującym, potrzebuję przy
obiedzie spokoju, i dlatego wymagam, żeby pies natychmiast
opuścił ten pokój.

— Pies nie wyjdzie! — odpowiada na to mąż.

— Pies wyjdzie, a jak nie, to ja wstanę od stołu.

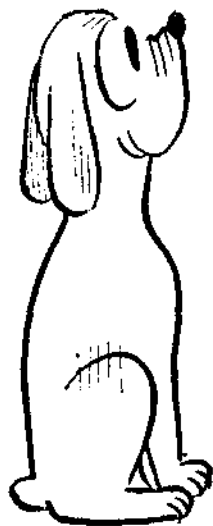
Wstanie od stołu było z dawien dawna specyficzną groźbą
pani domu, co, wypowiedziane tonem pełnym powagi i bólu,

robiło na współbiedniakach głębokie wrażenie. Dzisiaj groźba ta straciła bardzo na znaczeniu; ojciec mówi:

— A proszę bardzo, będzie nam wszystkim weselej!

A dzieci śmieją się w zupę, ciesząc się, że się zanosi na grubszą awanturę.

Na drugi dzień pies znowu kręci się naokoło stołu, wachlując wszystkich czerwonym, rozradowanym językiem i kładąc z bezczelnością pięknej kobiety zabłocone nogi na krzesła. Wówczas żona wynosi się z godnością i talerzem do drugiego pokoju i w ten sposób robi się pierwszy krok do „se-



paracji od stołu”. Ten sam mąż jednak, gdyby tu chodziło o jego własną matkę i jej niechęć do psów, w tej chwili, bez gadania, wyprowadziłby zwierzątko do sieni.

Święta Tereska powiedziała bardzo mądrze, że największymi cnotami w życiu są „cierpliwość i dobry humor”. Jeśli w małżeństwie jedna strona przynajmniej posiada te dwie zalety, wówczas żadna prawdziwa kłótnia nie uda się, a każdy przytyk lub ostra uwaga mogą być obrócone w dowcip. Żony często mają cierpliwość, ale znaleźć u nich zmysł humoru byłoby rzeczą tak trudną, jak znaleźć w polskim morzu muszlę z perłami.

Mąż-matka

Młoda panna lub rozwódka wychodząc za mąż, nie liczy się z jednym faktem, że w mężu odnajdzie przede wszystkim własną matkę. Nie będzie on jej pozwalał się malować, palić papierosów, flirtować, zupełnie jak mama. Ten sam młody człowiek, który starając się o jej względy, namawiał ją do picia wódek, mówiąc: — Jeszcze jeden na pani zdrowie! A teraz na moje! A teraz pod tę kanapkę! No, a teraz jeszcze jeden, pod wojsko polskie! — ten sam człowiek jako mąż nie pozwala jej wcale pić.

O gołe plecy swojej żony, idącej na bal, zazdrosny jest jak muzulmanin starej daty o twarz ukochanej.

— Matka moich dzieci nie pójdzie między ludzi w tak wyciętej sukni — mówi surowo.

„Matka moich dzieci” jest to jedno z takich charakterystycznych męzkowskich powiedzonek, które, słyszane przez samotne kobiety, nie posiadające ani męża, ani domu, wywołuje na ich ustach uśmiech triumfu. To powiedzenie słyszy się obecnie coraz rzadziej, ponieważ w dzisiejszych niepewnych czasach nikt nie może przysiąc, czy to co posiada, jest naprawdę jego własnością. O surowej cnotce, którą ten zlumpowany często młodzieniec nakłada na swoją żonę, można by długo pisać. Co chwila używa słowa: „nie wypa-

da”, którego nie używał nigdy w stosunku do innych kobiet. Gdy młoda pani założy za wysoko nogę na nogę, mówi lakonicznie: „kolano”... Gdy zmarszczy czoło, tym samym głosem mówi: „czoło”... Gdy zacznie opowiadać jakąś śmiałą anegdotę, mruga na nią okiem i zagaduje. O dziesiątej godzinie wieczorem woła: „spać! spać! spać!” To wszystko są objawy wielkiego przywiązania i rodzinnej miłości, która potrafi naprowadzić człowieka na myśl, że samotność jest wielkim szczęściem, na które człowiek, to towarzyskie zwierzę, widocznie nie zasłużył.

Z tego rodzaju rodzinnych uczuć, polegających na ciągłym „niepozwalaniu” i nieustannej opiece, rodzi się zwykle smutna błada córeczka NUDA, przysporzycielka rozwodów, przeciwko której tak częstym urodzinom powinny powstać odpowiednie porady...

W jaki sposób zdobywa się męża ?

Każdy mężczyzna jest jak ptaszek; chciałby pokochać, zaśpiewać krótką pieśń miłosną i zwiąć; kobieta jest jak chłopiec starający się owego śpiewającego ptaszka złapać do klatki, którą jest dla mężczyzny małżeństwo. Jedną ręką sypie mu ziarno, a drugą nakrywa gruchającego gołąbka czapką lub klatką bez dna. Tokującego głuszcza łatwo jest zastrzelić, korzystając z jego bezprzytomnego tańca, do tokującego mężczyzny się nie strzela, natomiast z lekka nieprzytomnego prowadzi się do ołtarza.

Do ślubnego kobierca prowadzą zwykle dwie drogi: przez zmysły i przez głupotę. Wypadków małżeństwa z obowiązku i uczciwości jest tak mało, że nie warto o nich wspominać. Znałam tylko jeden taki wypadek, gdy pewien młodzieniec, zawieszony nad przepaścią, zrobił votum, że ożeni się ze swoją długoletnią przyjaciółką, jeśli zdoła ująć z życiem z owej groźnej sytuacji. Bogowie uznali jego „nadludzkie” poświęcenie za dostateczne i młodzian został wyratowany. Inne małżeństwa kochanków, stosunkowo dość częste, zawie-

rane bywają zwykle na tle dużego przywiązania zmysłowego, nigdy zaś na skutek wybujałej uczciwości i szlachetności ze strony mężczyzny.

Przywiązać męża „zmysłowo” — znaczy przywiązać go do siebie duchowo. „Niestety — powiedział Shaw — człowiek nie składa się z samego parteru”...

Daleko ważniejsze jest to, jakim się jest po i przed atakiem miłości aniżeli w trakcie. To oczywiście odnosi się do obydwóch stron. W jednym z pism kobiecych notowano niedawno, że pewna żona zażądała rozwodu od bardzo kochającego męża, a jako jedyny powód podała jego stałe milczenie. Z kobiecego punktu widzenia milczek, który po „szalach” nie potrafi powiedzieć jednego czulego słowa lub chociażby porozmawiać po ludzku, nie nadaje się zupełnie na stałego partnera.

Mężczyźni wolą znowu spokojne i tajemnicze kobiety.

— Z tą kobietą ożeniłbym się w tej chwili — powiedział jeden mężczyzna o swojej znajomej — bo ona, będąc razem, potrafi czasem nie być, staje się chwilami cieniem, czymś tak lekkim, że zdawałoby się, iż się ulotniła, mimo że jest blisko.

Oto tajemnica powodzenia: „nie być” wciąż, nie zamęczać swoją osobą, nie zanudzać swoimi babskimi sprawami, w których mężczyzna obraca się tak niezgrabnie, jak dorosły w dzieciennym pokoju zarzuconym zabawkami.

A poza tym trzeba być niespodziewanym, prawie że nieobliczalnym. Nie tak nie „bierze”, jak na przykład niespodziewana czułość i zrozumienie zamiast awantury, na którą się było z góry przygotowanym; i przeciwnie — otrzymanie lodów zamiast spodziewanej szklanki gorącej herbaty.

Jednakowość, nawet najczulsza i najśodsza, sprzykrzy się. Zmienność, nierówność usposobienia denerwuje, złości, ale zaciekawia i rzadko kiedy znudzi. A przede wszystkim doży! Wszystko dozowane, czasem nawet w homeopatycznych dawkach. Krótkie rozstanie na przykład jest świetną pożywką dla bakcyli miłości, długie — może go nawet zabić. Krótka

burza każdemu z nas ulży, długa z ulewą i gradem — nudzi i złości. Gdy czasem zdarzy się wspaniałe gorące lato, bez kropli deszczu, wypatrujemy chmurki na niebie z utęsknieniem... Miłość bez scen zazdrości, awantur, gorzkich przemilczeń — jest równie ciężka i męcząca jak takie beznadziejne, piękne lato. Do zjawiska miłości jesteśmy zupełnie tak samo ustosunkowani, jak do wszystkiego innego, co nas otacza, tylko zwykle nie zdajemy sobie z tego sprawy...

Przyzwyczailiśmy się do tego, że mówiąc o przyszłych zadaniach żony, o wyborze męża... etc. zwracamy się do pań. Tymczasem dzisiejsze życie stworzyło nowe kandydatki do małżeństwa, a mianowicie rozwódki: *O czym młoda rozwódka przed ślubem wiedzieć powinna* — oto tytuł nowego podręcznika, który bezwarunkowo powinien się ukazać na półkach księgarskich.

*Einmal ist keinmal** — brzmi niemieckie przysłowie; rozwodnice myślą to samo i z zapalem dążą do nowego małżeństwa. „Człowiek, który postradał żonę, a żeni się powtórnie, nie jest wart szczęścia, które go spotkało” — powiedział jakiś wschodni mędrzec. Mimo to powtórne małżeństwo lepsze jest od pierwszego; ludzie nabierają wprawy, starają się unikać błędów popełnianych w poprzednim małżeństwie, są starsi, roztropniejsi, bardziej doświadczeni, bardziej „ludzy” w stosunku do siebie.

Gdy rozwódka przekroczy symboliczną liczbę czterdzieści i cztery, szuka zwykle młodego męża. Pan starszy żeni się zazwyczaj drugi raz z młodą dziewczyną. Nurzanie się w młodości cudzej, zajadanie się nią jest wielkim szczęściem, ale krótkim i „wymłokosi” się prędko. Na zdrady wówczas trzeba być z góry przygotowanym. Młodość ciągnie do młodości jak dziecko do dziecka. Tylko starość nie łąnie do starości, przeciwnie, ma do siebie wstręt, bardzo zresztą niesłuszny. Czterdziestokilkuletnia dama, dobrze zakonserwowana w wecku sportów i kosmetyków, powinna, jeśli się



* (niem.) przysł. jeden raz to żaden raz.

taka okazja nadarzy, wyjść za mąż za pięćdziesięcioletniego dżentelmena, z głową czasem jak Łysa Polana, ale za to z sercem nie zepsutym bezczelnością młodości. Pięćdziesięcioletni pan będzie ją tak traktował, że małżeństwo z nim stanie się dla niej kuracją odmładzającą.

Przede wszystkim będzie mówił do niej per „dziecko” („Czy dziecko nie potrzebuje pieniędzy?” — „Czy nie obrzeć noska?” etc.). Będzie ją traktował jak małą dziewczynkę i mówił do niej: — „Wy, młodzi...” Po roku małżeństwa z takim miłym starszym panem czterdziestokilkolatka będzie się czuła jak smarkata, co niesłychanie dobrze wpłynie na jej wygląd i samopoczucie.

Zakończenie

W jednym niemieckim małomieszczkańskim domu między innymi „szpruchami” widniał wyhaftowany na serwecie napis: *Frau, ärgere Deinen Mann nicht!* (Żono, nie irytuj Twego męża).

W sypialni każdego małżeństwa przydałoby się wiele takich „szpruchów”, przypominających, czego należy we wspólnym pożyciu unikać.

Dla żony:

Zrób awanturę, a nie jęcz!

Nie upokarzaj twego męża przy ludziach!

Nie zamęczaj go sprawami dziecinnego pokoju, to nie jego rewir!

Pozwól mu opowiedzieć jeszcze raz historyjkę, którą znasz na pamięć!

Nie mów, że najbrzydsze z dzieci jest do niego podobne!

Nie każ mu zawsze na siebie czekać!

Pozwól mu milczeć i czytać gazetę; w przeciwnym razie usłyszysz coś nieprzyjemnego!

Bądź jego adwokatem, a nie sędzią śledczym!

Pozwól mu zatrzymać jego kolegów na kolacji: pamiętaj, że gość może jeść to samo, co wy!

Nie bądź kumą-troską, śmiej się! — od śmiechu nigdy jeszcze nikt nie pękł!

Pamiętaj, że twoja przyjaciółka zrobi ci więcej krzywdy niż jego własna!

Nie opowiadaj mu swoich przedślubnych przygód miłosnych; tym mu nie zaimponujesz — on ich miał więcej niż ty!

Nie mów do niego ironicznie przy innych kobietach: „Ty i temperament!” — tego ci nigdy nie daruje!

Gdy robisz kurację odchudzającą, myśl tylko o sobie.

Nie pozwól mu się fizycznie zaniedbywać. Pod tym względem wolno ci być bez sumienia!

Jeśli uważasz go za „głowę rodziny”, nie siadaj na niej!

Jeśli go musisz ukłuć, to nie rób tego w miejsce, w które go kłują wszyscy!

Miej lustro i patrz w lustro!

Staraj się być ładną w każdym wieku!

Przyszyj mu guzik, ale nie szyj mu butów!

Miej zawsze w pokoju dużą wodę kolońską i małe kieliszki do wódki!

A teraz dla męża:

Pozwól się zawsze żonie malować, inaczej inne kobiety będą ci się więcej od niej podobać!

Chcesz, żeby za dużo nie mówiła — pozwól jej palić papierosy!

Jeśli ma „robaka”, nie broń jej zalewać go od czasu do czasu alkoholem!

Na spacerze przystawaj z nią przed sklepami z damskimi rzeczami!

Nie proponuj jej, żeby w ubiorze czy w zachowaniu naśladowała twoje znajome — znenawidzi je!

Mów jej drobne komplementy; podtrzymują one każde uczucie, jak drobne prezenty, a o wiele mniej kosztują!

Jeśli ma duży temperament, namawiaj ją do sportów; będziesz mógł wówczas spokojnie spać!

Młody mąż nie powinien nigdy zasypiać, zanim jego żona nie zaśnie!

Staraj się pachnąć przyjemnie; nie wierz w to, że mężczyzna może się nie myć!

Pamiętaj, że nic tak nie podtrzymuje miłości w małżeństwie, jak przyjemny zapach skóry!

W dzień obchodź się z żoną jak z przyjacielem, w nocy jak z przyjaciółką!

Nie przykładaj za wielkiej wagi do dobrej kuchni; nic nie szkodzi, jak trochę schudniesz!

Nie spaceruj bez powodu goły po mieszkaniu, pamiętaj, że nie jesteś piękną kobietą ani Apollem!

Nie budź żony rano, gdy idziesz do twojego zajęcia. Kto rano wstaje, ten chodzi potem kwaśny cały dzień!

Gdy spostrzeżesz u niej brak inteligencji, cierp, ale nie mów jej o tym, bo jeszcze więcej zgłupieje!

Wracając z żoną wieczorem, nie skąp na taksówkę; pamiętaj, że z obcą panią nie wracałbyś piechotą!

Nie złość się na nią, nie używaj imienia diabła nadaremno!

Kto się złości, traci na sile!

Nie bierz tragicznie jej humorów, chandrowatych nastrojów i smętków; gdybyś miał wewnątrz siebie pokój dziecinny, zawsze gotowy do przyjęcia nowego lokatora, a zamiast muskułów kobiece wdzięki, tobyś też nieraz martwił się bez powodu i nucił łzawo polskie tanga!

...Na tych „szpruchach”, które oby każdy wypisał sobie złotymi zgłoskami w pamięci, kończymy, ku ucieście czytelnika, niniejszy cykl.

O MĘŻCZYŹNIE KTÓRY CHCIAŁ SIĘ ŻENIĆ

(list do przyjaciela)

Drogi Mietku!

Przyznaję, że chociaż nie jestem ptakiem, chciałem założyć gniazdo. Udałem się zatem na wybrzeże, ażeby sobie wyszukać żonę. Słyszałem, że do Sopotu pojechały najpiękniejsze kobiety z całej Polski, więc tam pojechałem. Co do pięknych kobiet nie rozczarowałem się; mam wrażenie, że już na wiosnę robiły sumienny przegląd swoich ciał, i te, którym na przykład dzwonko piersi nie mieściło się w żadnym opalaczu, albo te, które miały nogi jak wyrzeźbione (patrz nowoczesne rzeźby) — przeznaczyły siebie na Jastarnię, Orłowo lub Juratę. Tak samo matki z naręczami dzieci w ramionach. Do Sopotu, po autoselekcji, pojechały tylko same młode i pięknie zbudowane, utleniwszy sobie włosy na złoto, ażeby nazwa naszego wybrzeża Bursztynowy Brzeg miała pewne uzasadnienie, i sprawiwszy sobie poprzednio olbrzymie okulary koloru ich oczu, to znaczy niebieskie w czerwonej oprawie.

Wszystkie noszą tego roku zamiast majteczek rodzaj pieluszek, białych, wiązanych na brzuszku, i piersi na białym temblaku. Plaża to rodzaj sali w jakimś paryskim domu publicznym, gdzie panienki ukazują się gościowi gole, ażeby bez rozczarowań mógł sobie wybrać odpowiedni towar. Do morza nie wchodzi tego roku wcale, aby nie zamoczyć przypadkiem wymyślnych fryzur, za to leżą wyciągnięte do słońca i opalają się, by nazwa „piernik” nie była tylko, jak dotąd, atrybutem męskim. Jedna z nich zgubiła w piasku obrączkę, którą zdjęła, żeby żadna, nawet najmniejsza parcelka na jej ciałku nie zachowała normalnego białego koloru.



Czy pamiętasz egzotyczny film polski „Czarna Perła” z Boldem i hawajską tancerką Reri, która śpiewała piosenkę „Dla ciebie chcę być biała...”? One zaś wszystkie powinny by śpiewać: „Dla ciebie chcę być czarna...” A nam, mężczyznom, przecież g... na tym zależy! Wolelibyśmy, żeby się tak nie wygłupiały z tym słońcem, a choć raz przyniosły na plażę jakąś książkę i przynajmniej udawały, że ją czytają. Pewien chłopak, przygotowując się do matury, powiedział, że przyniósł ze sobą na plażę Homera. — „Czy w puszcze?” — zapytała go zupełnie poważnie jedna z pierniczek w białej pieluszcze na biodrach.

Wszystkie chcą się koniecznie puszcząć, ale gdy się jakiś mężczyzna do nich na plaży zacznie przytulać, piszczą:

— Proszę mi słońca nie zasłaniać!

Opaleniżną nudzą do utrapienia, przykładają wciąż którąś łapę górną lub dolną do twojej łapy i pytają się: — „Prawda, że ja jestem bardziej opalona?” — (Prawda, prawda, idiotko, kretynko — myśli sobie każdy z nas, ale uśmiecha się do bałwanki jak do kaczkki żółtej lub kanarka).

Ja zaś mam dotychczas tylko opalone skrzydła, którymi chciałem wlecieć w krainę miłości!... Przepraszam Cię, mój drogi, za ten poetyczny zwrot, ale nieraz marzy się człowiekowi jeszcze wielka miłosna przygoda... A to już przepadło — nie będziemy się więcej kochać. Jestem zgubiony; na mężczyzn nie lecę — nawet sam nie jestem w swoim typie. A w nich się zakochać, mój Boże! To tak jak gdybyś zakochał się w słoneczniku. Akurat tyle duszy. Można je tylko... Domyślasz się zapewne, co? Ten ich rzekomy temperament też jest dęty. Chodzi im przecież tylko o to, by inne wiedziały, że posiadają fatyganta i żeby potem w rodzinnym mieście pochwalić się, że miały „przygodę”.

Jest tu mnóstwo rozwódek, wdów i sierot, które gwałtem chcą powtórnie wyjść za mąż; siedzą więc w kucki na piasku, jak Arabowie w Maroku na targu, i głośno wychwalają swój towar: jakie to one są piękne, jaką mają gładką skórę, ilu starających się odrzucają dziennie, ile razy dzien-

nie się myją, ile razy dziennie nie jedzą, ażeby schudnąć. — „Wie pan, ktoś mi powiedział, że mam kształty Melony, tej bogini wojny, ale drugi mój adorator znów powiedział, że jestem podobna do Diany, a Diana to przecież pies — więc teraz już nie wiem, czy jestem chuda jak charcicu, czy gruba jak Melona. Jaka jestem, taka jestem, ale mam coś takiego, że mężczyźni nie dają mi spokoju...”

Powiedziałem jednej z nich wymyślony niedawno aforyzm: lepiej jest mówić o drugich najgorzej niż o sobie jak najlepiej. Ale ona nie doceniła tego bon-motu, tylko poprosiła mnie, ażebym jej nie zasłaniał słońca!!!

Wieczorem wszystkie te opalaczki idą na dansing i tańczą modne dzikie tańce; wyrzęszenie ich pustych łebków nie pomaga wcale na inteligencję.

Nie ożenię się już nigdy! Rację miał stary homoseksualista, ukrywający się pod pseudonimem Magdaleny Samozwaniec, że kobiety dzisiejsze to puste „kopro-lalki” — uważam jednak, że za mało złośliwie je w swych dziełach potraktował. Bóg z nim, ale ja nie.

*Ściskam Cię
Twój wierny
M.S.*

MĘŻCZYŻNA-KOT

Nie, nie myślcie, panowie, że to coś nieprzyzwoitego albo że to lunatyk. Nie, to nie „marcowy kawaler”, to powojenny wynalazek, który za czasów niemieckich nauczył się oszukiwać władze i łasować, co się da i gdzie się da, a teraz czyni to dalej na polskiej skórze. Posiada w sobie zwierzęcą amoralność i zawsze jak kot pada na cztery łapy. Czasem kota przyłapią i za karę zamykają do piwnicy, ale on, sprytniejszy od wszystkich, już jakąś dziurą wylazł na powierzchnię, przeciągnął się, rozejrzał wokół i hyc na stół po kawałek mięsa.

Mężczyzna-kot, kiedy jest na powierzchni i prosperuje, ma kupę zwolenników. Gdy go na chwilę zamkną, zwolennicy cieszą się i biją się po udach z radości. — „No, nareszcie go capnęli! — cieszą się. — Igrał, igrał, aż się doigrał! Będzie mu teraz, będzie mu...”

A tymczasem figa!... Po kilku tygodniach już widzimy mężczyznę-kota, jak z gładkim uśmiechem na pulchnej buzi jeździ nowym, własnym samochodem po ulicach miasta. Z aresztu przyniósł odznaczenie, które sobie przypiął do marynarki, a które sobie po prostu kupił, i odznakę byłych więźniów politycznych.

Co druga kobieta jest dumna i szczęśliwa, gdy może uwieńczyć jego skroń kochającą dłonią, bo i jakżeż tu nie kochać takiego, który wpada i mówi:

— Jestem na dole z wozem...

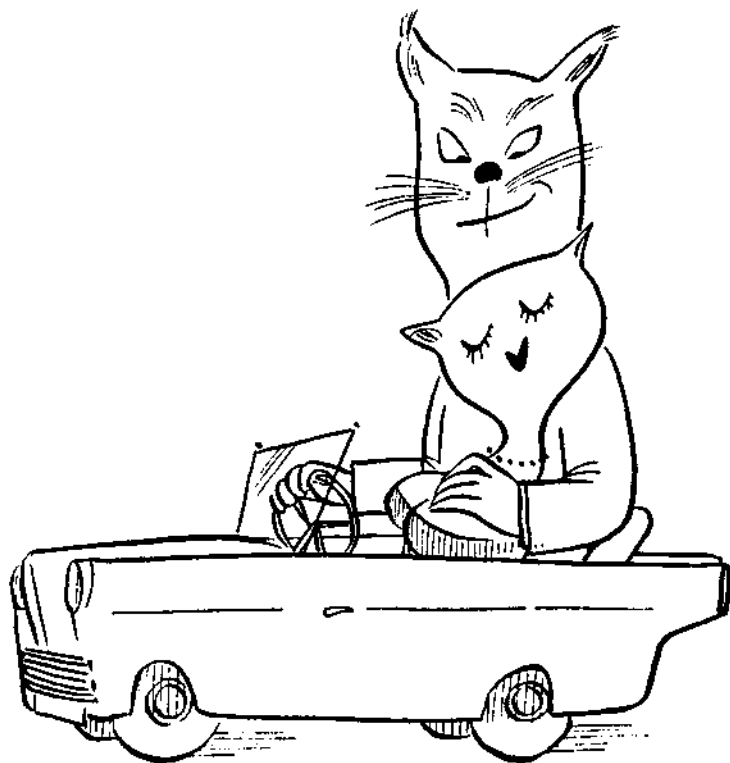
A potem wiezie do najdroższej restauracji i płaci rachunek wynoszący kilka tysięcy!... Niedługo potem znów jakaś skan-

daliczna afera, w gazetach jak byk widnieje nazwisko mężczyzny-kota. Radość jego przyjaciół nie ma granic.

— No, teraz to już sobie dłuższy czas posiedzi! — cieszą się pocziwie.

Dłuższy czas powiadacie? Chyba nie znacie naszego kiciusia. Ma on swoje kocie sposoby, swoje wykręty, swoich kocich adwokatów. Już w niedługim czasie jest znów na powierzchni, został ważnym dyrektorem jakiejś instytucji na Zachodzie i każdy szuka u niego protekcji.

— Ho, ho! — mówią jego przyjaciele. — To teraz wielka figura! Trzeba przyznać, że chłopak ma głowę do interesów, to nie byle kto!



Kobiety szaleją za nim, ma już trzecią żonę, a co jedna to piękniejsza. Każda ma z nim lisa, a ta ostatnia ma z nim nawet dwa lisy. Co drugi obywatel zazdrości mężczyźnie-kotu, ale cóż, nie każdy może nim być, trzeba mieć jego spokój i odwagę, jego tupet i kocią zręczność, trzeba potrafić piąć się wysoko do góry, jak kot za wróblami po drzewie, a potem, gdy się jest w opałach, trzeba umieć łąsić się i być pokornym, i mieć kocią pogardę dla ludzi.

Ponieważ jest na wpół zwierzęciem, więc nie czyta książek, do teatrów nie chodzi, chyba do teatryku „Siedem Kotów”, a przyszedłszy do sklepu z obrazami, o których już wie, że je należy kupować, mówi rozkazującym tonem:

— Proszę dwa metry Kossaka — albo: — Chciałbym cztery metry Axentowicza.

W antykwariacie mówi:

— Kinkiety som? — a potem wskazując na jakiś landszaft powiada poważnie:

— Kupiłbym ten obraz, ale musi być do niego odpowiedni „dupant” (*pendant**).

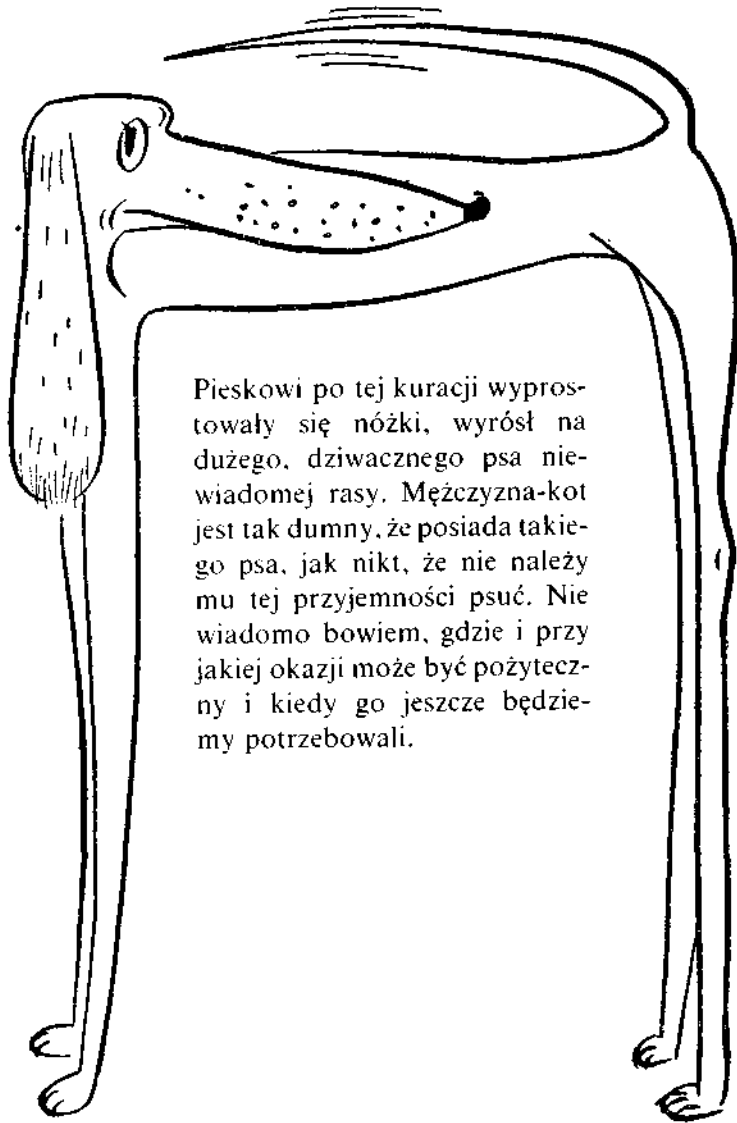
Imponują mu tylko i wyłącznie pieniądze i ci, co je posiadają.

Interesiki może z nim robić tylko ten, kto się wykaże paszportem złożonym z kilkuset tysięcy. Ponieważ w przeszłym życiu był kotem, więc ludzkie życie bawi go o wiele bardziej niż nas, przywykłych do tego życia od wielu pokoleń. Bawi go jeszcze picie i żarło, a przede wszystkim nocne lokale. Posiada szaloną świeżość doznań, której mu można pozazdrościć. Rozmyślenia o chorobach, o „pozagrobówce”, które tak nas wszystkich prześladowają, tęsknota za tymi, którzy odeszli — wszystko to nie ma dostępu do mężczyzny-kota.

Niedawno dowiedział się, że należy mieć rasowego psa, kupił więc sobie długowłosego jamnika za półtora tysiąca; drażniło go jednak to, że pies jest taki przyziemny i ma takie krótkie krzywe nóżki, zaczął mu więc dawać Vigantol.

* (fr.) rapcie, rodzaj rzemieni do podtrzymywania szabli.

PIĘKNA ŻONA



Pieskowi po tej kuracji wyprostowały się nóżki, wyrósł na dużego, dziwacznego psa nie wiadomej rasy. Mężczyzna-kot jest tak dumny, że posiada takiego psa, jak nikt, że nie należy mu tej przyjemności psuć. Nie wiadomo bowiem, gdzie i przy jakiej okazji może być pożyteczny i kiedy go jeszcze będziemy potrzebowali.

Jeśli mogę wam radzić, o przyjaciele moi, to radziłabym wam nie poślubić nigdy pięknej kobiety. Niechaj piękna kobieta będzie raczej cudzą żoną. Bo i co za przyjemność mieć w domu na co dzień stworzenie, które modli się pod figurą (ale... własną) i które obnosi siebie z takim pietyzmem i ostrożnością, jak ktoś, kto niesie do oprawy obraz wielkiej wartości. Nie, stanowczo piękna żona nie jest do domowego użytku! Przede wszystkim, szkoda jej będzie siebie dla jednego mężczyzny (o tym wie chyba dobrze każdy z was, kto miał nieostrożność poślubić takie чудо). Musi mieć publiczność, która by ją podziwiała, tak jak sławna aktorka. Ponieważ jest w „swoim typie”, więc zazwyczaj nie kocha nikogo innego poza sobą. Temperamentu zwykle też nie posiada, bo temperament prawdziwy — to zmysły duszy, a pięknotka nasza posiada zazwyczaj tyle duszy, co róża lub brzoskwinia. Gdyby bowiem kobiety z duszą bywały również piękne, to wizerunki sławnych kobiet: Konopnickiej, Orzeszkowej, Curie-Skłodowskiej i Żmichowskiej wyglądałyby zgoła inaczej. Duszy i temperamentu nie posiada, ale zdradzać musi, odkąd cnota i piękność wzięły z sobą rozbrat; a było to już bardzo dawno temu, za czasów wojen krzyżowych.

Na tym tle zdarzyła się tego lata w Sopocie, w tym zbiorowisku najpiękniejszych kobiet z całej Polski, następująca autentyczna historia:

Pewien człowiek (czas nareszcie, aby nazwa „człowiek” nie odnosiła się tylko do skromnych pracowników fizycznych),

otóż pewien człowiek poślubił piękną dziewczynę. Kochali się bardzo, ale byli zmuszeni rozdzielić się na przeciąg kilku tygodni. Lekarz bowiem zalecił pięknej damie pobyt nad morzem, a jemu błotne kąpiele w Krynicy.

— Przysięgnijmy sobie — rzekł mąż — że się nawzajem nie zdradzimy — możemy się całować, a nawet trochę popieścić, wszystko — tylko nie... to!

Żona podniosła do góry dwa palce (w których tkwił kieliszek wódki gatunkowej) i powtórzyła za nim słowa przyrzeczenia.

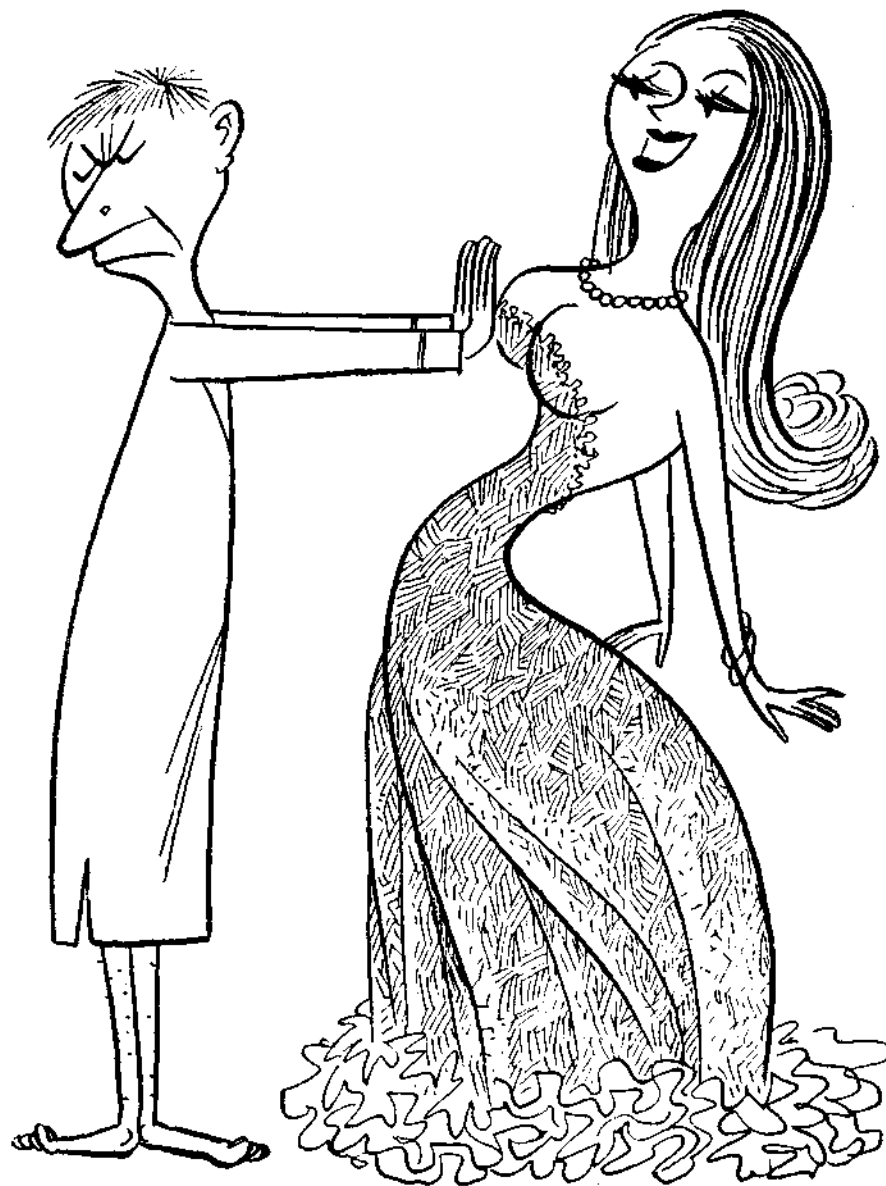
Po trzech tygodniach stęskniony mąż przyjechał do Sopotu i zastał swoją cudną żonę jeszcze piękniejszą. Opalona była na piernik, a paznokcie u rąk miała pomalowane na identyczny kolor jak usta. Zapytał ją o powód tej nowej kokieterii, a ona odparła z cudnym uśmiechem, że gdy się dłużej w zębach lub obgryza paznokcie, to nieestetycznie wygląda, jeśli usta są innego koloru niż paznokcie. W tym nie było jeszcze nic podejrzanego, więc zakochany mąż, skowycząc z miłości, porwał ją w objęcia. Strach, który dojrzał w jej oczach, wziął za zwyczajną u kobiet pięknych i eleganckich obawę, żeby jej nie zburzyć świeżo ułożonej fryzury.

— Czy mnie nie zdradziliś? — zapytała w pewnym momencie.

— Wyobraź sobie, że nie — odparł z triumfem. — Kręciła się koło mnie cudna kobieta, mówię ci — klasa! — „Już byłem w ogródku, witałem się z gąską”. raptem przypomniałem sobie o naszej przysiędze, zerwałem się i zwiąłem!

— Ty mogłeś to zrobić, tobie było łatwiej — zawołała płacząc piękna żona — skoro byłeś na wierzchu, ale ja...!

Oto drobny przykład, panowie, jak nie należy iść na lep kobiecej urody: nie można wówczas być pewnym dnia i godziny. Co innego wy, mężczyźni, wam zdradzać wolno, bo nie bierzecie tego zupełnie na serio; zresztą różnicę między zdradą żony i męża wytłumaczył mi najlepiej pewien przedwojenny dozorca kamienicy:



— Jeśli ja zdradzę żonę — rzekł — to tak jakbym z sutereny w której mieszkam, pluł na ulicę. Gdy zaś żona mnie zdradzi, to tak jakby ktoś z ulicy pluł do sutereny.

Przykład dosadny, ale pełen głębokiej słuszności.

Wyszukujmy sobie zatem, o przyjaciele moi, na żony kobiety nieładne, a wówczas z prawdziwą satysfakcją spoglądać będziemy na ich próżne wysiłki, ażeby sobie zdobyć jakiegoś fatyganta...

BRZYDKA ŻONA

Można być brzydką (choć to na ogół nie do twarzy), być umieć sobie dośpiewać piękność. Pamiętajmy o tym, że mężczyzna raczej niedowidzi. Jeśli się już koniecznie chce zwrócić na cośkolwiek jego uwagę, to trzeba postępować jak Anglik w Berlitz School. Mr. Percy Turner, który stawiał nogę na stole, wskazywał na but i wykladał zgromadzonym:

— *The boot.*

Lub też siadał na sofie, huśtał się na niej i pouczał: — *The sofa.*

Wracając do brzydkiej kobiety, powinna ona mówić, nie zniechęcając się, rano i w południe, czasem wieczorem, mniej więcej tak:

— Ach, co to musi być za szczęście być brzydką! Co za spokój boski! Tylko wtedy można chyba swobodnie używać życia. Powiedz mi, co ty czujesz? To musi być cudowne uczucie! Tak — to w ogóle nie sposób nawet przejść przez ulicę. Nieraz czynię w duszy wyrzuty moim rodzicom, że mi dali taką zwracającą uwagę twarz. Znów dostałam, niestety, list anonimowy z oświadczeniami. Spaliłam naturalnie. Co ci ludzie sobie myślą; nie widzą, że jestem mężatką i że kocham męża? Okropna gruboskórność! Ale wiesz, dziwne, że to nigdy nie spotyka moich znajomych. Mnie tylko jedną... Za co? — Ciekawe!

„Kobieta ma powodzenie! Coś musi mieć” — pomyśli sobie mąż i będzie ją widział piękną i niebezpieczną. Bo on zawsze wierzy na słowo — jak twierdzi Gina Lambroso, która badała duszę męską przez całe życie.



Gdy się ma trochę zaoszczędzonych pieniędzy, nie zawadzi kupić któregoś dnia piękny bukiet róż i posłać go sobie z biletem przez posłańca. Skąd wiecie, czy mnóstwo waszych znajomych kobiet tak nie robi?

Przyjąc bez ceremonii i postawić na widocznym miejscu. Wszystko to naturalnie — o ile nam na tym kochanym chłopcu, mężu, zależy.

Gdy się spostrzeże i zdziwi, należy westchnąć melancholijnie:

— Ty nie myślisz o kwiatkach dla mnie, więc inni mi je przysyłają...

O ile budżet domowy na to pozwoli, można wszystkie zakupione dla domu cukierki, babki czy owoce kazać w ten sposób przynosić.

Efekt będzie większy.

— Hojny bardzo nie jest — można dodać — ale za to o wszystkim pamięta.

Posłaniec kosztuje, ale cóż to jest w porównaniu z bezcenną dla kobiety awanturą, którą jej wreszcie zrobi wytrącony z posad mąż.

— Ja mam tego dosyć! Co to jest, do stu diabłów? Odsyłać mi to wszystko! Co te idioty sobie myślą? Że mnie tu nie ma?

Na to odpowiada się:

— Przepraszam cię, mój złoty, to nie moja wina, że się cały świat we mnie zakochał; trudno, mnie to tylko śmieszy, przecież ciebie jednego pomimo wszystko kocham... Nie jestem jak te inne gęsi, którym sukces przewraca w głowie. Możesz być na razie spokojny.

W słowach „pomimo wszystko” i „na razie” tkwi tak zawrotna mądrość, że tylko inteligentniejsi czytelnicy zdołają je należycie ocenić.

HOCHSZTAPLER

Jest to osobnik poniekąd szczęśliwy. Jeździ mercedesami, de facto uganiając się tylko własnym perpedesem; obraca milionami, chociaż ma w domu całego majątku tylko dziesięć złotych i kilka tysięcy długów. Przed wojną siedział za granicą, gdzie szalał (choć poza Polskę nie wyściubił nogi).

— Ach, te paryżanki! — mówi pstrykając palcami — miało się to to!

Hochsztapler, paląc cudze papierosy, krzywi się, ponieważ zostawił w domu papierośnicę z angielskimi Navy Cut. Wiśniówkę połyka ze wstrętem:

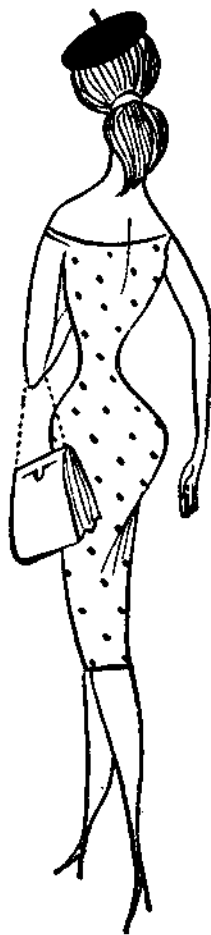
— Ja piję tylko gin — ale trudno. Skoro już nalane...

Na każde danie restauracyjne lub pensjonatowe kręci nosem.

— Świństwo — powiada — nie ma to jednak jak kuchnia domowa i gosposia! (A w domu w ogóle niczego nie posiada.)

Nosi jedno ubranie, zresztą czyściutkie i doskonale skrojone, bo reszta jest u krawców w robocie!

W zimie biega wesoły i pogodny w przewiewnym trenczu, każdego znajomego



zaczepia na ulicy, ażeby mu powiedzieć, że futro podbite lisami z kołnierzem z wydry jest właśnie na ukończeniu.

Odmian hochsztaplerów jest bardzo wiele. Najwięcej imponują im zwykle dobra materialne, ale jest również dużo hochsztaplerów na tle erotycznym. Ci opowiadają o swoich sukcesach miłosnych. Posiadali wszystkie co piękniejsze krawkowiarki lub łodzianki. Cóż, Łódź nie jest znów takim wielkim miastem!

— Podoba ci się ta lala? — mówi do przyjaciela ma dąsingu — Miałem z nią dziecko. A ta, widzisz, ładna — prawda? To najbogatszy kociak w mieście: chciała się koniecznie za mnie wydać, ale ja nie chciałem, bo ma uszy za wysoko osadzone. Tamta blondynka też miła dziewczuszka, tylko strasznie gryzie, jak całuje. Spotyka się również hochsztaplerów na tle własnej rodziny. Ci znów opowiadają cuda o majątku żony (niestety zamrożonym), o zdolnościach własnych dzieci (z których tylko jedno jest jego produkcją).

Po wojnie namnożyło się wielu hochsztaplerów na tle przeżyć wojennych. Ci zwykle kupowali sobie mundurek angielski z napisem na ramieniu Poland i paradowali w nim po mieście, nosząc do tego nałożony z fantazją na bakier beret baskijski.

Są również hochsztaplerzy-literaci i hochsztaplerzy-wydawcy. Hochsztapler-wydawca jest dla nas, literatów, typem może bardziej dodatnim od zwykłego uczciwego wydawcy, bo przynajmniej daje nam kilka dni, podczas których żyjemy bez troski, snując marzenia o kosztownych futrach i własnym aucie.

— Wszystko wydam, cokolwiek pan(i) napisze, niech pan(i) przyjdzie do mnie jutro do biura po zaliczkę — powiada z czarującym uśmiechem.

Znacie, o koledzy moi, tę piękną noc przed otrzymaniem zaliczki! Piękna ona jest, chociaż kosztowna, ponieważ z radości, że nazajutrz otrzymamy grubszą forszę, stawiamy wszystkim wódę na to konto. Nazajutrz jednak i przez kilka następnych dni nie możemy zastać w redakcji wydawcy-hoch-

sztaplera. Jego charakterystyczną cechą jest dematerializowanie się.

— To dziwne — mówią jego pracownicy rozglądając się wokół — był przed sekundą, może poszedł do drukarni... Proszę chwileczkę poczekać, przyjdzie zaraz na pewno.

Na hochsztaplera można jednak czekać tydzień, siedząc w jego gabinecie. Ma on w sobie coś z niewidzialnego człowieka Wellsa. Wystarczy odwrócić się na chwilę do okna albo przejść do innego pokoju, ażeby ów człowiek niewidzialny wpadł, załatwił coś ważnego i znów wypadł.

— Jak to, nie widział(a) go pan(i)? Przecież przed chwilą był tutaj! — mówią pracownicy.

Po kilkunastu dniach chodzenia i czyhania na pana Szefa spotykamy go nagle w kawiarni.

— Nie mamy papieru — powiada spokojnie, jak gdyby nigdy nic — ale zaliczkę możemy panu(i) dać: to przecież taki drobiazg! Proszę, niech pan(i) zgłosi się do mnie jutro do biura, forsa będzie dla pana(i) przygotowana.

Nazajutrz oczywiście forsy nie ma, są za to panienki, które na słowo „pieniądze” wybaluszają oczy, jak gdyby to było nie znane im cudzoziemskie słowo.

Ponieważ hochsztapler posiada tysiące apetytów, więc ma również apetyt na „bycie” dżentelmenem, który od kobiet nigdy pieniędzy nie pożycza. Żeby zaspokoić ich zachcianki, po-

życza za to pieniądze na „prawdziwe damy” od swoich naiwnych przyjaciół. Ma również apetyt na gest i czasem własnej żonie robi kosztowne prezenty opowiadając jej, że właśnie zrobił świetny interes (to znaczy — znów kogoś zdołał naciągnąć na pożyczkę).

Kobiet hochsztaplerek jest stosunkowo mniej. — „Za mało mają na to fantazji!” — jak powiedział pewien hochsztapler.



SPIRYTYSTA

Mąż profesor-spirytysta trafia się od czasu do czasu.

Jest to zwykle blady, poważny, brodaty, z lekka namiętny brunet.

Urządza u siebie często seanse w gronie najmądrzejszych i najfysiejszych profesorów kolegów.

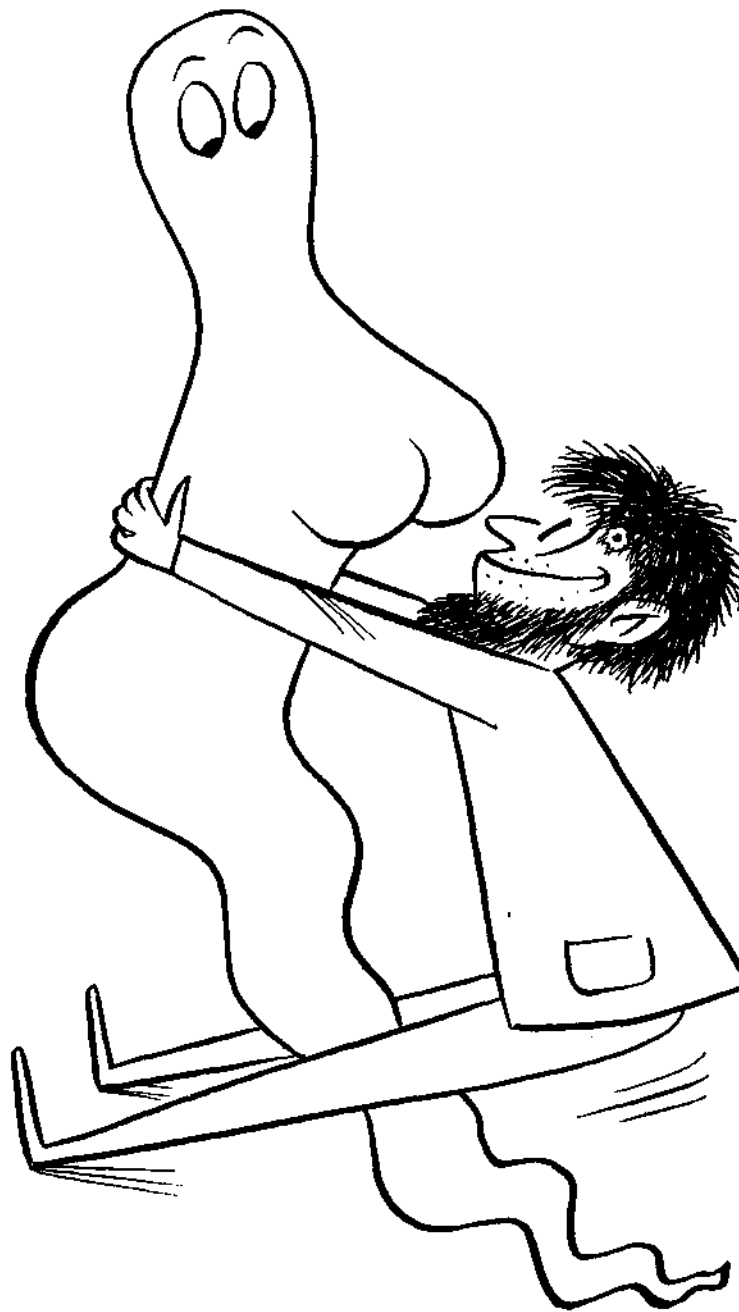
Otrzaskany ze zjawami, wycalowany przez dusze i duchy — niczemu się już nie dziwi. Prawdziwą miłość obiecuje żonie na tamtym świecie, o którym ma rewelacyjne wiadomości od duchów, że... nie różni się niczym od tego świata.

Najpiękniejszą jego chwilą w tym życiu będzie moment, gdy podczas seansu nagle dzwonek zadzwoni w korytarzu i... przy świetle lampy, wprost z ulicy, wejdzie do mieszkania materializacja niczym się nie różniąca od człowieka, jak ongiś Katie King Grookesa (która tym tylko różniła się od człowieka, że była kobietą).

Jeśli to będzie młoda i piękna dziewczyna — zatrzyma ją i będzie z nią żył dłuższy czas pod okiem żony i profesorów, pisząc równocześnie codziennie sprawozdania do „Annales Psychiques” o niesłychanej satysfakcji obcowania z duchami.

Któregoś dnia duch zniknie niespodziewanie z mieszkania. Wraz z nim niektóre przedmioty i pieniądze ulegną zdematerializowaniu.

Profesor wezwie wszystkich domowników na świadków dematerializacji zjawy i doniesie o tym panu Hektorowi Durville i profesorowi Schrenck-Notzingowi. Potem rozmówi się z nieobecną za pomocą medium lub stolika (stołowe nogi



nie są tak głupie, jak się wydaje) i dowie się, że zjawia jest w lepszym świecie, że go żegna, że pieniądze i przedmioty potrzebne jej były dla głodnych w Indiach, którzy tam teraz imię jego błogosławią...

Duch doda też, że od tej chwili będzie mu już tylko siostrą.

Wkrótce profesor urządzi odczyt, na którym pokaże zgromadzonym prawdziwy lok włosów, odcięty pięknej zjawie, z odrobiną nawet łupieżu, prócz tego rękawiczki znoszone przez nią, nawet miejscami dziurawe i trochę przepocone, guziczek, który odpadł jej od koszuli, kompletnie zmateriałizowany, i nożyczki, które złamała przy manicure.

Przedmioty te będą kursowały z rąk do rąk, wzbudzając powszechny podziw.

Żona spirytysty powinna interesować się spirytyzmem, zaznajomić się z seansami, nic się nie bać, czasem sama służyć jako medium... i ściągnąć koniecznie z zaświatów zjawę zdrowego i przystojnego młodzieńca, nie różniącego się niczym innym od człowieka, jak tylko tym, że będzie mężczyzną... Do tego stopnia, że się wcale nie będzie uważał za zjawę...

Profesor będzie zachwycony i zatelegrafuje zaraz do Paryża...

EGZYSTENCJALISTA

Najczęściej jest młodym plastykiem, który plecie farbami na płótnie brednie atomowe. Nosi bródkę na twarzy... i brudek za paznokciami, a poza tym wszystko to, co właśnie za granicą wyszło z mody, a więc: wąziutkie spodnie i koszulę w kwiaty, którą wyklada na wierzch.

Krótkie ordynarne słowa wymawia z taką pychą, jak gdyby on był ich wynalazcą. Uwielbia Zachód i nawet umie kilka słów po angielsku. Jeśli jest pisarzem lub poetą, to wówczas wyciera nos własnym rękawem. Kocha jazz, a przy rock and rollu wpada w szal przypominający szal tańczących derwiszów w Maroko. Przy owym wyglupie publicznym nie uśmiechnie się nigdy, ponieważ egzystencjalista winien być bezdennie smutny i beznadziejnie ponury. Poza jednym rock and rollem wszystko, co robi, robi źle. Myje się źle, pije nieudolnie, jada bardzo źle, zarabia mało, maluje okropnie, pisze jeszcze gorzej. Jak kocha — nie wiemy — i pewnie nigdy się nie dowiemy.

Egzystencjaliści mają swoje samiczki. Samice te są tak samo ponure, dumne i nie domyte jak oni. Noszą potargane wiechcie z włosów i oczy grubo podmalowane henną. Mają powody do smutku, jak również do pewnej dumy: ponieważ na ciuchach kupiły drogą amerykańską spódnicę — więc się martwią z powodu tego wydatku, a jednocześnie są dumne, że taką oryginalną kieckę mają na sobie. Z powodu noszenia od kilku lat pantofli bez obcasów mają wszystkie platfusy i tydkę tuż nad kostką, co też należy do polskiego egzystencjalizmu.



Egzystencjaliści stanowią zwarty klan nieszkodliwych wariatów, którzy zadają się tylko ze sobą i żenią się wśród swoich. Z polskich pisarzy znają tylko Hłaskę, Gałczyńskiego i Sartre'a.

Troską naszą w stosunku do nich może być tylko to, co będzie z nimi dalej. Egzystencjalizm na Zachodzie kończy się, bródki i ponurość dogorywają, zaczyna zwyciężać radość życia. Polski egzystencjalista i jego partnerka będą musieli kupić sobie mydło, szczoteczkę do włosów, żyletkę. Będą zmuszeni w uśmiechu pokazać zęby, które przez kilka lat starannie ukrywali. Brednie na płótnie i na papierze też wyjdą z mody. I co wówczas? Aż strach pomyśleć, co się stanie z tą kompanią, która tyle lat pozowała na coś, będąc niczym i nikim. Żal nam ich szczerze. Byli dla nas, ludzi normalnych, bezpłatną atrakcją.

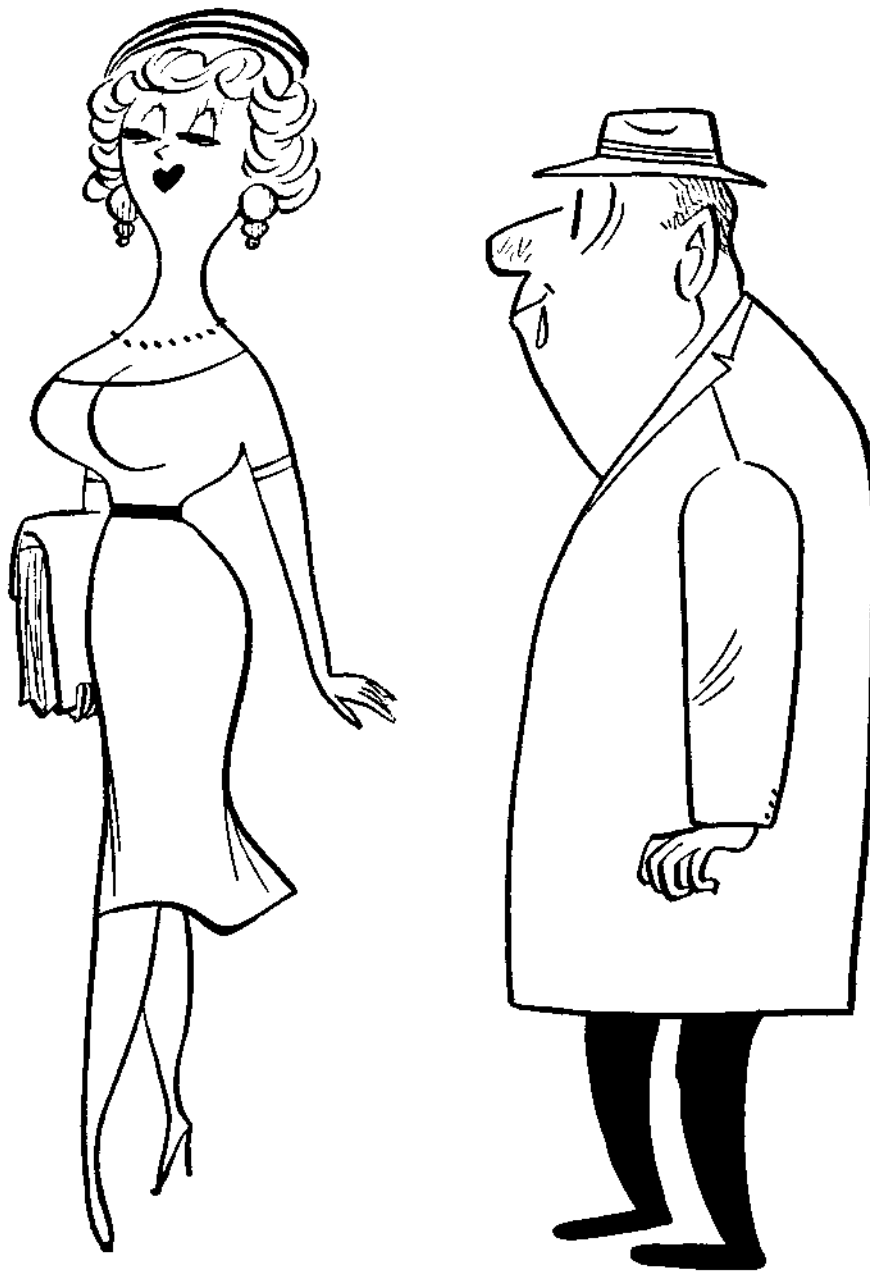
W Sopocie podczas jazzowego festiwalu, gdy całe takie grono w deseniowych koszulach wyłożonych na spodnie przechodziło ulicą, pewien mały chłopiec zawołał radośnie:

— Mamusiu, cyrk przyjechał!

OBLEŚNIK

Och, nie dla pana „śpiewam tę pieśń”, miły czytelniku. Jest pan młody (choć to mija z wiekiem), „mówią, że przystojny”, był pan przed chwilą w Zakopanem i teraz błyska pan z opalenizny białymi zębami i rogowymi okularami, które pan zdejmuje do czytania gazety z takim filmowym wdziękiem. Teraz kobiety gonią za panem, włączają do mieszkania, skaczą do oczu i ust, ale czy pan się zastanowił, młodzieńcze, co będzie za lat trzydzieści lub dwadzieścia?

Wiem, co mi odpowiesz, ty, przed którym drżą (z namiętności) najładniejsze mężateczki — odpowiesz mi, że „wówczas na pewno nie będę już żył!” — A skąd ta pewność? A jeśli losowi się zachce zatrzymać pana na tym padole śmiechu do... siedemdziesiątki? Co wówczas, Dzióbeczku?



Żona twoja weszła już w wiek poborowy, nie bawi cię, a nawet nie drażni, masz coraz więcej lat, a coraz mniej zębów i włosów, bo to dziwnie idzie z sobą w parze — i nagle ty, który lubiłeś dotąd raczej dorosłe kobiety, zaczynasz spoglądać tylko na „świeżanki” — powieki robione jak na miarę, nie farbowane loczki, królewskie łokietki, twarzyczki jak wielkanocne jajka z cukru, wszystko to wzrusza cię i porywa. Zamiast spoglądać na siebie do lustra, patrzysz na nie łakomie i obleśnie. Pragniesz tę młodość chrupiącą zjeść, połknąć jak ciastko z kremem. Ale już nie masz czym ich jeść, Kociaku! Twój apetyt jest jednak większy od twojego rozsądku. Kobietki poniektóre są, oczywiście, do kupienia, tak jak ciastka na ladzie w cukierni. Kupujesz je więc różnorodną monetą, raz protekcją, raz obietnicą dobrej posadki, raz perlonami; czasem wystarczy tylko dobra kolacyjka. Ciastko z kremem skrzywi się okropnie, gdy je napoczniesz, spogląda na ciebie ze wstrętem, ale cóż cię to obchodzi! Ty zaspokajasz swój podżołądkowy apetyt, a co

o tobie myśli ciasteczko, to cię zupełnie nie obchodzi. Twój brak kokieterii wobec kobiet-ciastek jest przerażający. W trakcie naprawiania ząbków każda kobieta udaje chorą, rano wymyka się chyłkiem do dentysty, a gdy ją ktoś przypadkowo spotka, zasłania usta chusteczką. Pan wprost przeciwnie! Łazi pan po ludziach ze swoją paszczką, która wygląda jak krakowski teatr miejski na „kłapie”, z pustymi, pąsowymi łóżami — i co gorsza tą pustą „widownią” chce pan całować kobiety! — Niech pan mi nie mówi, że nie, bo znam takie wypadki! — Brzuszek nosi pan z dumą młodej matki w rok po ślubie. Swojej fizycznej „kłapy” nie wstydzi się pan zupełnie. Całe wielkie lekceważenie, jakie podświadomie mają mężczyźni w stosunku do kobiet, występuje wówczas najwyraźniej.

„Pan chce — pan wymaga”, a jak pan wygląda i „z czym do gościa”? — to już sprawa podrzędna...

NUDZIARZ

Jest to częsty, ale najgorszy typ męża. Od rana w złym humorze, budzi żonę pytaniem:

— Proszę cię, kto wymiotował wczoraj wieczorem na dywan, czy to Roland? (pies).

Przy stole napada go gorzkie zniechęcenie. Je ze smutkiem, jakby mu przeznaczone było łyżkami osuszać staw łez ludzkich.

Mówi tymczasem:

— Pewnie, pewnie, dobrze, że mamy kucharkę, ale co by było, gdybyśmy tak kucharki nie mieli, czy dałabyś sobie radę? Śmiem wątpić.

Nazywa się to: patrzeć w przyszłość.



Później, między mięsem a leguminą, robi szklane oczy i bębni w stół. Jest wysoki, cytrynowy i tysiące w dwa rogi. Nie przynosi nigdy kwiatów, za to czasem zdarza się, że kupi na mieście wiązki szczypiorku czy kopru. „bo się nie można doprosić w domu”.

Poza tym jest idealnie dobry, prosty, ceniony przez mężczyzn. Niemniej, pierwszego dnia po ślubie mówi:

— Tu będą moje ręczniki, tu twoje, a dla naszego dzieciątka, które spodziewam się mieć z tobą, wiem już po środku.

Toteż gdy się od niego ucieka z kim innym, nie zaszkodzi poprzestawiać mu trochę przedmioty do użytku codziennego: np: kałamarz postawić pod łóżkiem. Tak się tym przejmie, że porządkując nie zauważy, że żony nie ma na swoim miejscu.

Od nudziarza... wolno uciec każdej z innym nudziarzem. Będzie najzupełniej wytłumaczona.

JOY-KILLER

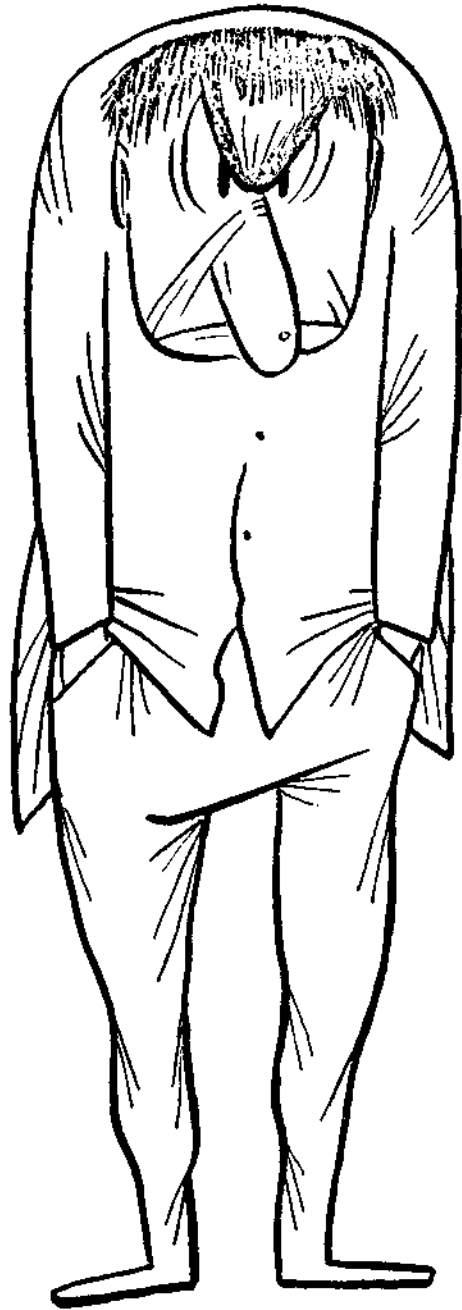
Po polsku brzmi to dłużej i gorzej, a mianowicie „morderca radości”.

Zwykle jest to mąż. Wraca po pracy do domu i zastaje na przykład nie żadnego kochanka żony w szafie między swoimi ubraniami, ale wesołe grono brydżystów zgromadzonych wokół stołu, z których żaden nie ma wobec jego żony erotycznych zamiarów. *Joy-killer* zachowuje się wobec nich w ten sposób, jak gdyby całe brydżowe grono, łącznie z paniami, chciało mu na dłuższy okres zakłócić spokój domowy.

— Jestem bardzo zmęczony — mówi spoglądając na żonę surowo.

Ludzie na ogół dwóch rzeczy boją się najwięcej: małżeńskich wymówek i pluskiew. (Pluskwa to typowy *joy-killer* i niejedną parę kochanków potrafiła spłoszyć i zasępić.) Żona przegrywa więc robra czym prędzej i przeprasza gości tłumacząc im, że pora jest późna i że jej małżonek musi się „udać” na spoczynek. Słowo „udać” jest w tym wypadku najstosowniejsze, ponieważ *joy-killer* udaje zmęczenie i gdy goście są już za drzwiami, ma do żony półgodzinne przemówienie o tym, jak ona o niego nie dba, po czym kładzie się na tapczanie i przez godzinę czyta książkę.

Joy-killer z trudem wierzy w śmierć cudzą, a już w żadnym wypadku w swoją, bo gdyby wierzył, tak jak wszyscy ludzie z poczuciem humoru, to by siebie, swojego zmęczenia i drobnych dolegliwości nie brał tak na serio. Znane powiedzenie: „śmiejmy się — może świat potrwa jeszcze tylko dwa tygodnie” — zupełnie do niego nie trafia. Śmiech bliźnich



drażni go. Bo i co to ma znaczyć? Ktoś powiedział jakiś głupi kawał i już jeden się trzyma za żołądek, drugi płacze, trzeci trzęsie się. Powariowali — czy co? Trzeba ich natychmiast uspokoić, ogłaszając im jakąś nieprzyjemną nowinę, że na przykład PIHM przepowiedział dłuższe oziębienie i opady lub że na kolację w pensjonacie będzie dorsz po polsku. Wiadomości takie na przykład, jak nowa wymiana pieniędzy lub podniesienie taryfy kolejowej do trzystu procent, mówi tylko najbardziej zaufanym, którzy oczywiście natychmiast przestają się śmiać i cały wieczór chodzą ze zwieszonymi głowami. Zepsuć zabawę, zaćmić radość życia — oto zadanie życiowe *joy-killera*. Gdy mu się to uda, potrafi nawet uśmiechnąć się podnosząc górną wargę do góry jak zły pies.

Joy-killerów spotykamy bardzo często na wesołych komediach w kinie lub teatrze i gdy wybuchamy głośnym śmiechem syczą nam w kark: — „Proszę o ciszę!”

Być żoną *joy-killera* — to prawdziwe nieszczęście. Przypomina on kościelnego, który kapturkiem na drążku gasi wesoły płomyk po mszy. Podobnie i on chodzi po domu i jednym cełnym powiedzeniem gasi każdy odruch pustej wesołości, każdą nową suknię żony, każdy nowy pantofelek. W pociągu można go poznać po tym, że trzyma w rękach zbiór humoresek Wiecha i ani razu się nie roześmieje.

Biedny, nieszczęśliwy *joy-killerze*, który nigdy nie popląkałeś się ze śmiechu, jakżeż bardzo jesteś liłości godzien!

UWODZICIEL

Przyjęło się ogólnie twierdzenie, jakoby kobiety były „łatwe” i „rzuciły” się obecnie na mężczyzn, a jednak w najlepszym towarzystwie widzimy młodzieńców, na których kolanach zauważamy zaledwie dwie lub jedną damę, a na kolanach i głowie innych po trzy lub cztery sztuki na raz. Na czym to polega? I dlaczego nieraz młodzieniec o podrzędniejszych walorach zewnętrznych ma u kobiet większe powodzenie niż młodzian, który wspaniale wystrzelił w górę i jest piękny jak młody bób (bób — odmiana fasoli).

Rozróżniamy trzy gatunki uwodzicieli: uwodziciel we własnym mniemaniu, uwodziciel fachowy i uwodziciel mimo woli.

Pierwszy typ, rekrutujący się zwykle z młodych aktorów filmowych lub scenicznych, kocha tylko siebie, a w towarzystwie, „pijąc zdrowie pań po raz pierwszy” (jak to pijący zwykli mówić), zwraca instynktownie kieliszek najpierw w swoją stronę. Damy, które powinny się w nim zakochać, bawi rozmową o sobie, o swoim powodzeniu u kobiet lub na scenie, o sukcesach w prasie itp. Ale kobietki są cwane, wiedzą doskonale, że taki zakochany w sobie będzie w miłości też tylko myślał o własnej przyjemności, i skromnie odwracając od niego swoje biuściki. Powodzenie miewa on tylko u niedoświadczonych pensjonarek i ich babek. Piękne wyderki, te które uprawiają z zapafem wspinaczkę kolejką na Gubałówkę w Zakopanem i które w tym sezonie kompletnie zbarańiały (jeśli chodzi o gatunek futer), nie polecą na takiego!

Fachowy uwodziciel jest zwykle trochę starszym młodzieńcem, który ma na opalonej twarzy kilka bruzd, a na ciemnej

czuprynie jedno skrzydełko z siwiejących włosów. Fachowy uwodziciel, jeśli jest naprawdę mądry, zachowuje się w pierwszej fazie uwodzenia jak ksiądz w konfesjonale wobec pięknej, młodej penitentki. Sam nic nie mówi, tylko z całym zainteresowaniem i skupieniem wysłuchuje tego, co mówi kobieta o sobie. Czasem spowiedź jej przerwie westchnieniem, w rodzaju: — „Dziecko, jakie ty masz oczy” — i słucha dalej. Wie on doskonale, że dać się wypowiedzieć kobiecie do dna — to już prawie mieć ją w ramionach. Fachowy uwodziciel wie również, że sama miłość to za mała przyjemność zmysłowa; zaprosiwszy więc kobietę do siebie przygotowuje nalewkę zrobioną własnoręcznie na spirytusie i kanapki. Jeśli zdobycz jest damą z „najlepszego towarzystwa”, to wykosztowuje się na pudełko sardynek i butelkę francuskiego wina. Gdy zdobycz jest osobą koło czterdziestki, powinien do niej mówić: „córku” lub „synku”. Jeżeli ma zamiar kontynuować ten flirt, w żaden sposób nie powinien powiedzieć po ataku miłosnym, tak jak pewien młody bubek: — „Trzeba przyznać, że kolacyjka u Maciusiów była naprawdę świetna!”

Pozostało u kobiet w tradycjach, że po uwiedzeniu, chociażby to nawet ona była owym królikiem, „który pierwszy zaczął”, należy kobietę pocieszać, pogłaskać, całować drobnym maczkiem po uszkach i włosach.

Największym jednak powodzeniem u kociaków cieszy się zwykle uwodziciel mimo woli. Miły ten sportowiec w zmyślnej wiatróweczce, studiujący przy tym prawo, przyrodę, medycynę lub filozofię nie robi absolutnie nic, ażeby się kobietom podobać. Głośnej pięknotce mówi pogardliwie: — „Zupełnie nie rozumiem, dlaczego pani uchodzi za ładną; w każdym razie nie jest pani w moim typie...” Poznawszy w towarzystwie osobę, która nie będąc piękną miała o sobie i o swoim wieku dobre mniemanie, powie jej komplement tego rodzaju: — „Wie pani co? Pani mi się podoba, bo mnie to się podobają zwykle takie, które nie są ani ładne, ani młode, ani mądre”.

Najgroźniejszy ze wszystkich uwodziciel mimo woli jest zwykle bezczelnie zgrabny, bezczelnie męski, bezczelnie pogardliwy w stosunku do kobiet, który je chrupie jak owoce, a serca ich wypływa jak pestki. Dobrze jest, jeśli przesiedział się w obozach, a jeszcze lepiej, jeśli bił się pod Monte Cassino. Bezwarunkowo powinien mówić dobrym gardłowym akcentem po angielsku, wówczas mu się żadna kobieta Polska nie oprze.

DZIECIORÓB

Dzieciorób jest zwykle wysoki, chudy i podobny do dziecięcia: jest albo dozorcą kamienicy, albo arystokratą. Od „wielodzieictwa” nie wstrzyma go nawet skrajna bieda. „Daje Pan Bóg dzieci — daje i na dzieci” — powiada z obłętnym uśmiechem. — „Od przybytku głowa nie boli”. — „Głowa... zapewne...” — westchnęła na to żona pewnego Dziecioroba.

Gdy rok po ślubie żona jego nie zdradza jeszcze objawów macierzyństwa, idzie piechotą do Częstochowy, a ją wysyła do Krynicy. Szczęśliwy i spokojny jest dopiero wówczas, kiedy jedno dziecię jest w drodze, drugie w wózeczku, trzecie spadło z fotela i potłukło się, czwarte przyniesie z kuchni marchew, pułapkę na myszy, ronderek, obgryzioną kość i puste pudełko od zapalek i to wszystko położy gościowi na kolanach („ono już nie wie, jak cię ugościć” — mówi z dumą Dzieciorób), piąte dostało dwóję, a szóste nie wróciło z Anglii. Przekręciwszy stare przysłowie o kucharkach, można by powiedzieć, że „gdzie bachorów sześć, tam nie ma co jeść” — ale to wcale nie zraża Dziecioroba, ażeby nie marzyć o siódmym.

W mieszkaniu Dziecioroba pachnie jak w klatce z lisami; on tego oczywiście nie czuje i ponieważ jest hojny z natury, zaprasza gościa, ażeby usiadł i wypił filiżankę herbaty (u Dziecioroba silniejsze trunki pije się tylko wówczas, gdy się po drodze jakieś dziecko nie uda; pije on wówczas z rozpaczą).

Nasz „fabrykant aniołków” z anielskim uśmiechem zdejmuje z pieca pieluszkę i wyciera nią filiżankę, po czym okropnie się dziwi, dlaczego gość wzbrania się pić herbatę.



Swoją produkcją zachwyca się bez przerwy; jego zdumienie, że nie urodziły mu się kanarki albo myszy — nie ma granic.

— Mnie tylko niepokoi Zbyszek — mówi gościowi Dzieciorób. — Jest stanowczo zanadto mądry i rozwinięty jak na swoje trzy latka.

— Czy koteketeteka można zjeść? — odzywa się spod stołu mędrzec.

— No, proszę — triumfująco mówi Dzieciorób. — Raz tylko w życiu widział u znajomych kotka i nie może go zapomnieć; ale to jeszcze nic, wczoraj budzi nas o świcie i słyży, jak się wróble za oknem wydzierają. „Żabki” — mówi pełen zastanowienia.

— Dlaczego „żabki”? — dziwi się gość.

— Widzisz! — raduje się Dzieciorób. — Tobie by to nie przyszło do głowy, prawda? Ale widzisz, on ma tak rozwiniętą pamięć, że przypomniał sobie, jak w zeszłym roku żaby za oknem w bajorku kumkały. No, przyznaj, że to dowód niesłychanej inteligencji.

Dziecioroba przed ślubem można poznać po tym, że mówi do narzeczonej: „Chciałbym, abyś została matką moich dzieci”. Gdy tego nie powie i jest pod względem dziecioróbstwa zakonspirowany, należy rozmowę skierować na temat owej kobiety, która urodziła czworaczki. Jeśli wówczas powie: — „Szczęśliwa kobieta, wykonała na poczekaniu robotę, którą powinna wykonać w ciągu czterech lat” — to znaczy, że ma się do czynienia z najbardziej typowym Dzieciorobem, a mądra osoba powinna mu wówczas zaproponować tylko przyjaźń i... nic więcej.

Żona Dziecioroba po kilku latach pożycia z nim wędnie, brzydnie zastraszająco (typowe Dziecioroby nie uznają malowania się i niszczą pomadki do ust i szminki, ponieważ dzieciom może to dać zły przykład); a znajomi, którzy jej kilkanaście lat nie widzieli, mówią, gdy ją spotkają na ulicy otoczoną wianuszkami dzieci:

— Nie, doprawdy, nie wygląda pani na takie duże wnuki!

DŻENTELMEN

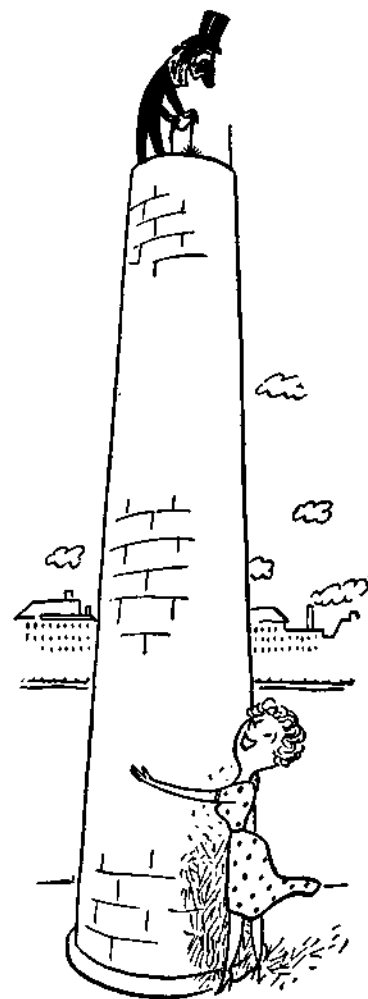
Dżentelmenów jest w Polsce bardzo mało, ponieważ fach ten jest mało popłatny. Osobiście tylko za dwóch moich znajomych mogę ręczyć, że są bezwzględni dżentelmenami: jeden z nich to kominiarz, drugi — listonosz pieniężny.

Weźmy na początek pierwszego. Oto wchodzi do naszego mieszkania bezwzględny brunet w pełnym kominiarskim rynsztunku, uśmiecha się białym uśmiechem i z wrodzonym taktem udaje, że nie zauważa, iż się na jego widok z zapalem kręci guzik od ubrania (co, jak wiadomo, przynosi szczęście). Nie zazdroszcząc nikomu niczego, co jest też zasadą dżentelmena, idzie czyścić piec. Każda pani domu wie doskonale, że wszystko, co jest drogocenne w mieszkaniu, można bezpiecznie zostawić pod opieką kominiarza-dżentelmena i że nie ma wypadku, ażeby brunecik coś „zwał”. Po skończonej robocie podaje rachunek i wcale nie okazuje zdziwienia (prawdziwy dżentelmen nigdy się niczemu nie dziwi), gdy mu właścicielka mieszkania da napiwku tylko pięć złotych. Kominiarz nie wszczyna nigdy rozmów politycznych, tak jak malarze i murarze, wiedząc, że prawdziwy dżentelmen chowa swoje przekonania polityczne dla siebie i swoich najbliższych. Ponieważ dżentelmena wyobrażamy sobie jako człowieka pozbawionego lęku, a również z pewnym zacięciem sportowym, więc też często, wyjrząwszy rankiem przez okno, widzimy naszego murzynka, gdy na dachu pięciopiętrowej kamienicy wykonuje niebezpieczne ewolucje, za które kto inny otrzymałby w cyrku rześiste brawa. Wykonawszy swoją „czarną

robotę”, ze zwinnością ekwilibrysty złazi po drabinie i znów idzie czyścić inne kominy z uśmiechem i pogodą ducha prawdziwego dżentelmena.

Drugi dżentelmen w Polsce — to listonosz pieniężny. Czy zastanawialiśmy się kiedy, jakiego potrzeba hartu woli i opanowania, ażeby czegoś szeleszczącego nie uszczknąć, gdy się ma całą torbę wypchaną banknotami? Jako literat absolutnie nie wytrzymałabym tego rodzaju próby. Tymczasem nasz dżentelmen nie tylko nigdy tego nie robi, ale po jego szczerym spojrzeniu można przypuścić, iż nie grzeszy w tym kierunku nawet myślą. Dlaczego, wypłacając odbiorcy przesyłki grubszą forszę, nie jest zły, naburmuszony i nie pała zazdrością — to też trudno zrozumieć. Przeciwnie, uśmiecha się i jako hiperdżentelmen cieszy się cudzą radością. Dżentelmena-listonosza nikt nie ocenia, czego on, będąc na wyższym od nas poziomie, wcale nawet nie wymaga. Nikt go nie prosi, ażeby usiadł, nikt go nie częstuje wódką lub chociażby herbatą. Chętnie bierze napiwki, co jego obrazu prawdziwego dżentelmena zupełnie nie mąci. Napiwek a łapówka — to zupełnie co innego.

Ponieważ nikt z was, panowie, nie dorósł do poziomu moralnego kominiarza i listonosza pieniężnego, więc też nie



WAMPIR

wymagamy od was tego opanowania, hartu woli i pod każdym względem doskonałego wychowania, niemniej jednak w drobnych sprawach można postarać się, ażeby przynajmniej wejść na pierwszy stopień dżentelmeństwa. Oto kilka wskazówek: kłaniać się z kordialnym uśmiechem znajomemu, któremu nie macie zamiaru oddać długu; wyższy stopień: zaczepić go z radosnym okrzykiem i zapewnić, że mu się danej sumy nie odda. Nie mówić koledze o kobiecie, z którą spędziłeś miły wieczór: — Powiadam ci, taaka kobita! (Przy słowie „taaka” nie dżentelmen zgina oczywiście łokieć). Przy grze w karty nie prosić nagle pani domu o szklankę wody, szczególnie gdy pani domu wchodzi też w skład grających. Nie macie pojęcia, jaką nieraz dywersję robi taka głupia prośba. Każda pani domu zaproponuje wówczas herbatę, ponieważ zwykle łatwiej jej to przychodzi, ale pan uparł się i chce tylko szklankę wody, chociaż jej w domu nigdy nie pije. Woda w karafce stojąca na stole jest zwykle „wystała”, trzeba zatem iść do kuchni, myć szklankę, puszczać przez chwilę wodę z kranu i na talerzyku podać ów rzadki nektar. Zły przykład robi swoje. Momentalnie drugi gość też prosi o szklankę wody, trzeci z głupkowatym uśmiechem również, a czwarty widząc, z jakim zapalem tamci popijają, spoziera tak wymownie, że zniecierpliwiona pani domu odkłada karty i przynosi z kuchni całą karafkę wody.

Materiał na dżentelmena ma zawsze przy sobie papierosy. Gdy „podchodzi już prawie pod kominiarza lub listonosza pieniężnego”, nie chowa do kieszeni cudzego pudełka zapalek (rzecz najtrudniejsza do opanowania), nie powinien nosić przy sobie cudzych listów, które miał gdzieś oddać lub wrzucić do skrzynki, a zapomniał lub mu się po prostu nie chciało. Tańcząc na dansingu, niech nie wybębnia synkop na gołych plecach tancerki, a siedząc z kobietą w kinie, niech nie opowiada jej głośno treści filmu — niech już raczej robi co innego! Dżentelmen nie wypija nigdy tego kieliszka, który mu może zaszkodzić, i nie wraca do domu „ciężko popity”.

Małżeństwo nie jest złe, od czasu do czasu można więc, panowie, żenić się. Potrzebny jest do tego ślub cywilny i cywilna odwaga. Strój, oczywiście spacerowy, niby że tak *en passant** wstąpiło się w związek małżeński. Należy jednak pamiętać, że „z kim sobie pościelesz — z tym się wyśpisz”!

Najgorszym typem żony jest „wampir”, nie żadna Lollo-brygida tylko zwykle wampirzysko, które wysysa z człowieka jego siłę żywotną. Nieraz zapytujemy siebie, jak to się dzieje, że jakieś indywiduum męskie, przed ślubem tęgie, zdrowe i pełne zapału do życia, zaczyna po kilku latach małżeństwa wyglądać jak balonik, z którego pomału wychodzi powietrze; wiotczeje, kłęśnie, tysieje i zaczyna znikać z wielkiego półmiska życia jak suflet. Powodem tego jest wyłącznie i jedynie połączenie się z kobietą-wampirem. Czy nie zdarzyło się wam siedzieć w towarzystwie pięknej kobiety, która tym, co mówi, i aurą, którą wydziela, zaczyna was tak fizycznie osłabiać, że po godzinie siedzenia w jej towarzystwie ście-racie pot kroplisty z czoła i chwiejnym krokiem, czepiając się po drodze przydrożnych krzeseł, dążycie do bufetu, ażeby się wzmocnić i czymś pokrzepić?

Owa kobieta mówi w ten sposób:

— Dla mnie jedynym ważnym meblem jest wanna...

W tym momencie przypomni ci się wierszyk Fredry: *Małpa w kąpieli*, uśmiechasz się więc i słuchasz dalej.

* (fr.) mimochodem.

— Można powiedzieć, że ja w wannie mieszkam, po prostu gdy wychodzę, to tylko po to, ażeby pójść pływać na basen...

— To kiedyż w takim razie pani jada?

Uśmiech perłowy i dalszy ciąg:

— Ja kocham jeść! Jem, gdy na chwilę wyskoczę z łazienki. Lubię proste jedzenie: surową polędwicę, pomarańcze, sałatę... To ciekawe, ale nie znoszę mącznych potraw; za to czekoladą można mnie kupić, a cukierków znów nie lubię...

— A kiedy pani sypia? — ciagniesz swój przymusowy wywiad już z lekka zmęczonym głosem.

— Ja jestem jak kot, sypiam gdzie bądź, na czym bądź, mogłabym zasnąć nawet na czyichś kolanach; zwijam się w kłębuszek i tylko takie olbrzymie rzęsy sterczą z tego kłębuszka i burza jasnych włosów (w tym miejscu potrząsa czupryną, ażeby to zademonstrować, i znów zniewalający uśmiech perłowy). Powinna być, prawda, zostać artystką filmową, ale gdzieżby u nas w domu na taką rzecz pozwolili; a trzeba było wiedzieć, jaką ja byłam cudną dziewczynką; smarkula taka, a wszyscy się już za mną oglądali na ulicy. Matka to mi nieraz dawała po łapach za to, że jestem taka śliczna. — „Jak będziesz tak wyglądać — mówiła — to nie przejdiesz spokojnie przez życie”. A tu te oczy jak gwiazdy, ta twarzyczka małej cyganki... te nóżki...

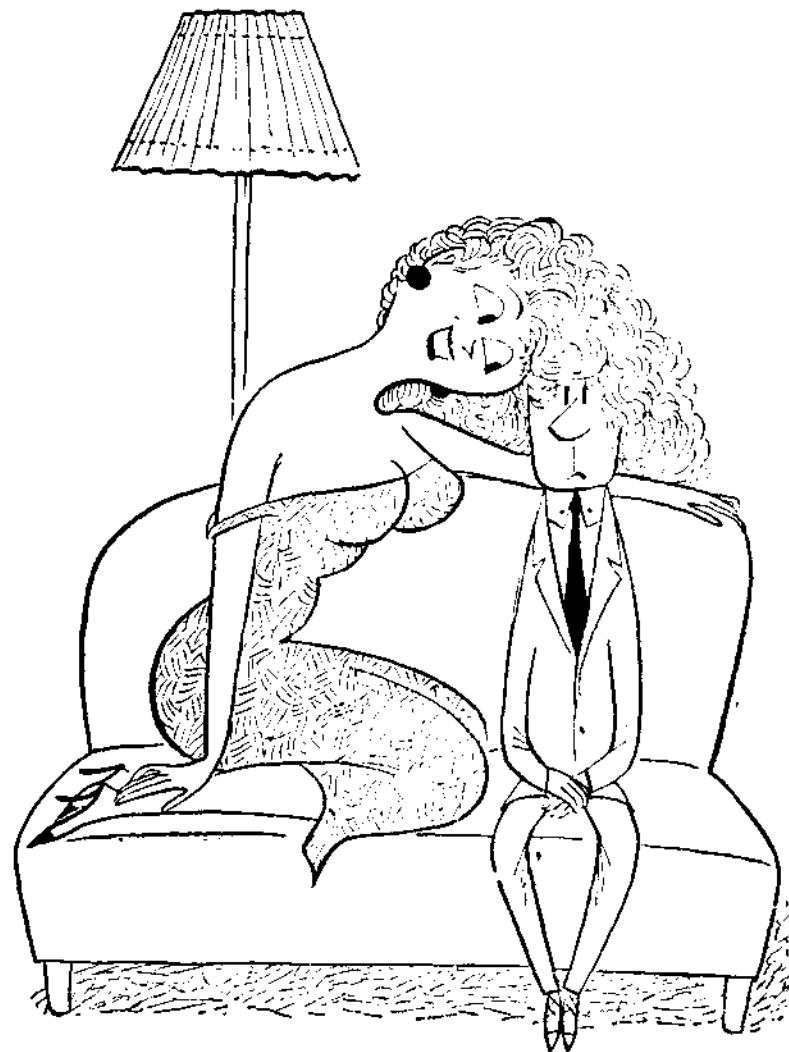
Wyczerpany, znękany, chcesz odejść, ratować jeszcze resztkę twych sił żywotnych, ale wampir chwyta cię za rękę:

— Jeszcze panu opowiem, jak to chcieli gwałtem zaangażować mnie do teatru; dwóch dyrektorów rozbijało się o mnie...

— No i co? Czy rozbili się? — pytasz już nieprzytomnie.

— I jak jeszcze; jeden chciał się gwałtem ze mną żenić, drugi też, a ja głuptas, cóż pan chce, siedemnaście lat, zamiast z tego skorzystać, to zapisałam się do sekcji wioślarskiej. Rozumie pan: woda! Mój żywioł! „Ryba” wołali na mnie w domu...

Jak to się dzieje, że tego rodzaju wampiry wychodzą jednak za mąż i to nieraz kilkakrotnie, wytłumaczyć można



tylko tym, że mężczyzna w ich towarzystwie tak słabnie i traci wolę, że robi to, czego wampir zapragnie. Jeśli się w porę nie rozwiedzie, to umiera „na samobójstwo” albo naturalną śmiercią na zanik ciałek czerwonych lub ane-

mię mózgu. Ci, co się ze szponów wampira wyrwali, a chcą się jeszcze raz ożenić, dają do gazet pod rubryką „matrymonialne” następujące ogłoszenie: „Rozwiedziony, nie z własnej winy, poślubi dla wspólnego dobra istotę cichą, skromną i małomówną, może być nawet bogata i nieładna”.

Mężczyzn wampirów spotyka się również, chociaż o wiele rzadziej. Są to zwykle profesorowie lub literaci, ludzie uczeni i światli, którzy wykładają, najczęściej o sobie, o swoich poczynaniach i pracach, albo o atomie i penicylinie, ale to tylko w pociągu.

Napięcie myśli, żeby zapamiętać, co było na początku, sprawia, że po pewnym czasie słabniemy i musimy zażyć proszek od bólu głowy. Wampiry, zważcie, wyglądają zawsze zdrowo i kwitnąco; nie szkodzi im picie i palenie. Cóż dziwnego? Karmią się nami, zbierają, jak pszczołka sok z kwiatów, soki naszej żywotnej siły. Wampir zamknięty, odosobniony załamuje się i kończy się szybciej od innych ludzi. Nie ma bowiem do kogo gadać...



JADZIA

— Nie sprowadzaj kominiarza, przecież wiesz, że on do mnie oko robi. Nie masz ambicji za grosz. W każdym razie nie zostawiaj mnie samej w domu, gdy on siedzi w kominie, bo mi kiedy dosłownie spadnie z pieca na łeb. Już mi ofiarował kalendarzyk, pomyśl tylko! Myśli, że można mnie kupić kalendarzem! Czekał chwilę i odszedł smutny. Ja już wiem, o co mu chodziło...

— O złotego!

— Fe, jaki z ciebie cynik, nie wszyscy są, jak ty, materialistami. Kominiarz z pewnością stoi wyżej od ciebie!

— Gdy jest na dachu — dokończył mąż Jadzi ze złością i wyszedł.

Jadzia usiadła.

Była ona przystojna ową przystojnością nieco jakby pokąsaną przez pszczoły: poza tym kobietką, jakich dzięki Bogu nigdy nie zabraknie.

Toteż wszyscy się w niej kochali.

Ona sama zaręczała, że tak jest.

— Listonosz jest zazdrosny o mnie, dlatego mi listy chowa. — Zginął mi już list od Pyzia i list od Kitka, mógłbyś w to wglądnać!

Na ulicy zwracała powszechną uwagę.

— Czemu się oglądasz za tym panem? — zapytał ją mąż.

— Ażeby wiedzieć, czy on się czasem za mną nie ogląda, bo zaczyna mnie już nudzić, *à la longue** to zwracanie na mnie uwagi.

* (t.j.) z czasem, na dłużej.

NIEBEZPIECZNA RYWALKA

— Do tego sklepu nie wchodźmy, proszę cię, bo tu jest ten głupi subiekt, który tak się denerwuje, jak ja wejść, że kiedyś spadnie z drabinki, na którą włazi na mój widok. Za to do tego, ot tu, zacnego sklepiku — możemy wejść. Tam wprawdzie jest kasjerka, która do mnie robi oko, ale mniejsza z tym. To już jest drobiazg.

Przechodząc przez ulicę Jadzia obejrzała się za jakimiś dwoma panami, pośliznęła się i wpadła, ku wielkiemu niezadowoleniu męża i jej samej, pod jadące auto.

Szofer zdążył zatrzymać wóz i tylko wachlarz musnął niechętnie Jadzię gestem dalekim od gestu wachlującej się markizy...

Jadzia wstała, mocno ogłuszona, poważnie zablocona, blada asfaltowo.

Zacieraając ręce przystąpił policjant i zaczął pisać coś (słodki bilecik do przejechanej, naturalnie), a mąż Jadzi i szofer kłócili się (będzie pojedynek o Jadzię!).

Tłum zbierał się i otoczył szczelnie auto, Jadzię i resztę towarzystwa.

Pani w limuzynie nie wiedziała, o co chodzi, i rzekła niechętnie do szofera:

— To nie tu, mówiłam wyraźnie: róg rynku i Zielonej, apteka Pod Aniołkiem.

A Jadzia, trąc sobie łokieć, tłumaczyła mężowi z triumfem:

— Patrz, jaki tłum się zleciał, aby na mnie patrzeć! To nieszczęście! Powiem — to tragedia takie powodzenie!

— Panie policjancie, niech pan to zrobi dla mnie, dla mnie, nieprawdaż? i zostawi tego szofera w spokoju. On nie winien, to... raczej ja... Zapatrzył się na mnie jadąc; za to nie może człowiek odpowiadać... Przebaczam mu to, nie pierwszy raz mi się to zdarza, niestety.

— Chodź, Józiu! A na drugi raz nie mów, że błągnię o moim powodzeniu!

Nawet najpiękniejsze kobiety nie przedstawiają poważnego niebezpieczeństwa, jeśli są wesołe i hałaśliwe.

Strzeżcie się kobiet milczących, łagodnie nudnych, patrzących na mężczyznę wielkimi oczyma zdziwionego dziecka lub zranionej gazeli.

Za wiele okrzyków, śmiechów, złości, zacepek — chybia celu.

Mężczyzna jest pod tym względem jak wszystkie zwierzęta. Zbliża się śmielej i z większą ciekawością do spokojnie siedzącej postaci, która go nie goni, nie płoszy i... nie straszy.

System jednej mojej znajomej, wielkiej uwodzicielki, polegał na milczeniu i intensywnym wpatrywaniu się oczyma z lazuru w gentelmena, którego chciała skokietować.

Było to patrzenie pełne rosnącego zdumienia, rzucane ukradkiem, tak, aby on ją na tym kilka razy niby przyłapał.

— Co ona mi się tak przygląda? Poznała się na mnie czy co u diabła? — myślał później wzruszony mężczyzna i odtąd pożądał tej niepokojącej kobiety, którą przyprawił o ciche, zapatrzone zdziwienie.

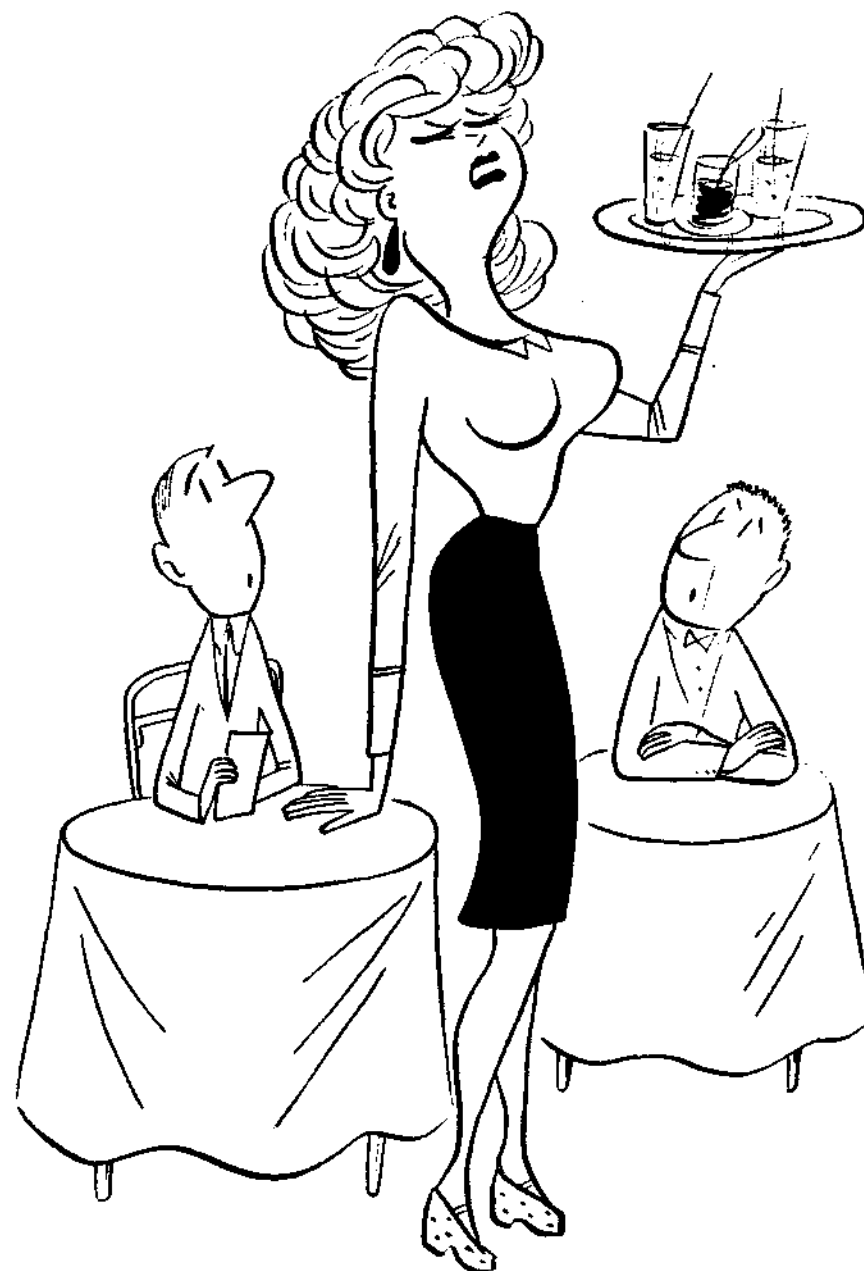
Milczące kobiety mają też zazwyczaj opinię osób, które niezwykle umiejętnie podtrzymują i prowadzą konwersację.

PAN STARSZY

Jest rozkoszna bajka Andersena pod tytułem *Wszystko na swoim miejscu*. Nie pamiętam dobrze jej treści, ale wiem, że w jakimś zaklętym domu różne rzeczy działały się na opak i w końcu przyszła dobra wróżka, tupnęła nogą i krzyknęła: — „A teraz wszystko na swoje miejsca!” — i wszystko momentalnie wróciło na swoje miejsce.

Podczas okupacji nie, jak wiadomo, nie było na swoim miejscu. Kiepski malarz prowadził wojnę, właściciele kamienic byli dozorcami, profesorowe chodziły z korkami na rękach zamiast na nogach i starały się je sprzedawać w cukierni, literaci spisywali się bardzo dobrze jako uliczni sprzedawcy lodów, a „damy z towarzystwa”, wszystkie, ile ich było, zaangażowały się do kawiarni i restauracji jako kelnerki. Damy te najchętniej nie obsługiwały gości, tylko siedziały przy stolikach i poniekąd przypominały jamniki, bo też miały krzywe nogi i odchodziły w przeciwną stronę, gdy się na nie wołało. Poza tym z dezynwolturą prawdziwych dam kichały w ciastka i nabijały gości w tak zwaną butlę, ile się dało. Przy rachunku, źle wymawiając niektóre słowa, nieraz zarobiły sobie niespodziewanie. A wyglądało to w ten sposób: — „Dwie kawy, dwa ciastka, czysta...” Zalany gość rozumiał „trzysta” i płacił bez sprzeciwu. Gdy się raz udało, co szkodziło później źle wymawiać — a nuż się znów ktoś da nabrać?

Pod względem chytryści i cwaniactwa prześcigały najbardziej wyrafinowanych kelnerów. Nabijając gości miały przy tym minę ambasadorowych, które łaskawie własnoręcznie po-



dają gościom kawę lub herbatę, uważając, że konsument powinien czuć się tym ich gestem wybitnie zaszczycony.

Co się podczas wojny działo z fachowymi kelnerami? — Nikt nie wie. Czy przesiedzieli się wszyscy w obozach, czy zwiiali za granicę? Nie było w żadnym polskim mieście kelnerów ani na lekarstwo. I przyszła dobra wróżka Nemezis (pesymiści twierdzą, że nie taka znowu dobra), tupnęła nóżką, wykrzyknęła: — „Wszystko na swoje miejsce!” — i wówczas „damy” powróciły do swoich zajęć przedwojennych, mężów przedwojennych lub wojennych, a jak grzybki po wódce ukazali się fachowi kelnerzy w ciemnych ubraniach lub białych kurtkach, ci sami co dawniej.

A teraz — co należy posiadać, jakie cechy i zalety, ażeby być dobrym fachowym kelnerem? Przede wszystkim mowa polska, bardzo słusznie, od jakiegoś czasu udzieliła kelnerowi, nawet młodemu, tytułu „pana starszego”. — „Panie starszy! — woła gość w barze, w którym usługuje tylko jeden osobnik rodzaju męskiego. — Płacić!” A więc dlaczego „pan starszy”? Otóż dlatego, drodzy czytelnicy, że fachowy kelner powinien posiadać wszystkie cechy człowieka starszego i równoważonego. Ma być starszy od gości, rozumieć ich zachcianki, okłamywać w miarę, jak to czynią z dziećmi starsze osoby, podeprzeć ich, w razie kompletnego zalania, opiekuńczym ramieniem i wyperswadować im różne kulinarne pomysły, których dany lokal nie może zrealizować. Gdzież „damom z towarzystwa” brać się do tak delikatnej i odpowiedzialnej roboty! To potrafi tylko fachowy kelner, czyli „pan starszy”. Pan starszy powinien również udzielać gościowi, który jest przecież tak dziecinny, wielu dobrych rad:

— Pan dobrodziej zamówił śledzika? Nie radziłbym po słodkiej wódeczce śledzika, natomiast radziłbym kielbaskę na gorąco z chrzanem.

Lokal tego dnia nie dysponuje właśnie śledzikami, więc szef przy barze mruga na pana starszego, ażeby się upierał przy kielbasce.



Gościowi w sugestywny, uprzejmy sposób należy również wytłumaczyć jego grymasy.

— Panie! — woła na przykład gość — ta szynka z jajkiem, którą mi pan podał, jest nieświeża, czuć ją!

Pan starszy, pełen zrozumienia i troski, nie sprzeciwia się, tylko zabiera talerz i wraca rozpromieniony.

— Pan dobrodziej może jeść spokojnie, to nie szyneczka była nieświeża, tylko jajeczko!

Panowie starsi, ażeby zachęcić gościa do spożywania darów lokalu, zdrabniają nazwy potraw, tak jak to czynią matki w stosunku do swoich opornych pod względem apetytu dzieci:

— Zjedz jeszcze, kochanie, łyżuchną kaszuchny, kaszuchna dobra, bardzo dobra, a jak zjesz kaszeczkę, to dostaniesz w nagrodę ciasteczko!

— Mamy dziś, na obiadek — mówi pan starszy do gościa — rosółek z makaronikiem, wołowinkę z kluseczkami i kompozycję z wisienek!

„A jak mówiły „panie młodsze” w różnych „Fregatach” i „Astoriach”?”

— Co jest dziś, proszę pani, na obiad? — pyta się gość.

„Pani młodsza” jest lodowata, bo gość nie wygląda na takiego, co w lokalu dużo pieniędzy zostawi. Więc:

— Niech pan sobie wybierze, tu jest karta, ja nie mam czasu przy panu stać!

I odchodzi mruczając coś nieuprzejmego pod nosem. Dzisiaj nastaly „złote czasy kelnerstwa polskiego”, bo i gdzież to się kiedy śniło przed wojną o takich procencikach, jakie dziś zagarniają „starsi panowie” od każdego stolika w uczęszczanym lokalu nocnym.

Ja osobiście bardzo się cieszę, że kochani „starsi panowie” zarabiają i jeżdżą sobie na „fczasy” w lecie. Dostyć się namęczyli podczas wojny i natykali wstydu, patrząc jak ich szlachetny fach dokarmiania spragnionych znajduje się w niewłaściwych rękach „pań młodszych”.

PAN KAZIMIERZ

— Czy widziałeś kiedy pogrzeb fryzjera? — oto głupi pensjonarski dowcipiek ozdobiony pytajnikiem.

Na to pytanie druga strona odpowie ze śmiechem:

— Nie, skąd? Nigdy nie widziałam!

A jednak, proszę panów, to nie jest dowcip, to jest smutna, a może wesoła prawda: nikt nigdy nie widział pogrzebu fryzjera. Na „klapsydrach”, jak mówi lud, też nie widzi się jakoś „podtytułu”: „mistrz fryzjerski”. Widzi się różne ciekawe kwiatuszki, jak niedawno na kościele oo. Franciszkanów: dnia tego a tego, taki a taki zginął „śmiercią motocyklisty!” Widzi się różne oryginalne napisy, ale o fryzjerach — cisza! Czyżby nie umierali? Panowie: Kazimierze, Romany, Feliksi, Emile, Adolfy nie tylko że nie umierają, ale również nie mają nazwisk.

Elegantka mówi do drugiej elegantki w ten sposób:

— Chcesz być naprawdę dobrze uczesana, to idź do Romana i poproś o pana Kazimierza...

Nazwisk Romana i Kazimierza nie zna żadna z nich, nie zna również panna Jadzia, manicurzystka w tymże samym zakładzie. Owi panowie, posiadający tylko imiona, miewają żony i dzieci (zwykle synka, który z mamą przychodzi do zakładu na chwilę i mówi klientkom: — „Cześć!” — przykładając łapkę do skroni). Żony ich też nie noszą tajemniczych nazwisk mężowskich, ale mówi się o nich: „żona pana Romana”, „żona pana Władysława” lub „Kazimierza”.

Żaden psycholog, żaden Montherlant lub Pitigrilli nie zna tak kobiet na wskroś, jak np. pan Kazimierz. Mężowie



i amanci! Idźcie kiedy za waszą damą do damskiego zakładu fryzjerskiego i podsłuchajcie jej rozmowę z tym znawcą kobiet:

DAMA Panie Kaziu, czy pan jest wolny?

P. KAZIMIERZ Dla pani dobrodziki — zawsze! Tylko skończę „trwałą”, ułożę „wodną” i rozczeszę dwie główki...

DAMA To ja wobec tego pójdę, bo to będzie bardzo długo trwało!

P. KAZIMIERZ Bynajmniej, pani dobrodziko, bynajmniej, to wszystko razem będzie trwało kwadransik. (Bujanie kobiet to specjalność pp. Balwierzy, od których mężowie powinni się uczyć tego trudnego kunsztu.)

Dama siada więc przekonana o prawdzie jego słów i przegląda ilustrowane pisma.

Po godzinie siada w fotelu i znów zaczyna się dialog godny uwagi:

DAMA Źle dziś wyglądam, prawda? Przemęczenie. Za długo spałam, a przedtem długo siedziałam w lokalu... No, i zajęcia domowe. Musiałam sama pójść do krawcowej... przy mierzać...

P. KAZIMIERZ (poważnie) Przepracowanie, pani dobrodziko (kobietom nie wolno się sprzeciwiać)... Wszyscy dzisiaj przepracowani... Takie czasy...

DAMA Włosy mi wypadają, panie Kaziu...

P. KAZIMIERZ Nic podobnego, pani dobrodziko, nic podobnego... Tyle co na grzebieniu. Żeby pani widziała włoski pani doktorowej Gruszczycowej. Tej to naprawdę włosy wypadają... Niedługo będzie łysa.

DAMA Och, jaki pan miły, panie Kazimierzu. Doprawdy tak jej wypadają? Biedna kobieta! (Uccie się, panowie, jak to się tanim kosztem robi kobiecie przyjemność!) Niech mi pan jeszcze powie, czy to... widać, że mam farbowane włosy?

P. KAZIMIERZ (przyciszonym głosem) Gdyby nie to, że ja sam farbkę nakładałem, to przysięglbym, że to naturalny kolorek...

DAMA Czy nie przypomina czasem marchewki na głowie pani Majmodzińskiej?

P. KAZIMIERZ Pani dobrodzika chyba żartuje? U profesorowej Majmodzińskiej każdy laik i każda laika zauważy, że włosy jest farbowany. Zresztą kolorysta urody szanownej pani tak odpowiada tonowi włosów, że nikt nie przypuści, ażeby mogły nie być naturalne...

DAMA Wie pan, panie Kazimierzu, że mi już jakoś zmęczenie minęło. Czuję się już zupełnie wypoczęta. Jej! Co pan zrobił? Pan mi włosy przypalił! Czuć spalonymi włosami! Jak pan mógł!!!

P. KAZIMIERZ (nie tracąc równowagi duchowej) To tylko tłuszcz z włosków, proszę szanownej pani, włoski nie były myte, więc pod wpływem rozgrzanego żelazka puściły zapach...



DAMA (najzupelniej przekonana) No, to chwała Bogu, bo już się zlekłam, że spalone. A proszę pana, czy na takie zniszczone włosy można zrobić trwałą?

P. KAZIMIERZ (węsząc zarobek) Tylko na zniszczone! Trwała ondulacja wzmacnia cebulki włosowe, rozgrzewa skórę i sprzyja przyrostowi... ale musi być amerykańska.

DAMA No, to w takim razie przyjdę do pana zrobić trwałą w tym tygodniu...

Panowie Kazimierzowie i Feliksowie umieją też swoją mową zabawić co inteligentniejsze klientki. Oto maleńki przykład:

P. FELIKS Wero! Podaj mi szpilki! Wołam cię i wołam, a ty udajesz, że nie słyszysz.

PANNA WERA Przecież pan widzi, że jestem zajęta...

KLIENTKA No, to jest argument...

P. FELIKS Ona? — Straszny! Okropny „argument”! Już wolę Jadzię, chociaż i ta potrafi być „harpagonem”...

PAN EDZIO

Od czasu, kiedy o nim pisałam w „Kurierze Poznańskim” przed wojną, przeszedł ogromną ewolucję. To już nie ten sam człowiek. Z wątłego kanarka przeistoczył się w byczka, ma żonę, dzieci, a nawet — co jest najdziwniejsze — wnuki! Nie nosi jak dawniej brązowych zamszowych półbutów, ozdobionych zbyt wysokimi obcasami, co go stawiało na wyższym piedestale od innych mężczyzn, ani też czerwonego puloweru do zielonej koszuli. Nie różni się niczym od innych zwykłych mężczyzn: mimo to jest w nim coś takiego, że wnikliwa kobieta, gdy jej się na przykład zapyta: — „Czy pani chciałaby być mężczyzną?” — odpowiada: — „A pan?”

Na czym owa różnica polega — nie wiadomo. Może na tym, że nie zna się wcale na kobietach i będzie flirtował ze starszą damą, nie widząc żadnej różnicy między nią a młodą osobą. Brzydką weźmie za ładną, a głupią za bardzo inteligentną.

Pan Edzio jest po prostu człowiekiem, który wyrobiwszy się pod względem talentów i zdolności, pozostał jednak w pewnym sensie małym chłopcem, co to w wieku szkolnym miał pogardę dla dziewczynek, lekcewał sobie przestrogi i rady mam i babek, a liczył się tylko ze zdaniem ojca i opinią kolegów. Każdy Polak zresztą jest duchowym panem Edziem i najlepiej się czuje w męskim towarzystwie. Pod wpływem alkoholu wylazi z niego prawdziwa skłonność do... mężczyzn. Pod wpływem tej skłonności pada w ramiona drugiego pijaka i lka ze szczęścia, że nareszcie jest w „swoim” towarzystwie. Ledwie poznanemu mężczyźnie proponuje, ażeby być

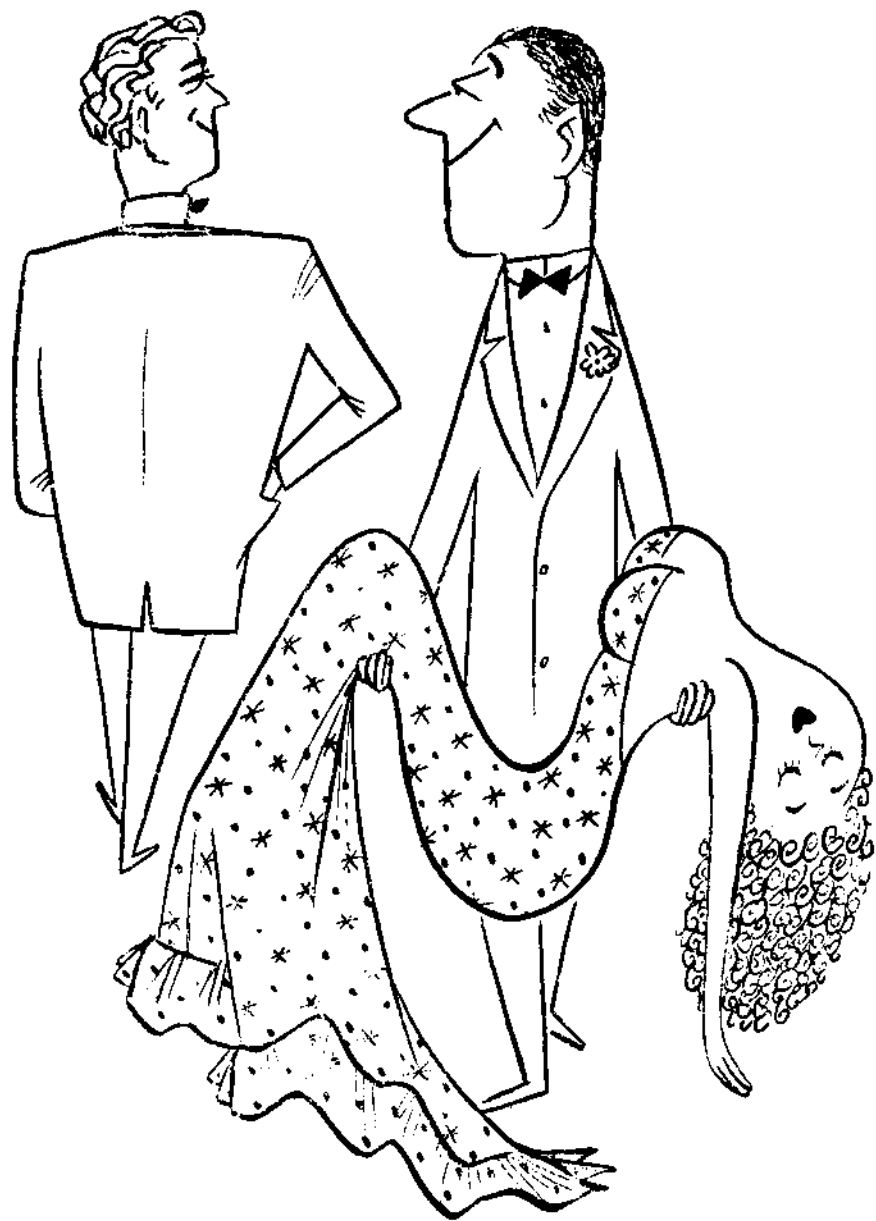
„na ty”, i pieniądze, których żałuje własnej żonie na fatalaszki, chętnie składa na ołtarzu bufetu, ażeby odpowiednio uczcić nową znajomość lub odnowienie starej przyjaźni jeszcze ze szkolnych czasów.

Wystarczy zresztą zajrzeć do słownika potocznych wyrażeń naszej mowy, ażeby się o tym przekonać. Przede wszystkim pogardliwe określenie „niewiasta”. Od czego? Od słowa — nie wie. A potem: „babskie gadanie”, „babskie rozumowanie”, „kobieca logika”, „włos długi — rozum krótki” (dzisiaj nieaktualne) i wiele innych równie pogardliwych określeń. Ażeby się przed owymi zakorzenionymi powiedzeniami bronić, kobiety robią, co mogą: „zapuściły” sobie krótkie włosy, są szoferami, adwokatami, tramwajarzami, ale to wszystko nie nie pomoże i gdy mąż powie na przykład: „przyszedł jakiś człowiek do kuchni” — to na pewno nie będzie to baba w chustce, tylko mężczyzna.

Na panach Edziach trzeba się dobrze znać, czego młode osobki zazwyczaj nie potrafią i bardzo często (ponieważ umieją oni być uroczyimi kompanami) zakochują się w nich beznadziejnie. Przed wojną panowie Edziowie byli o wiele bardziej rozpowszechnieni niż obecnie. Raz pewna osoba poszukująca miłosnych przygód znalazła się na dansingu. Dansing, czyli „przytułek” (od wzajemnego przytulania się), był instytucją sprzyjającą rozwojowi uczuć przelotnych. Poznała tam uroczonego młodzieńca, który, o dziwo, przez cały wieczór nie zatańczył z żadną inną, a poza tym wciąż kazał jej podawać najbardziej wyszukane cocktaile, Napoje alkoholowe, jak wiadomo, sprzyjają zwierzeniom.

— Czy pan wie — rzekła dama zapalając od jego ust papierosa — że odkąd się rozwiodłam z moim mężem, to znaczy od dwóch miesięcy, nie miałam jeszcze żadnego kochanka...

— Ach! — westchnął młodzian ściskając mocno jej palce — jaka pani biedna... i jak ja panią rozumiem! Ja też jestem właśnie w poszukiwaniu jakiegoś ładnego i miłego chłopaka...



Zemdloną damę zdumiony młodzian wyniósł na własnych rękach z dansingu nie wiedząc zupełnie, co jej tak nagle mogło zaszkodzić. (Pochodziła ona z głębokiej prowincji.)

Żony nowoczesnych panów Edziów są zwykle zadowolone ze swego losu. W domu mają zawsze męskie towarzystwo i mogą do mieszkania wpuszczać bezkarnie najładniejsze swoje przyjaciółki. Poza tym otrzymują podwójne porcje kwiatów dla siebie i dla swojego męża...

WYBÓR ZAWODU

Życie zrobiło się drogie, a cóż dopiero życie z kimś. Wiadomo, że mądry mężczyzna to taki, który potrafi utrzymać kobietę za jej własne pieniądze, ale czyż na pieniądze kobiety można na pewno liczyć?

Kobiety tak łatwo bywają „frajerkami”. To ją ktoś okpi, to naciągnie, to namówi na interes, w którym straci połowę swego majątku. A z tymi zarobkami? Zarabia dużo, ale nagle — jak to one — rozchoruje się ciężko i przeciągle i z zarobków nici! Albo zechce się jej mieć dziecko. Nie, stanowczo, na zarobki kobiece nie można na pewno liczyć. Pewniejsze są zarobki męża. Ale co zrobić, jakie zajęcie wybrać, ażeby na wszystko mogło wystarczyć?

Na ogół żyjemy teraz wszyscy pod znakiem: albo — albo. Albo nowe sandały na korku, albo gazowe pończochy.

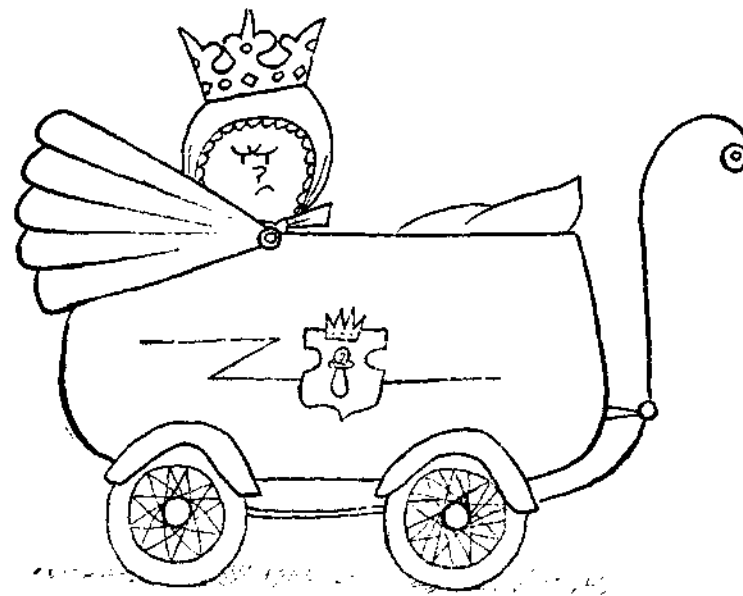
Jeśli gazowe pończochy, to stare buciki, a jeśli nowe sandały, to stare gołe nogi.

Chciałoby się mieć i węgiel i konfitury na zimę, ale ponieważ na to i na to nie może wystarczyć, więc wybieramy węgiel, jako że dostarcza nam większej ilości kalorii.

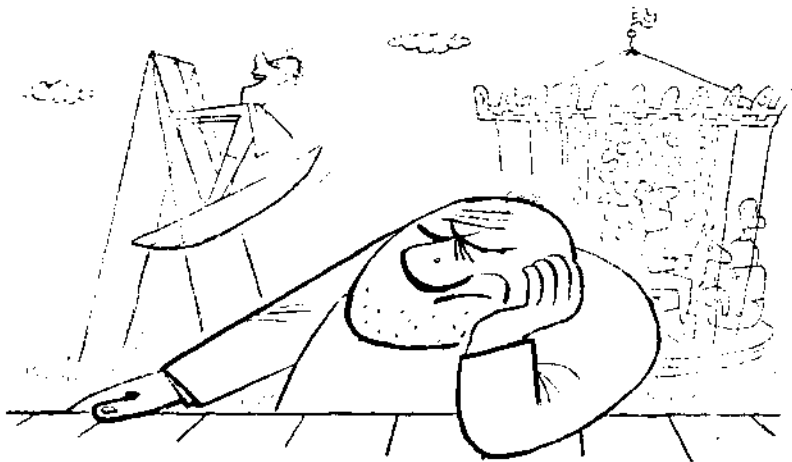
Albo dziecko — albo srebrny lis — albo rasowy pies — albo auto osobowe — albo bilet kolejowy nad polskie morze — albo pobyt nad polskim morzem. Dwoch przyjemności na raz mieć nie można i wszyscy to doskonale rozumiemy.

Gorsza sprawa jest z dzieckiem. Tu nie ma rozsądnego — „albo — albo”. Bachor musi mieć najpierw wózek głęboki, a potem tzw. sportowy. Nie może mieć butków albo kafta-

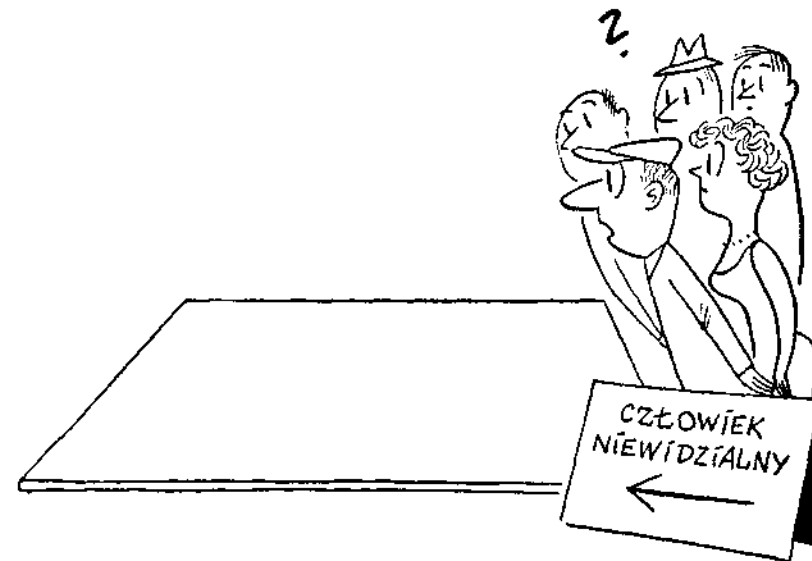
niczka: musi mieć wszystko jako osoba panująca. Tak, panowie, na to nawet pensja dyrektora nie wystarczy ani pensja ministerialna. A jak mąż ma stanowisko, to żona chce mieć lisa i futro na zimę z nurków, a buty i torbę z knurków (czyli peccar), a gdy to osiągnie, to znów przychodzi twarde orzechy do zgryzienia z meblami z orzecha kaukaskiego. Doprawdy rozpacz!



A jednak, drodzy mężczyźni, są ludzie, którzy zarabiają dziennie po kilkaset złotych bez szabru i bez spekulacji. Spekulują oni tylko na głupocie i naiwności ludzkiej, a to dotychczas nie jest objęte kodeksem karnym. Chcacie się o tym przekonać — proszę bardzo, zapraszam wszystkich kochanych moich czytelników na Dni Krakowa, do tego zwanego „wesołego miasteczka”, przez które przelewają się codziennie tony, a dla przedsiębiorców imprez zabawowych — grube pieniądze. Nie potrzeba ani wykształcenia, ani fachowych wiadomości, ażeby tam zarabiać dziennie grubszą



forsę. Trzeba mieć tylko dobry pomysł i spryt, a pychę i grupie „że to jakoś nie wypada” — wyrzucić od siebie daleko. Przedsiębiorca i właściciel wirującej huśtawki dla samobójców, z której już spadły i zabiły się dwie osoby, zarabia najwięcej. Napisał sobie na tablicy: „Za wypadki dyrekcja nie odpowiada” (a gdy odpowie to niegrzecznie!) i jest w najzupełniejszym porządku. Zarobki jego można liczyć dziennie na kilkaset złotych. Tak, ale ten miał dosyć poważne wkłady. Musiał najpierw wyszabrować gdzieś na Zachodzie ową poniemiecką huśtawkę, potem musiał ją do Krakowa przetransportować, wziąć ludzi do zmontowania jej: kupę forsę musiał na to wydać. Proponujemy więc raczej te imprezy, które nie wymagają tak poważnych wkładów, jak na przykład małe panopticum, które reklamuje „człowieka niewidzialnego” i „głowę, która sama mówi”. „Człowiek niewidzialny” wcale się nie pokazuje, co nie jest żadnym kantem, bo skoro niewidzialny, to jak się ma pokazać, a głowa „sama mówi” (bo trudno, ażeby mówiła za kogoś), za pomocą zaś luster nie widać innych części ciała właścicielki głowy. Bardzo dobry zarobek, nie wymagający żadnych poważnych wkładów, który jako najzupełniej uczciwy gorąco polecam. Inny znów „cud przyrody” to „półmężczyzna-półkobieta”; to jest proste jak



dwa razy dwa. Bierze się spośród znajomych tęgiego mężczyzną, który leci na łatwe zarobki, i każe mu się zapaść brodę, a potem ściska się go w pasie gorsetem i ubiera się w damską suknię. Wskazane jest, ażeby przed występami nie chodził na plażę i dekolt utrzymywał w stanie białym i nieopierzonym. Najlepszy jednak zarobek wymyślił sobie facet, którego cały warsztat pracy składa się ze stolika, siatki, pustych puszek, trzech piłek i sześciu butelek owocowego wina. Gra polega na tym, ażeby trzema rzutami trzech piłek strącić ze stolika na ziemię, z niewielkiej odległości, wszystkie puszki. Sprawa na pozór zupełnie prosta i łatwa, jest to jednak przez genialnego figlarza tak obmyślane i wykombinowane, że zawsze jedna lub dwie puszki zostają na stoliku. Podobno od czasu, gdy „miasteczko” istnieje, dwóch osobników strąciło wszystkie puszki i otrzymało dwie butelki wina.

Nie ma człowieka, który by spróbował „szczęścia” tylko raz; każdy gra przynajmniej trzy razy, rzut kosztuje 1 zł, trzy rzuty 3 zł. Liczymy, że dwięście osób dziennie zostawi u genialnego wynalazcy tylko po 3 zł — to ma on dzienne-

go zarobku SZEŚĆSET ZŁOTYCH!!! Pokażcie mi panowie, taką dzienną pensyjke! Po co więc ślęczycie w naszych urządach, po co kończycie prawo, zdajecie doktoraty, wozicie węgiel, po co, jeśli jesteście pisarzami, głowicie się nad tygodniowym felietonem, kiedy pieniądze leżą w „wesołym miasteczku”?

Tylko brać!



PLASTYK

Andrzejowi Osęce

— Goli — siebie prawie nigdy — za to wodę często. Biegnie przez miasto nieprzytomny z talentu, niesie pod pachą jakiś olbrzymi obraz, drabinkę, kilka glinianych garnków. Ubrany jest na pozór też nieprzytomnie, ale on już wie, jak się przyodziać, aby nie wyjść ze stylu. Był w Paryżu i chciałby gwałtem z polskich miast zrobić Montmartre. Na ulicy zaczepia znajomych i każe im podziwiać ludowe gliniaki.

— Co? — mówi. — No?... Psiakrew!... Niech ich szlag trafi!... Dobrze co?

Biegnie z glinianymi garnkami do domu i z dumą stawia je na stole. W domu rzadko kiedy jest coś ucziwego do jedzenia zresztą nawet jeśli jest, to nie wolno tego ruszać, bo mu jest potrzebne do martwej natury. Ale za to na ścianach wiszą strzępki starych makat, straszą po kątach stare świątki z obtłuczonymi nosami, wiszą porcelanowe talerze pęknięte i wyszczerbione — ale za to stare. I wszędzie: na szafach, na fotelach, oparte o ścianę, jego obrazy, które zawsze w całości, nie uszkodzone i nie zakupione, wracają z wszystkich wystaw. Żona plastyka płacze nad nimi, że znów są z powrotem w domu, że nikt ich nawet nie chce ukraść, ale on się cieszy. Kocha każdy swój obraz i cieszy się jak dzieciorób nowym własnym dzieckiem.

Tylko on i jego koledzy wiedzą, dlaczego jeden obraz nosi tytuł „Martwa natura”, drugi „Portret żony”, trzeci „Kobieta w kąpielu”. Laikowi wszystkie przypominają chorobę morską — tylko jak w znanej anegdotce, dziwi się czasem, skąd się tam wziął pies — „przecież psa na kolację nie było?...”

Na płótnie, które, zasmarowane farbą, przypomina raczej źle utrzymaną paletę, widnieje jakaś forma — ni to człowiek, ni to zwierzę. Gapie stoją przed płótnami plastyka i kłócą się, co ta forma ma przedstawiać.

- A ja ci mówię, że to jest kobieta.
- Głupisz, z ogonem? To jakieś zwierzę...
- Z promienistą aureolą?
- Nie, moi drodzy, to jest święty Franciszek.

Laików wówczas uświadamia ktoś, kto się zna na nowoczesnym malarstwie. Z powagą tłumaczy im, że ten obraz to jest czysta impresja malarza.

— Eee, tam „czysta”. Dla mnie to jest typowa sraczka-dziwaczka.

Osobą, która plastykowi pozuje do wszystkich kompozycji, jest jego własna żona. Portrety żony, akty żony wiszą na wystawie nowoczesnego malarstwa. Przychodzą jej przyjaciółki, stają przed nimi, główkami kręcąc jak ptaszki i ćwierkają.

— Popatrz! Danko! Widzisz, jakie ma buraczkowe uda i tabaczkowe nogi. Hi, hi, hi, hi!... I całe ciało takie wełniste jak baran... I nie tylko, że takie wełnisto-faliste, ale jeszcze całe w krostki czerwone i fioletowe. I pomyśleć, że ona kiedyś chciała wstąpić do filmu! Warunki, rzeczywiście, fenomenalne!

— Hi, hi, hi, hi, hi, hi!

A na to trzecia:

— Teraz już rozumiem, dlaczego ona nigdy nie chciała iść z nami na plażę.

— Ale wiecie — odzywa się jeszcze jedna przyjaciółeczka — że trzeba być okropnie bezwstydną, ażeby się dać malować goło, gdy się jest tak okropnie zbudowaną i gdy się ma takie ciało.

— I jednej piersi jej brak. Widocznie była niedawno operowana. Musimy jej powiedzieć, że ten obraz przedstawiający ją — to istny obraz nędzy i rozpaczy i że gdyby nie twarz z tym zezem, tobyśmy jej nigdy nie poznały.

Żona plastyka, mimo iż nie wie na pewno, czy jej mąż nie jest geniuszem, chodzi smutna.

— A nie mógłbyś tak trochę normalniej malować? — pyta się ostrożnie — tak trochę bardziej dla ludzi, a nie tylko dla kolegów plastyków?

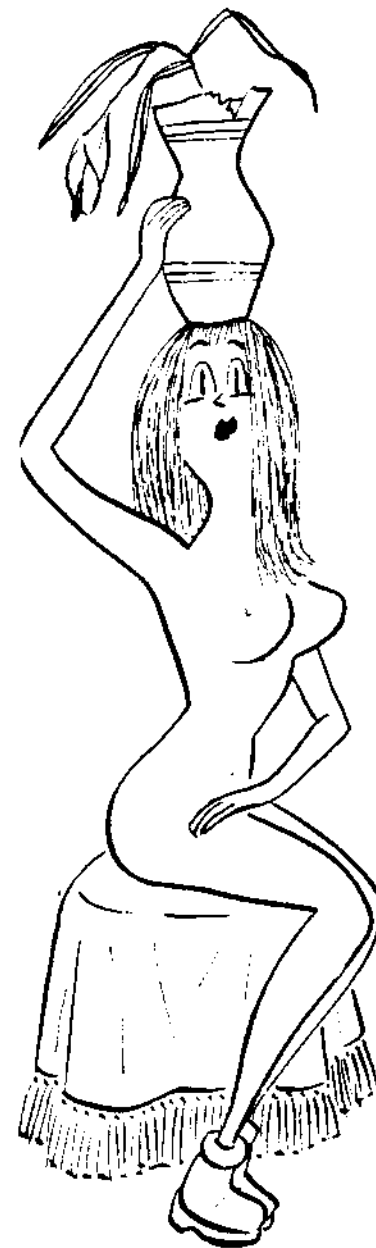
— Normalniej? — rechocze zjadliwie plastyk. — Może dziewczynę z utanem, jak ten stary pacykarz Wojciech Kosak, albo konia z prawdziwym zadem i prawdziwym ogonem, jak Michałowski? Albo jeszcze lepiej główki z piersiami à la Żmurko? Idiotka jesteś i nie zabieraj głosu w tych sprawach! Nas, widzisz, nowoczesnych plastyków, interesują przede wszystkim problemy kolorystyczne, no i forma. I wszystko jedno, co się maluje, byle się malowało. Dla malarza na przykład między tobą a tym glinianym garnkiem nie ma zasadniczej różnicy.

— No, to dlaczego nie malujesz dzbanka, tylko mnie?

— Bo ty mnie więcej interesujesz jako bryła.

— Ale w ten sposób nie zrobimy się nigdy niczego!

— Proszę cię bardzo, jesteś kobietą, pracuj!





Biedna żona idzie płakać, ale on ją dogania i mówi:

— No, a teraz uspokój się, usiądź sobie grzecznie pod oknem, o tak... Popozujesz mi trochę!

— Do czego znów mam ci pozować?

— Do pejzażu. Nie chce mi się wychodzić na dwór na takie zimno. Obróć się do mnie profilem, zrobię z ciebie małe miasteczko, czerwone dachy... wieża starego kościółka — twój nos. Wizja rozumiesz? Bajeczne te refleksy na twoich włosach, takie rdzawozielone... Włosy będą mi pozować do drzew jesiennych na horyzoncie... A wiesz, jaki damy tytuł tej kompozycji? „Prowincja”! Tylko błagam cię, nie ruszaj się przez jakieś pół godziny.

CZY AKTOR JEST CZŁOWIEKIEM?

Oczywiście, że nie, i to jest właśnie jego największą zaletą! O, przyjaciele aktorzy (przyjaciele, bo bardzo was lubię), nie gniewajcie się za to twierdzenie i nie składajcie na mnie zaraz skargi do sądu. Zaręczam Wam, że „człowiek” — to, poza garstką bohaterów i paru geniuszami, nic nadzwyczajnego. To ktoś, kto gubi się w walce, walcuje swoje nie-dośćięte marzenia i życiowe zawody, walczy całe życie, aby dobrze zjeść, dobrze się ubrać, aby się nie ożenić (co mu się zresztą nie udaje) i ażeby z honorem, po zapłaceniu długów, wyjechać w lecie w góry lub nad morze. Człowiek to bardzo zaharowana i smutna figura.

A aktor? Aktor miewa tylko dwie troski. Dostać dobrą rolę i dobrą gażę. Wszystko inne jest dla niego mało ważne. Jeszcze zależy mu (niektórym nawet bardzo) na dobrych recenzjach. Zresztą wiadomo, że aktorzy dzielą się na takich, którzy zbierają recenzje, i takich, którzy chowają recenzje.

Różnica polega tylko na tym, że jedni się do tego przyznają, drudzy — nie.

Aktor żyje życiem zupełnie niepodobnym do życia normalnych ludzi. Przypomina on trochę księdza, o którego życiu prywatnym też nigdy się nic nie wie.

Aktor, o ile nie ma matki znanej aktorki, to w ogóle nigdy o niej nie wspomina. Nie wiadomo, czy go na świat przyniósł bocian czy żaba. Jest — i koniec. A reszta nikogo nie obchodzi.

Ze ślubami u aktorów jest też jakaś dziwna historia. Gdy mieszka na przykład dłuższy czas z jakąś aktorką, w bardzo

przyzwoity sposób nazywa ją „swoją żoną”, ale oprócz niej ma jeszcze prawdziwą żonę „cywilną”, też artystkę sceniczną, której matka była zwykle jego kochanką. To co dla przeciętnego człowieka odgrywa taką smutną rolę (żona, dzieci, teściowa), dla aktora jest życiowym drobiazgiem. Ze zdumieniem dowiadujemy się, że jakiś młody zdolny aktor jest ojcem trojga dzieci, mężem trzech żon i synem dwóch ojców, ale przecież dla niego to drobiazg nieważny. Daleko ważniejszym problemem jest to, gdzie zostanie zaangażowany i jakiego będzie miał dyrektora.

Że aktor nie jest człowiekiem, to widać i po wielu innych rzeczach. Powiedzmy sobie szczerze — czy istnieją dla nas tak wielkie pieniądze, które by nas mogły zmusić do wypowiedziania co dzień przez szereg miesięcy (gdy sztuka idzie) tych samych, nieraz idiotycznych kwestii, wykonywania tych samych gestów, grania „pod śmiech publiczności” w tych samych miejscach co wieczór, bez względu na upał, stan zdrowia i stan nerwów?

A reżyser? Czy tak zwany człowiek mógłby w ogóle znieść reżysera, który aktorów, jak małe dzieci, uczy chodzić, mówić, jeść i każe im niektóre sceny powtarzać po kilkanaście razy? Cierpliwość i brak nerwów wprowadza w zdumienie każdego, kto do branży aktorskiej nie należy. Nie było jeszcze wypadku, ażeby aktor mocno poturbował reżysera, który go dręczy.

Znałam przed wojną panią domu, która swoją służącą (też „dla jej dobra”) tresowała jak reżyser aktorów. Mówiła więc do niej z gryzącą ironią w ten sposób: — „Maniu, gdzie postawiłaś popielniczkę? Najlepiej postaw ją na głowie pana!” Gdy biedne dziewczę ze strachu postawiło popielniczkę na głowie pana domu, pani wezwała całą rodzinę, aby jej pokazać, do czego ta głupia dziewczyna jest zdolna. Biedna dziewczyna była jednak człowiekiem, nie aktorem, więc któregoś dnia zwymyślała swoją panią i opuściła „tresurę”, zmyliwszy pogonie.



Aktor, istota o nieludzkiej cierpliwości i dobrej woli, nawet na najbardziej wymagającego reżysera nie podniósłby głosu. Pod tym względem jest karny jak żołnierz. Są aktorzy, którzy idą na scenę jak zakonnicy do zakonu — z powołania, i tacy, którzy nie mając odpowiednich warunków idą do teatru dla kariery. Patrzą oni na siebie za pomocą luster, próbują swego głosu i mówią sobie tak: — „Jestem mały, brzydki, niezdolny do nauki, nie mam dobrej wymowy... No, to chyba pójdę na scenę...” Ci najbardziej obrażają się na recenzenta, gdy im te wszystkie „zalety” wytknie.

Aktor potrafi na przykład kłaniać się tylko nosem znanemu recenzentowi, ponieważ ośmielił się go pochwalić, ale za to jego koledze przypiął kilka łątek. Zdawałoby się, że się powinien cieszyć, ale to nie jest takie proste. Trzeba znać aktorów.

— Naturalnie — rzekł mu „zjechany” kolega — poszedłeś z nim na wódkę i dlatego tak o tobie dobrze napisał!

Jest więc obrażony na recenzenta i obdarza go spojrzeniem pełnym gorczy.

Aktorzy, nie lubiąc innych aktorów, żenią się jednak prawie wyłącznie z aktorkami. Jest to jeszcze jedna cecha niezbyt człowieka.

Aktorzy są klanem tak wyłącznym, jak bramini lub lordowie angielscy, i nikt poza „swoimi” nie jest ich w stanie zrozumieć. Prawdopodobnie wierzą bardzo mocno w życie pozagrobowe. Gdyby nie ta wiara, czyżby mogli, jak to się niektórym zdarza, grać do końca życia tylko i wyłącznie role służących? Wierzą, że w aktorskim Elizjum będą po śmierci grać *Księcia Niezłomnego*, i *Hamleta*, i trwają do końca na scenie, zamiast wyszukać sobie jakieś bardziej lukratywne i inteligentne zajęcia...

WIERZYCIEL I DŁUŻNIK

„Wierzyciel” — bo wierzy, że mu się odda (idiota!), „dłużnik” — bo długo nie oddaje. To nie żadne banalne kawały, tylko szczerą prawdą. Czy nie logiczniej jednak byłoby zmienić końcówkę słowa „wierzyciel” na „u!”? Kto tego kalamburka nie rozumie, niech pojedzie na Śląsk. Zaręczam wam, że brzmiałoby to może nieco... niecenzuralnie, ale za to jakoś prawdziwie. Bo jak można wierzyć, że ktoś, komu się pożyczycie forszę, odda ją? I to w dodatku w terminie! Gdy się pożyczycie od kogoś pieniądze i z poważną miną zaręczycie się, że mu się „jutro wieczór odda”, „pod słowem honoru”, to kłamie się tak samo, jak pobożna dusza przy spowiedzi, która przysięga, że więcej nie będzie „żyć na wiarę”. I jedno i drugie jest wręcz fizyczną niemożliwością. Bo skoro się pożyczycie dzisiaj — to nie po to, ażeby oddać jutro. A jeśli się z trudem w dzisiejszych ciężkich czasach złapało kogoś „na wiarę”, to nie po to, ażeby z nim nagle zrywać. Od ludzi nie można wymagać niemożliwości. Zresztą zawsze mamy najlepsze chęci, marzymy o takim cudzie, żeby wczoraj pożyczone pieniądze oddać dzisiaj i ażeby przyjaciela, z którym się uprawia ową „wiarę”, zamienić na ślubnego małżonka. Nie jesteśmy wcale źli i nieuczciwi, tylko z lekka pechowi.

— Nie ma grzechu, jest tylko pech! — powiedział pewien sprawiedliwy.

Ponieważ jednak pożyczać musimy, bo inaczej nie mogliśmy ani gwałtownie zachorować, ani zaprosić do knajpy przyjaciela, z którym chcemy zrobić interes, ani też zakupić

jakieś niezwyklej „okazji”, więc czynmy to, ale w sposób mądry i przemyślany. Robimy w myślach szybki przegląd naszych znajomych i wybieramy spośród nich średnio zamożnego. Powinniśmy z góry wiedzieć, że na naszego przyszłego wierzyciela nie należy przeznaczać nikogo z naszych bogatych znajomych. Dlaczego bowiem pp. Ciaputkowie i Kramarczykowie są bogaci? **BO NIE POŻYCZAJĄ PIENIĘDZY!**

— Chętnie bym panu pożyczył — powiada Ciaputek poprawiając się nerwowo na krześle (siedzi na pieniądzach) — ale z zasady nie pożyczam nikomu!

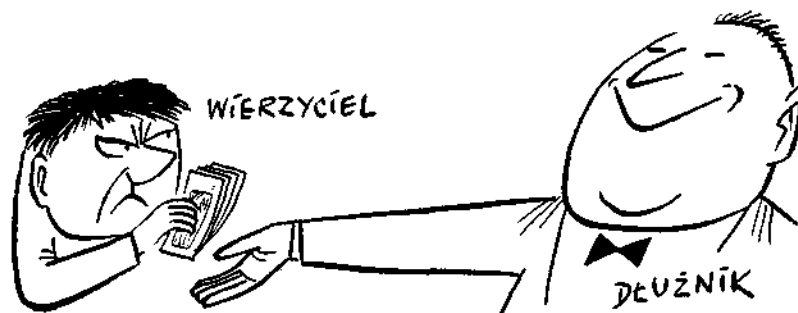
Żeby paskudztwo powiedziało: — „Chwilowo nie mogę pożyczyć, nie mam ani grosza, może jutro się postaram!” Ale on powie ci o „zasadach”, bo wie, że to ucina wszelką dłuższą na ten temat rozmowę.

Idziemy więc tylko do średniozamożnych, którzy nas o wiele lepiej rozumieją. Idąc pożyczać forszę należy ubrać się całemu, od stóp do głów, w pogodę, wiarę w siebie i wesołość. Żadnych jęków, grobowych min, narzekań na los itp.

Poza tym w tym jednym wypadku wskazane jest małe hochsztaplerstwo finansowe.

— No, jakżeż ci się powodzi obecnie? — zapyta material na wierzyciela.

— Mnie? Ty się pytasz? Nie wiesz, że ja zarabiam miesięcznie około piętnastu tysięcy? (Krótki śmiech i walnięcie w udo siebie lub tego, od którego chce się pożyczyć.) Pęknieś ze śmiechu, ale oboje z żoną nie mamy dzisiaj na obiad!



Tutaj następuje krótka pauza, podczas której oczekuje się, ażeby nasz znajomy powiedział: — „No, to głupstwo, ja ci pożyczę. Ile ci potrzeba?” Ale „te czasy minęły”. Znajomy wcale tego nie mówi, tylko wyciąga papierośnicę:

— Zapal sobie — powie protekcyjnie.

Ale ty jesteś chytry jak wąż; za ostatnie sto złotych kupiłeś pall mallów (oczywiście kilka sztuk) i ze swobodną miną częstujesz nimi materiał na wierzyciela.

— Nie, to ty zapal amerykana, to jedyne papierosy, które można palić...

Twoja ofiara bierze („Człowiek — istota znana”) i myśli sobie tak: „No, skoro on pali tylko najdroższe papierosy, to znaczy, że mu się naprawdę dobrze powodzi, można mu będzie pożyczyć kilka tysięcy, bo na pewno po to do mnie przyszedł...”

Resztę już załatwia się w sposób gładki. Znajomy wyciąga z portfela kilka „kawalców”, przelicza, wręcza. Ty wciąż roześmiany (teraz dopiero szczerze) bierzesz i nie rzucając nawet okiem na banknoty, wsuwasz je niedbale do kieszeni.

Nie zwracając najmniejszej uwagi na to, że w oczach znajomego wyczytałeś wrażenie: „Od dziś przestałem być twoim przyjacielem”, mówisz: — „Dziękuję, jutro wieczór masz pieniądze z powrotem” — i ochoczo zbiegasz ze schodów.

Pamiętaj, że jeżeli mu przez tydzień nie oddałeś, nie unikaj go na ulicy. Przeciwnie — zaczep go.

— Co za gapa ze mnie! — zawołasz — jeszcze ci nie oddałem tych „głupich” pięciu tysięcy, które od ciebie pożyczyłem, ale to nic, jutro ci przyniosę do biura...

Jeśli jesteś tym, który pożyczka, musisz też mieć mądry system postępowania, aby swoje pieniądze wyciągnąć od dłużnika. Pamiętaj, nigdy wcześniej rano nie idź po „swoje” pieniądze, które dawno przestały być twoimi. Każdy człowiek rano jest wściekły i gotów cię jeszcze skrzyknąć. Nie powinno się również iść do dłużnika wówczas, kiedy głodny siada do obiadu, ani też wtedy, kiedy wybiera się w drogę i ma pieniądze wyliczone na podróż.

Trzeba wywachać, kiedy podebrał grubszą sumkę, i wtedy zrobić włamanie do jego mieszkania (mówię wyraźnie: włamanie, ponieważ wszyscy domownicy mają surowo przykazane, że „jak przyjdzie pan w szarym płaszczu, w czarnym kapeluszu i w okularach, to powiedzcie, że mnie nie ma w domu”!) Wierzyciel, jeśli jest mądry i przebiegły, powinien często zmieniać swój strój, raz nakładać okulary, raz zdejmować i mówić bardzo niewyraźnie w przedpokoju swoje nazwisko. Zresztą dłużnik ma na swoją obronę staropolskie przysłowie, które natrętnemu wierzycielowi może zawsze wypalić: „Kto daje i odbiera — ten się w piekle poniewiera!”

MAŻ DOWCIPNIS

— Mam pojutrze zabawę w chowanego — rzekł do mnie szlochając znany ze swego dowcipu Zdzisiek Roskosznik.

— Co przez to rozumiesz? — zapytałam zaskoczona.

— Jak to co? Pogrzeb. I to — dodał ze łzami — pogrzeb mojej ukochanej żony. Popelniła samobójstwo. Z premedytacją!

— Boże! To straszne! Czyżby postradła zmysły?

— Ach, skądże — uśmiechnął się blade Zdzisiek — zmysły miała w najzupelniejszym porządku, najlepszy dowód, że jeszcze nie dalej jak pięć dni temu mieliśmy ze sobą bardzo udane „ocielenie się”. Domyślasz się zapewne, co przez to rozumiem?

— Domyślam się — odparłam ponuro. — Więc jakież był powód tego jej szaleńczego kroku?

— To nie był krok, to był skok z trzeciego piętra na bruk... A propos, czy znasz ten amerykański kawał o skoku z okna? Nie? Zaraz ci opowiem. Otóż pali się olbrzymi drapacz chmur. Na trzydziestym piętrze palącego się domu staje w oknie facet i drze się, żeby go ratować. Strażacy na dole odkrzykują mu, żeby skakał na rozłożone prześcieradło. Facet skoczył, a strażacy w śmiech, bo prześcieradła nie było!

Zachłysnął się śmiechem (Zdzisiek, nie facet!), ale momentalnie spowaźniał i obtarł nos...

— Muszę jednak opowiedzieć dalszy przebieg wypadków. Otóż od jakiegoś czasu zauważyłem, że Zosia stała się nerwowa, nie silła się nawet na śmiech, jak dawniej, gdy jej opowiadałem jakiś nowy kawał. Brak poczucia humoru u kobiet

to zresztą sprawa nagminna; któraż z nich go naprawdę posiada? Bywają kobiety „wcipskie”, ale nie „dowcipskie”! To była zresztą jedyna wada, którą jej naprawdę mogłem zarzucić. Otóż krytycznego dnia powiedziałem jej nawet pewnego rodzaju dowcipny komplement:

„Wiesz, Zosiu — rzekłem — wszyscy na mieście mówią, że się rozwodzę”...

„Doprawdy?” — ożywiła się.

„...nad zaletami własnej żony, he, he he!”

— Dobrze — co? Czy myślisz, że raczyła się nawet choćby uśmiechnąć? Westchnęła i nic nie odparła. Żeby ją rozruszać, zapytałem się, czy wie, jaka jest różnica między demokracją a hegarem? — „Nie lubię reakcyjnych kawałów!” — rzekła ponuro. W tej chwili przyszedł mi do głowy wspaniały kalambur: — „Czy wołałabyś, żebym był reakcjonistą Wassermana?” — zawołałem rycząc ze śmiechu. Zosia widocznie nie zrozumiała, bo tylko wzruszyła ramionami.

— Po obiedzie mieliśmy złożyć razem wizytę na placu Kossaka krakowskim znajomym. Ponieważ widziałem, że Zosia nie bardzo dobrze się czuje, więc przystanęliśmy przed budką z wodą sodową: — „Proszę o dwie limoniady. Niech kosztują, co chcą. Raz się żyje!” — zawołałem. Zosia wypila limoniadę i poprosiła, żeby pojechać taksówką.

— „Proszę jechać na Koc Placaka numer cztery!” — zawołałem dusząc się od śmiechu.

— „Dokąd, proszę pana?” — zapytał szofer, równie pozbawiony poczucia humoru jak moja biedna żona. Plac Kossaka — Koc Placaka — czy to nie wszystko jedno? Wysiadając z nadmiernej gwałtowności, potknąłem się i upadłem twarzą na bruk. Nie tracąc wrodzonego dowcipu zawołałem: — „Czołem!” Nawet szofer roześmiał się, a Zosia nic. Chwiejąc się na nogach wysiadła z taksówki i cały czas podczas owej wizyty nie odezwała się ani słowem.

— No, i co dalej? — zapytałam mocno zaciekawiona.

— Przy kolacji siedziała jak mumia, smutna i blade. Na kolację były gołąbki z kapustą. Ponieważ postanowiła nic nie

jeść, więc chciałem jej przemocą wpakować gołąbka do ust, mówiąc przy tym świetny dowcip, że „pieczone gołąbki nie lecą same do gąbki”. Bo trzeba ci wiedzieć, że uprawiam również kawały sytuacyjne. Milcząc odsunęła moją rękę z gołąbkami. — „Może wolisz co innego? — zapytałem troskliwie — w kredensie jest zawsze ząb-tenora (czyli kielbasa)”. Wówczas spojrzała na mnie jakoś dziwnie i wstała od stołu, strącając na ziemię serwetkę. — „Strącasz serwetkę, a to przecież zamiast serana-wety” — powiedziałem wesolutko, ażeby ją trochę rozruszać. Jadłem dalej spokojnie nie przeczuwając, na co się zanosi. Zosia stanęła w otwartym oknie. — „Wyglądaj sobie, wyglądam! Ładnie będziesz wyglądać!” — zaśmiałem się nie przypuszczając, jak prorocze wygłaszam zdanie. Po chwili bowiem wyskoczyła z okna na bruk!

Zakończył swoje opowiadanie i głośno obtarł nos.

— Czy nie domyślasz się, moja droga — rzekł po chwili — co właściwie mogło być powodem jej samobójstwa? Bo ja doprawdy nie mam błękitnego pojęcia, a przecież, jak wiesz, nigdy nie byłem bity w ciemię, ale zgoła gdzie indziej...

MAŻ UBOGI I MAŻ BOGATY

Są dwa rodzaje mężów ubogich: rozrzutny i oszczędny. Równie trudno jest zresztą rozrzucić to, czego się nie ma, jak to samo oszczędzać.

Rozrzutny, często artysta, uważa, że można być doskonale raz na wozie, raz pod wozem, jak to się zdarza szoferom.

Chodzi z żoną na dansingi i kolacje na mieście, po czym sprzedaje cokolwiek ze swoich rzeczy, np. zegarek, pod pretekstem, że mu się znudził, bo ciągle idzie, a do niczego jeszcze nie doszedł — i znów jest wesóły i pogodny.

Żonę swą namawia do sprzedania obrączki, bo trudno ciągle chodzić w tym samych rzeczach, no i — jakoś to idzie!

Oszczędny jest groźniejszy.

Ten jest pełen chytryści.

— O, mój Boże, kupiłem niechcący bilet drugiej klasy — woła przerażony na stacji. — Jeśli chcesz, to lecę zamienić na pierwszą. Psiakość, pociąg rusza, a to pech! Co ja też mam za głowę!...

Do dorożek ma wstręt nieopisany.

Współczuje z koniem fiakierskim jak z rodzonym ojcem.

Taksówek też nie lubi. Twierdzi, że zawsze jest się przedzej piechotą.

Kobieta, co się rozwiedzie z mężem oszczędnościowym, najczęściej wpada w sidła rzekomego miliardera. o ile się takie sidła nawiną. W podróż poślubną jadą do Paryża, po której młoda małżonka obiecuje sobie bardzo wiele.

W Paryżu mąż-nabab mówi jej tajemniczo:

— Pójdziemy do tancj, ale świetnej restauracyjki, która

ma i tę zaletę, że nie spotkasz w niej żywej duszy. Będziesz się czuła jak w Krakowie!

Dość smętnie zasiadają przy stoliku i przeglądają kartę.

— Nie radzę ci — mówi mąż — bawić się w gęsi, indyki i łososie, lecz zaufać mi i kazać sobie podać *Assiette alsacienne, pommes anglaises*; zobaczysz, że nie pożałujesz.

Kto był we Francji — wie, że nic specjalnie angielskiego ani alzackiego nie ma w kielbasie z kapustą i kartoflami.

Ale sugestia wiele znaczy.

Po tym lekkim śniadaniu idą państwo młodzi na miasto.

Ona mówi sobie:

— Jak to dobrze, że sklepy z kapeluszami już otwarte, muszę sobie właśnie kupić coś na głowę.

— A to po co? — powiada mąż. — Ja cię tak lubię bez kapelusza. Zresztą czy ten nie jest dobry? I tak przecież dwóch naraz nie włożysz.

— No, to przynajmniej buciki sobie kupię — odpowiada znękana kobieta i chce wejść do sklepu z bucikami.

Lecz mąż ciągnie ją gwałtownie za rękę:

— Dobrze, tylko na miłość boską nie tu! — i wchodzi z nią do trafiki.

— I cóż mi z tego, że jesteś bogaty! — westchnie wreszcie nieszczęśliwa, na co otrzymuje taką odpowiedź:

— Bogactwa moje zawdzięczam jedynie temu, moje dziecko, że umiałem sobie zawsze odmawiać wszelkich przyjemności. Dogadzać ci — byłoby dla mnie przyjemnością, więc nie mogę sobie na to pozwolić. Jednej tylko rzeczy, niestety, nie umiałem sobie odmówić: ciebie. Teraz więc muszę być podwójnie oszczędny!

Z tego wynika, że jedynym typem męża dla kobiety, która chce użyć życia — jest ubogi rozrzutnik.

MAŻ ZAKOCHANY

Bardzo zakochany mąż trafia się, na szczęście, dość rzadko.

Jest to zwykle typ średniej inteligencji.

W towarzystwie obejmuje żonę wpół i patrzy triumfująco na wszystkich.

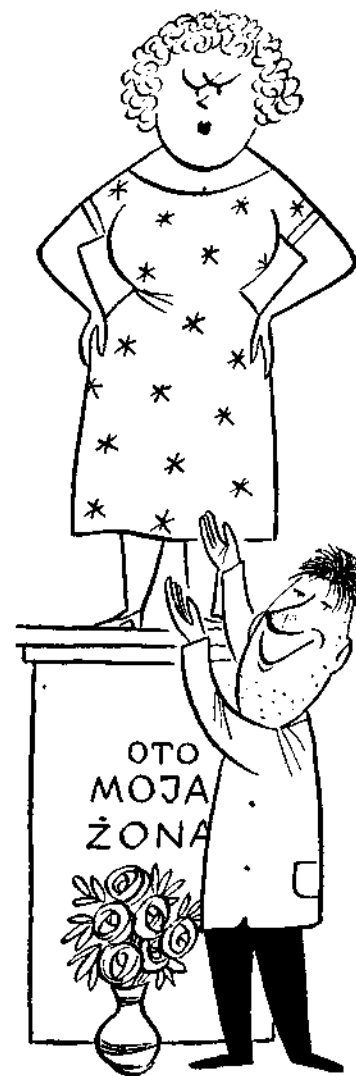
Na spacerze chodzi z nią stale pod rękę, szczególnie gdy ona jest w odmiennym stanie, pilnując na każdym kroku, aby mu jej ktoś nie porwał.

Gdy żona zacznie coś mówić, macha rękami na wszystkich, aby słuchali uważnie.

Wieczorem oznajmia obecnym triumfująco, że on i ona idą spać, co zwykle nie robi na nikim należycie silnego wrażenia.

Obraża się, gdy kto chwali inne kobiety, prócz jego żony, i ją też uczy obrażać się o to.

Zazdrosny nie jest, raczej żąda, aby wszyscy kochali się w niej.



DOBRY MĄŻ

W miejscu, gdzie takie małżeństwo zamieszka, i na sto mil wokoło — nikt się nie chce w nikim kochać, nawet gołębie przestają gruchać, a króliki rodzić. Niedościągły wzór małżeńskiego szczęścia przyprawia wszystkich o melancholię.

Na szczęście nie trwa to długo, bo bardzo zakochany mąż... najczęściej nagle i niespodziewanie ucieka z inną osobą.

To nie jego wina, że ma taki talent do miłości.

Zakochanego męża bardzo trudno jest utrzymać przy sobie, bo w ekstazie miłosnej cały świat wydaje mu się piękny i doskonały, nawet pomocnica domowa, panna Kłocia.

Na tysiąc trafi się czasem dobry mąż; znalazłam takiego. Posiadał wszystkie zalety, wyglądał tak, że bez wstydu można się było z nim pokazać w kawiarni czy teatrze. Żonie z własnego ogródka koło ich willi przynosił fiołki.

Wcale się nie dziwił, gdy w jej rachunkach domowych, po tygodniu, w rubryce pod „różne” widniało jak smok: dwa tysiące.

— Rozumiesz — mówiła z lekka zarumieniona żona — fryzjer, kawiarnie, papier, twoje żyłki.

— Ależ rozumiem doskonale — mówił z uśmiechem mąż.

Rzecz jasna, że takiego dobrego męża zdradza się („on nawet gdyby się domyślił, to nic nie powie, bo jest taki dobry i kocha mnie do szaleństwa!”).

— Wychodzę na całe popołudnie — mówiła jego żona — czy nie będziesz się zanadto nudził beze mnie?

— Będzie mi smutno, ale to nic, poczytam książkę, prześpię się...

— Ach, mój złoty, to może ja nie pójdę (i spogląda na zegarek, bo tam amant już czeka).

— Ach, skąd, nie poświęcaj się dla mnie, idź, zabaw się, jesteś młoda, masz do tego pełne prawo!

Podlewana dobrocią męża miłość do kogo innego rośnie tak, że nasza babeczka postanawia rozwieść się z dobrym mężem i wyjść za mąż za amanta.

— Ja ci nie będę stawiał przeszkód — mówi dobry mąż z ciężkim westchnieniem — kochasz go, to idź za niego (do diabła! — nie dodaje). Tylko nie rób mu krzywdy, to taki porządny chłopak!

Rozwódka płacze:

— Ach — mówi łkając na ramieniu nowego męża — jakie to straszne tak kogoś skrzywdzić! On taki dobry i tak mnie kocha! Nie wyobrażam sobie jego życia beze mnie...

— Powinnaś go od czasu do czasu odwiedzić — mówi szlachetny amant.

— Ach, naturalnie, będę do niego wpadać, przyrządzać mu kawkę, bo zawsze mówił, że nikt tak jak ja... Przecież ja także byłam do niego przywiązana. Jestem świnia i koniec!

Przed podróżą poślubną autem nowego męża do Zakopanego ona postanawia wpaść jeszcze na chwilkę do dawnego męża, ażeby ją pobłogosławił na nową drogę życia.

— Ty zostań w wozie, a ja skoczę na chwilę na górę, uściskam go i powiem mu, że był najlepszym mężem na świecie.

— Tylko się nie zasiedź za długo na jego kolanach — mówi trochę zazdrosny amant.

— Ach, skąd, skoczę tylko raz-dwa, uściskam go, otrę mu łzy i wracam.

Leci po schodach na górę i dzwoni. Długo nikt nie otwiera, ona czeka. Po kilku minutach dawny mąż otwiera drzwi.



Jest w piżamie. „pożyczkę” na głowie ma rozwichrzoną i okropnie głupią minę.

— Ach, to ty... — mówi niepewnie. Czegóż sobie życzysz? Czy może coś zostawiłaś w domu?

— Ciebie! — krzyczy gorąco i rzuca mu się na pasiaste piersi, które jakoś dziwnie pachną nieznanymi perfumami.

— Wybacz, ale... jestem bardzo zajęty w tej chwili.

— Jak to?...

— No, po prostu jest u mnie kobieta...

Żona wybucha wtedy słuszną pasją:

— Ach, więc to tak? Więc ty tylko udawałeś miłość do mnie! Więc nie będziesz nieszczęśliwy! Och, gdybym ja była wiedziała! Wiesz, wszystkiego byłabym się spodziewała, tylko nie tego! Jak to na nikogo w życiu nie można liczyć... — i z chustką przy oczach zbiega po schodach z powrotem.

— No, cóż? — pyta się nowy mąż przy kierownicy. — Bardzo tragiczne było to wasze ostatnie pożegnanie?

— Widzisz... przecież... — i łka dalej.

— No, to może ja skoczę na górę i postaram się go jakoś pocieszyć... zblagować... że to może nie na długo, nie na zawsze, że może kiedyś do niego wrócisz, na przykład, gdy się mnie sprzykrzysz... Bo inaczej, biedak, może jeszcze popełnić jakiś szaleńczy krok z okna na bruk, powiedzmy, a mieszka na drugim piętrze.

— Ach, nie — odpowiada splakana żona — nie idź tam, broń Boże, on jest w takim nastroju, że gotów się na ciebie rzucić, udusić. Powinien teraz w zupełnym spokoju to nasze rozjeść się przeboleć i... zapomnieć...

MAŻ-POETA

Mieć za męża poetę i to poetę awangardowego (*L'avangarde meurt, mais ne se rend pas!** i wciąż jeszcze u nas istnieje) to większe nieszczęście dla kobiety, niż mieć męża nowoczesnego malarza. Gdy malarz wystawi w „Salonie” akt kobiety z nogami jak pniaki i fioletowym brzuchem — to każdy może jeszcze przypuścić, że do owego arcydzieła pozowała mu modelka. Poeci jednak, będąc zazwyczaj istotami o słabej konstrukcji fizycznej, kochają się zwykle tylko w swoich żonach i wszyscy mogą się od razu domyślić, że erotyki, które drukują i wydają w książkach, opisują ich miłość małżeńską. Jak wyglądają owe erotyki małżeńskie — zaraz zobaczymy:

WIOSNA

*Marzec — Marcowe Idy
Idą ciągnąc się pasmem fiołkowym.
Twoje piersi
jak wiszące ogrody Semiramidy
pączkami róż zakwitły
różanymi...
By je dotknąć czubkami mych warg
kładę się u twych stóp
jak zdeptana miłością
gąsienica.
Bez słów...*

* (fr.) awangarda umarła, lecz nie poddała się.

TWOJE CIAŁO

*Twoje ciało jest miękkie i płynne
jak pierzyna.
Ugina
się pod dotknięciem
mych rąk pełnych palców
wiotkość...
Żyłki fioletowe...
Cud posiadania.
Postadania własności niepodzielnej
otomany,
w którą
się na godziny wpada...*

Po przeczytaniu tego rodzaju poezji wszyscy znajomi biednej żony poety spoglądają na nią z ironicznym uśmiechem. Przyjaciółki, gdy wejdzie do kawiarni, wstrzymują śmiech.

Poeci lubią też wspominać w swojej „moralnej sile”, o „wartkich strumieniach pożądania”, a tymczasem... wiadomo, że zamiast „pokiziać — pomiziać” piszą nocami wiersze. Nie dziw się więc, poeto, gdy twoja żona po przeczytaniu poezji pisanych na jej cześć, które drukujesz, gdzie się da i gdzie ci za nie coś dadzą, powie pewnego dnia: — „Stop! Do widzenia, Migdaliku!” — i ucieknie z normalnym facetem, któremu się jeszcze zdaje, że wiersz powinien być rymowany, i który w wesołych momentach zacytuje jej jeden czterowiersz, napisany przez swego dowcipnego kolegę narciarza:

*Był maj.
Rzekl jej: — Ach, daj mi, daj!
A potem, co było — wiesz?
Zaszedł księżyc — i ona też*

MAŻ JAKO STROICIEL ŻONY

Trzeba się z góry przygotować, moje panie, na to, że mąż będzie was chciał ubierać 'ak, jak się jemu podoba. Niesłychanymi chytrściami trzeźa będzie operować, by sprawić sobie coś ładnego, nie wchodząc w konflikt z mężem, który by tego i owego „nie włożył za nic”, który krytykując odsyła do magazynu i dopiero, gdy to wszystko zobaczy na jakiejś kokocie, mówi z gorzkim westchnieniem:

— Patrz, ta — to się umie ubrać!

W początkach miodowych miesięcy każdy z tych panów prowadzi żonę do swojego własnego krawca.

— Nareszcie będziesz porządnie ubrana — mówi.

Angielski kostiumik z jakiegoś praktycznego materiału na spodnie — szyje się tygodniami. Mąż czyni uwagi, krawiec słucha, a robi swoje.

Wreszcie kostiumik gotów.

Trzeba w nim wyjść na ulicę...

Chce się człowiek bocznymi zaułkami przespacerować dla odmiany, ale dumny ze swego dzieła mąż — nie pozwala. Idzie z tobą główną ulicą, a znajome patrzą z radością i kłaniają się pierwsze, bo kostiumik wygląda jak ubranko owego żuczka z piosenki Konopnickiej, co to je szyły dwa chra-baszczce, a krajały sowy.

Mąż chwali kostiumik, ogląda cię i mówi:

— Swoją drogą... nie jesteś już tak zgrabna jak dawniej; coś ci się popsulo; dobrze jeszcze, że trafiłaś na takiego krawca!

Oprócz tej odzieży, kupi ci jeszcze ogromny, prawdziwy

parasol od oberwania chmury, zaznaczając, że można go też używać jako parasolki, buciki na niskich obcasach, trochę za duże, i skórzaną sportową czapkę na wizytę.

Sytuacja jest tragiczna: wyrzucić to wszystko — znaczy zniechęcić go. Nosić — to nie podobać się nikomu, a nie podobać się nikomu jest o tyle źle, że on ci sam gorzko to wypomni. Jedyna rada — czekać, aż się „charaktery zetną”... i te wszystkie wdzięczne fatałaszkę również.

Byle go nie zniechęcić w pierwszym roku, a potem... wszystko już jakoś pójdzie!...

Nie trzeba w pierwszym roku małżeństwa klócić się o co innego, jak o sprawy erotycznej natury. Takie kłótnie miłości nie szkodzą; i przeciwnie — wszystkie inne scysje zasypują ją jak piaskiem...

Zresztą — z pierwszymi zapałami miłosnymi przejdzie też i ochota do ubierania żony.

— Szkoda dla ciebie takiego krawca — powie.

STARY MAŻ

Starość — to rodzaj tkanki, z którą już się rodzimy. U jednych owa tkanka rozwija się później, u drugich wcześniej. U kobiet, które dbają o siebie, rozwija się bardzo późno; u mężczyzn, którzy w naszym kraju zupełnie o siebie nie dbają — bardzo wcześnie. Wódka, papierosy i praca przyspieszają niezmiernie rozwojowi owej tkanki. O ile jednak kobiety wstydzą się starości i nie chcą jej się poddać, o tyle mężczyźni przywołują starość z jakąś masochistyczną radością. Otwierają jej drzwi na oścież wołając: — „Chodź, babciu, i weź nas pod swoje siwe skrzydła. Ponieważ i tak przyjdę musisz, więc im prędzej, tym lepiej. Witaj, starości!”

Starsi mężowie dumni są z pierwszych oznak starości, podobnie jak młoda dziewczynka z pierwszych oznak dojrzałości. Pięćdziesięcioletni mąż, odgarniając jeszcze całkiem możliwą czuprynę, pokazuje swojej żonie kawałek gołej skóry na głowie.

— Łysenko! — powie — jeśli jest z gatunku tych najdowcipniejszych.

Żonę mniej więcej w jego latach zachęca do rozkoszy podeszłego wieku:

— Niech sobie młodzi idą do teatru, my zostaniemy w domowym ciepłku, włożymy szlafroki, ranne pantofle i posłuchamy radia. Zdejm, kochanie pasek i ząbki (taki *strip-teeth** podeszłego wieku), będzie ci wygodniej. Mnie nie potrzebujesz się kępować.

Albo:

— Usiądź, kochanie, w tym fotelu, w którym dawniej siedziała babcia, będzie mi się zdawało, że to ona tam siedzi.

W towarzystwie pilnuje, aby ani na chwilę o swoich latach nie zapomniała:

— Proszę mojej żonie nie nalewać ani jednego kieliszka więcej. Potem nie daję mi spać po nocach. I proszę cię, nie pal tak dużo w twoim wieku...

— Przecież pańska żona nie jest jeszcze starą kobietą.

— Ona! — zarechocze wesoło. — Ma dorosłego syna i wnuki. Moja starucha kochana.

Po spreparowaniu żony do „witaj, starości” sam zakochuje się często w młodziutkiej dziewczynie. Wtedy już nie: „moja starucha kochana”, tylko: „stare babsko jesteś, siedź spokojnie w domu”.

Gdy żona jest z gatunku prostych i naiwnych, pisze do tygodnika „Przyjaciółka” list mniej więcej tej treści:

Droga „Przyjaciółko!”

Mój mąż był dobrym i kochającym mężem przez szereg lat; teraz raptem, kiedy zbrzydłam i zestarzałam się, przestał mnie kochać. Powiedz, co to znaczy i jak mam to zrozumieć?

Kobiety! Na twarz nic nie poradzicie. Przeżywały po niej deszcze waszych gorzkich łez. Grady przykrych słów mężczyzn, którzy was przestawali kochać, wyłobowały na niej bruzdy. Przelatujące po niej błyskawice gniewu zniszczyły skórę. Ale wasze nogi, biusty i uda nie były na to narażone. Starajcie się do późnego wieku zachować linię i jędrność ciała, a przynajmniej was spotka to, że ktoś z tyłu zaczepi, a z przodu przeprosi...

* (ang.) neologizm: *strip* — obnażać, *teeth* — zęby

MĘSKA NIEDYSKRECJA

Sławna niedyskrecja mężczyzn, o której już niejednokrotnie poniekąd pisywali, mniej dzisiaj razi kobiety niż dawniej. Romansowe damy, które po schodach pierwsze biegną jak młode psiaki do wspólnego miłosnego gniazda i tylko się oglądają, czy amant za nimi zdąży, są na to z góry przygotowane. Istnieje jednak nieliczna garstka „uczciwych mężatek”, które dbając w tych sprawach o opinię męża, nie chcą go narażać na dowcipki i złośliwe komentarze ze strony jego przyjaciółek i znajomych.

Lepiej, ażeby nie miał, biedny, opinii „aniołka z różkami”, bo i po co?

Dzisiejszych mężczyzn, którym już nie grożą ani pojedynki, ani — że się tak wyrażę — „seksualny mord” ze strony zazdrosnego męża, wstrzymuje przed daleko idącą niedyskrecją tylko i jedynie okropny strach przed tym, ażeby mąż ukochanej nie zechciał się z nią rozwieść i wydać ją za mąż za jej amanta. A wiadomo, że mężczyźni boją się małżeństwa (mimo ślubów cywilnych) jak diabeł święconej wody! Bądź co bądź życie kawalera — to tak jak życie osoby, która posiada aparat radiowy: raz ta melodyjka bucha z aparatu, raz inna, raz ze stacji krajowych, to znów zagranicznych, a życie żonatego — to życie człowieka, który posiada gramofon z jedną płytą. Na jednej stronie owej płyty nagrane jest sentymentalne tango, a na drugiej, powiedzmy, wesoły fokstrot. Albo z jednej strony walc: *François* a z drugiej *Marsz Weselny Mendelsohna*. Piękne to są melodie i przez wszystkich lubiane, ale słuchać ich od rana do wieczora — to można dostać szału!

Bywają kobiety (ale to się niezmiernie rzadko zdarza), które przypominają owe przedwojenne płyty złożone z sześciu lub nawet ośmiu nagrań. Gdyby takich kobiet było więcej, okropny strach mężczyzn przed związkami małżeńskimi zmniejszyłby się na pewno w znacznym stopniu.

Ale wróćmy do męskiej niedyskrecji. Otóż największe niebezpieczeństwo grozi kobietom wówczas, gdy najświetniejszy w mieście Adonis lub Don Juan zwariuje i ożeni się! Wtedy są już zgubione. Bo czymże innym zabawia wieczorem Żuasia swoją młodą żonę, jeśli nie opowiastkami ze swego kawalerskiego życia? Siadają razem przytuleni do siebie na kanapie i zaczynają oglądać wspólnie albumy z fotografiami.

— A ta piękność w kostiumie kąpielowym — to kto? — pyta się szczęśliwa właścicielka Żuasia.

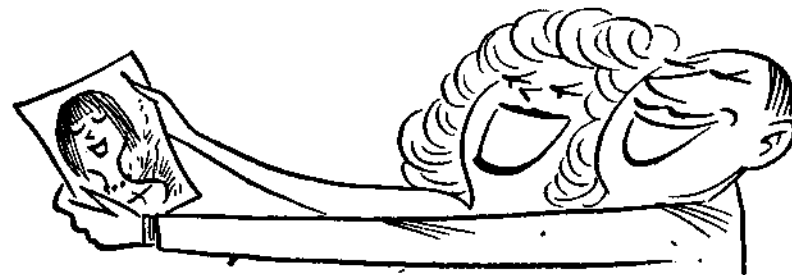
— Jak to, nie poznajesz jej? To przecież Wiśka! Pocziwe Wisisko, powiadam ci, co to była za fajna kochanka! Nie masz pojęcia! Nie była może specjalnie ładna, ale co za uroda, jakie piersi, taaka baba!

Żonusia podniecona, z błyszczącymi oczkami, ogląda fotografie z uwagą.

— Tę panią też skądś znam...

— No pewnie, to przecież doktorowa Jurska, żyłem z nią dobrych kilka miesięcy; przyjemna była kobiecina i zepsuta bestyjka, tylko wiesz, co mnie do niej w końcu zraziło? Taki rodzaj zgrubień czy tłuszczaków, które miała na udach.

Młoda żona jest zazwyczaj dla dawnych i dawno przebrzmiałych kochanek męża usposobiona litościwie i łagodnie.



— Przecież to młoda kobieta!
— Ona młoda? Cha, cha, cha! Znalazłem w jej starych szufladach dawne paszporty i wiesz, ile ma lat? Nigdy byś nie zgadła. Pięćdziesiąt dwa!

Żona ogląda rewelacyjny album dalej:

— A to przecież córka tego starego profesora. no, zapomniałam nazwiska, znam tę panienkę doskonale...

— Panienkę jak panienkę — odpowiada nasz Don Juan. — Już jak ją poznałem, to nie była panienką, ale powiadam ci, jak to umiała całować! Niech się wszystkie inne schowają.

Po dokładnym obejrzeniu albumu Żuaś, ażeby zyskać na czasie, bo amory mu przecież nie dziwne i miał tego w życiu dosyć, idzie do szafy i wyciąga z niej wielki plik listów. Są to oczywiście listy miłosne.

— Ach, pokaż, pokaż! — piszczy żona.

— Przeczytaj sobie też liścik... — mówi mąż ze śmiechem.

Najdroższy!

Nareszcie ziściły się moje marzenia dziewicze; znalazłam kwiat paproci, a pod nim... skarb...

Tak się oboje zanoszą śmiechem przy tej lekturze, że nie mogą czytać dalej.

— A wiesz — mówi Don Żuaś — od kogo ten liścik, kto go pisał?

— No, kto? Powiedz, powiedz!

— Twoja przyjaciółka, Krysia!

Nim więc sławny Adonis lub Don Juan wejdzie w związki małżeńskie, wszystkie jego flamy — o ile nie chcą, ażeby żona Don Juana z nich się wyśmiewała — powinny podrzeć fotografie i plażowe zdjęcia, które mu ongiś ofiarowały, tudzież listy.

NIE JESTEŚ NARCYZEM

Nie jesteś Narcyzem, chociaż ci się tak nieraz zdaje, i dlatego powinieneś się porządnie szorować od góry do dołu.

Mężczyzna bardzo często uważa siebie za rasowego kota, którego, broń Boże, nie należy kapać, bo sparszywieje.

W zimie w co drugim polskim domu łazienka jest zamrożona lub gaz zepsuty, słowem „woda nie idzie”.

Cóż za cudowna okazja dla naszego kotka, ażeby się nie kapać.

— Idź do łaźni — zachęca go jego rozsądniejsza połowa.

— Czy po to, ażebym się zaziębił? — odpowiada spode łba.

— To wiesz co? Każę przynieść balię do kuchni, wyczyścisz się cały w balii.

— Czy to ja jestem wariat, ażebym miał się myć w balii? Będzie ciepło, to rądnę do rzeki się wykapać.

Mężczyzna zwykle „myje się do połowy”; druga, ta, która chodzi, jest przez niego traktowana z lekceważeniem posiadacza pary koni roboczych, który się już do tego szczęścia zdążył przyzwyczaić.

Kobietki, które nauczyły się już od dawna pluskać niczym wróbelki w kałuży, ze zdumieniem spoglądają, jak Narcyz pobieżnie traktuje sprawę mycia. Gdy w jakimś domu łazienka (o dziwo!) funkcjonuje normalnie, pan domu od czasu do czasu raczy iść się kapać. Robi jednak z tego sprawę dużej wagi, do łazienki zabiera ze sobą szczotki, mydła, nożyczki, wszystkie ilustrowane pisma i ogląda się za kacuzkami z celluloidu, takimi, jakie się dzieciom wpuszcza do wanienki; po-



nieważ jednak niemądra żona nie domyśla się, że mogą mu być potrzebne, i w domu nie ma takowych, więc bierze przy najmniej „kubek do polewania pleców”. Znalazłszy się w gorącej wodzie czuje się dobrze, śpiewa lub gwizdże i do głowy mu nie przyjdzie, że jeszcze reszta domowników również chciałaby się wykapać.

— Jak długo on ma zamiar tam siedzieć? — denerwuje się matka żony.

— A bo ja wiem... pewnie jeszcze z godzinę — odpowiada żona.

Matka męża, o ile się w domu znajduje, zaczyna się po mału lękać o zdrowie koteczka.

— A może mu się coś stało? Może zastąpił?

— Toby nie śpiewał — pada lakoniczna odpowiedź żony.

Gdy przeciętny mężczyzna, idąc na jakieś wieczorne posiedzenie, zaczyna się zanadto szorować (co mu się przecież tak rzadko zdarza), musi w małżonce wzbudzić słuszne podejrzenia. Radzimy zatem łaźnię co tydzień; wtedy nie ma żadnej kontroli ze strony żony, a jest się długo czystym i pozbawionym owego „delikatnego zapachu skóry”, o którym z takim wzruszeniem piszą literaci...

PAN I JEGO PIES

Każdego normalnego mężczyznę niezmiernie nuży *à la longue** kobiece towarzystwo. Zaobserwujmy go tylko w jego życiu małżeńskim, a przekonamy się o tym naocznie.

Oboje państwo w rok po ślubie siedzą na balkoniku majowym i piją śniadanie. Pan otulił się wielką płachtą gazety jak parawanem i za nią żyje, jak mu się podoba. Obrabia nos, dłubie w zębach, robi to, czego mu żona zabrania, i czyta z zapalem nawet długi i poważny artykuł wstępny. Na wszystkie zapytania żony odpowiada niechętnie: — „Yhm”. Gdy przeczyta w gazecie coś zabawnego, to nagle zaśmieje się głupkowato i wykrzyknie: — „Ach, skurczybyk!” — i czyta dalej. Ale oto przed dom, w którym mieszkają, zajeżdża znajomy na motocyklu, gasi motor i ze sportowym nonszalanckim szykiem zawiesza sobie okulary na szyi. Nasz mąż momentalnie rzuca gazetę i już jest na dole. Do kolegi z motocyklem cieszy się jak pies do psa, kot do kota, dziecko do drugiego dziecka. Chodzi dookoła motoru niemal obwąchując go z rozkoszą. Obydwaj zaczynają oglądać ukochaną zabawkę, coś koło niej dłubać: żona woła z balkonu, że już czas, że biuro, że kino. Macha na nią ręką, co ma oznaczać: „Dobrze, dobrze!” — wsiada na motocykl, puszcza motor i zaczyna hałasować na całą ulicę. Piękność na balkonie załamuje opalone rączki, woła coś, co ginie w hałasie motoru i co jest zupełnie niepotrzebne, ponieważ męskie psy bawią się teraz ze sobą i na żadne „swoje panie”

* (fr.) na długo

nie mają czasu i ochoty. W ogóle nie słyszą i nie widzą ich wcale.

Każdy mężczyzna, żeniąc się, wie z góry, że z kobietą długo sam nie wytrzyma, i pragnie mieć naturalnie męskie towarzystwo, czyli... syna. Gdy te jego ojcowskie projekty zawiodą, kupuje rasowego psa i od tej chwili kończy się w domu spokój i ciche małżeńskie szczęście. Pani cierpi na „stawy”, które pies zostawia w pokoju; pan i jego szczeniak nic sobie z tego jednak nie robią. Piesek je za dwóch, a robi za dziesięciu, do której to naturalnej funkcji używa często perlonowych nówek pani domu.

— To dlatego — ryczy z radości mąż — że masz nogi proste i długie jak słupy telegraficzne. Powinnaś się cieszyć, że nawet piesek się na nich poznał.

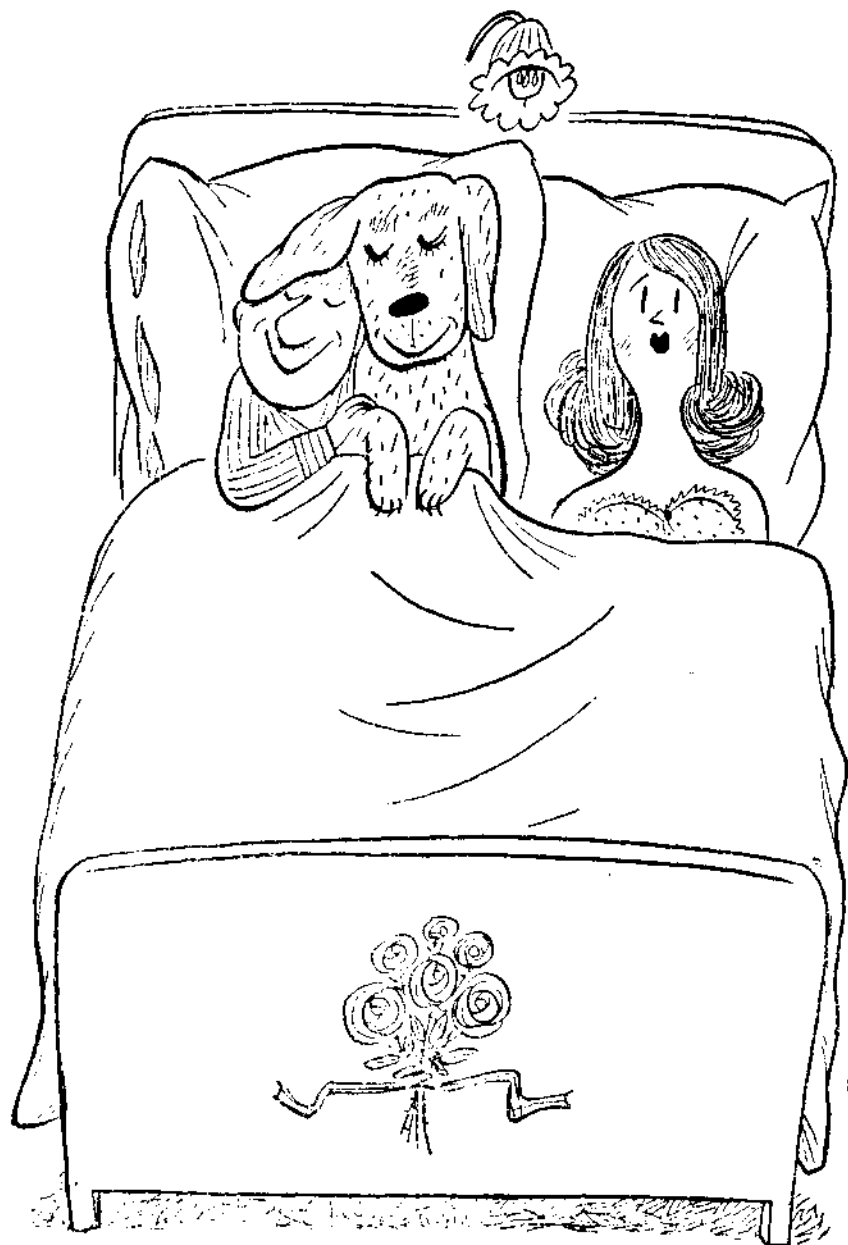
A biedna pani cieszy się tak, że aż jej łzy z oczu kapią. Gdy pies zapanuje w domu, nie ma już ani słodkich, spokojnych nocy, ani też normalnych obiadów. Szczeniak śpi z państwem; mowy nie ma, ażeby zechciał spać gdzie indziej, i albo skuczy przez sen, albo kłapie pyskiem. Lubi też, śpiąc, bić od czasu do czasu ogonem o materac. Czasem, kiedy pan sobie przypomni, że obok niego leży ładna, młoda kobieta, a ona z jękiem wdzięczności rzuca się w jego objęcia, piesek — gdy jest czuły i rzewny z natury — skuczając żałośnie wskakuje na tapczan i wsuwa się między nich oboje. Mąż ma w stosunku do szczeniaka objawy czułości młodej matki.

— Chodź, chodź, biedaku — szepcze psu na ucho — chodź do swojego pana, no tak, no tak, przytul się...

Gdy żonka objawi w takich wypadkach niezadowolenie, zraża sobie męża.

Trudno kochać kobietę, która nie kocha zwierząt — powie niejeden z nich.

Obiadek, nawet najlepszy, nie przedstawia już, odkąd pies jest w domu, żadnej atrakcji. „Pan Podstoli” nie dopuści do tego, aby ludzie zaspokoili swój apetyt. Drapie ostrymi pazurami po kolanach i patrzy w oczy w ten sposób, że naj-



bardziej kamienne serce i zatwardziały żołądek musi się na ten widok wzruszyć.

— Dajże mu przecież ten kawałek mięsa — mówi pan domu — spójrz, jak się na ciebie patrzy.

Najlepsze kąski idą w ten sposób nie do ludzkiej twarzy, ale do psiej mordy. Powiecie, że pies „nie powinien” jadać z ludźmi, że „powinien” mieć swój obiad na swojej misce itp. Oczywiście, ale nie w domach, gdzie jest mężczyzna.

Ledwo ludzie usiedli do stołu, już on zaczyna się rozglądać za ukochanym kundlem.

— Gdzie jest Koko? — pyta z niepokojem.

— Nie wiem, pewnie w kuchni.

— Do kuchni wciąż ktoś wchodzi, mogą zostawić drzwi na korytarz otwarte, ucieknij na schody i już po nim!

Wstaje zdenerwowany od stołu i po chwili obydwaj w podskokach wracają do jadalni. Koko rudymi łapami opiera się o stół i wywiesza różową flagę jęczora. Spokój jedzeniowy zburzony.

Nie jednak biednych żon nie doprowadza do takiej wewnętrznej furii, jak czułości, którymi chłodny już mąż obsypuje swojego faworytka.

— Psiapsiuś, cuduś, no, chodź, chodź, połóż główkę, daj łapkę, poliz, o taaak, właśnie, dooobty piesek, dooobry, najmiłszy, jedyny... Pokaż ząbki, pokaż nóżkę, co to się w nóżkę stało? Boli? Juś nie boli, o taaak!

— Nie pamiętam, kiedy się tak do mnie odezwał — westchnęła kiedyś pewna żona.

A inna rzekła z pasją:

— Przed wojną była moda na odbrażowanie różnych sławnych ludzi, może by tak po wojnie ktoś poruszył w pismach sprawę odbrażowania psa. Odkąd mamy w domu psa, nie wyjeżdżamy już na wakacje, bo „nie ma kto z psem zostać”, nie ходzimy do teatru, bo pies wówczas wyje i mieszkańcy kamienicy wściekają się, nie mamy dzieci, bo Hek dzieci nie znosi, a ja już nie mam męża, bo on ma PSA!

UBRANIE PANA

Nie będziemy mówić o skromnym uczciwym urzędniku, który wygląda jak popielniczka lub kałamarz, a który od lat nosi jedno i to samo ubranie, ciemnopopielate w czarne przecinki, i uważa siebie za istotę tak mało ozdobną, że w ogóle o ubraniu nie myśli. Dawniej, zamiast „gość” lub „facet”, mówiło się „spacerowicz”. Otóż przeciętny „spacerowicz” o niczym tak wiele nie myśli, jak o ubraniu, i jest to dla niego sprawa równie ważna, a może nawet ważniejsza niż dla kobiety. Kobieta, jeśli koniecznie chce pójść na jakąś zabawę, a nie ma się w co ubrać, to ściągnie ze stołu obrus, a z okna firankę, skleci z tego wraz z krawcową nową „kreację” i bawi się świetnie. „Spacerowicz” jest pod tym względem bardziej ambitny i gdy ma lepsze ubranie u krawca (dane do poprawki), a gorsze poprzecierane niewidocznie na kolanach, mówi, że „życie byłoby znośne, gdyby nie przyjemności” i że woli pozostać w domu. Dlaczego moda męska nie wynalazła dotychczas dla „spacerowiczów drewniaczków, kapelusików ze słomki papierowej etc.? Dlatego że mężczyźni w sprawach ubraniowych są o wiele większymi od nas snobami i „byle czego” na siebie nie włożą. Zazdroszczą nam naszych ubraniowych figli, ale za nic by ich nie nosili. Najlepszym dowodem, jak nam tych cudów zazdroszczą, to podświadomy gest każdego prawie mężczyzny, ażeby przymierzyć nowy kapelusz żony czy przyjaciółki. Wkładają go w sposób idiotyczny i wyglupiają się z nim przed lustrem. Rozmowy tych panów też zwykle nie kręcą się koło polityki lub kobietek, ale koło materiałów i nowych ubrań. Posłu-

chajmy tylko rozmowy dwóch przypadkowo spotkanych na ulicy lub w kawiarni kolegów, a zaraz się o tym same przekonamy. Zaczyna się od skubania w rękaw.

— Setka czy osiemdziesiątka?

— Ach, ty ciężki frajerze, nie widzisz, że to eksport?

— Ile płacicieś?

— Trzy za cały kupon. Niedrogo.

Kolega zielenieje z zazdrości, jak każda kobieta w tym wypadku.

— Ale to nie jest czysta wełna — mówi zjadliwie.

— Ty się znasz! Nie jest czysta wełna? Mogę trzy dni spać w tym ubraniu i nie pogniecicie się. Popatrz! — tu zaczyna się gniecienie w garści rogu marynarki. — No co? Gnecie się czy nie?

— A ile dałeś za robotę?

— Niedużo, dwa tysiące z dodatkami.

— To widać. Dobry krawiec musi dzisiaj brać o wiele więcej. Ale jakie ja będę miał ubranko! Uważasz — „anglik”, jasnopopielaty, rodzaj flaneli, ale o wiele fajniejsza od flaneli. No, i dam sobie uszyć u najlepszego krawca. Widzisz, mnie nie stać na to, żeby się tandetnie ubierać.

W dalszym ciągu rozmowa zaczyna się kręcić koło kapeluszy.

— Takich kapeluszy, jak twój, nikt już nie nosi; za granicą tylko szerokie ronda, no i nigdy ten krawat z tą koszulą do tego ubrania.

Gdy rozmowa tego rodzaju prowadzona jest w domu prywatnym, panowie zaczynają zdejmować z siebie marynarki, przymierzać, krygować się przed lustrem, wciągać w siebie brzuszki i sztywnym krokiem spacerować po pokoju. Dla naszych „strojnisiów” jest rzeczą najboleśniejszą, gdy im kochająca kobieta sprawi coś z ubrania. Mają oni swoje ubraniowe nawyczki i upodobania i żadna kobieta nie jest w stanie dogodzić im pod tym względem. Nadchodzą więc imieniny i wzruszona kochanka przynosi w bibułce cudny krawacik, który tak pięknie wyglądał w rękach subiekta. Kra-

wacik jest żółty w szerokie czerwone, atlasowe pasy, a każdy z pasów ujęty jest w czarny brzeżek.

— Będzie ci w nim szalenie do twarzy! — mówi skromnie przyjaciółeczka.

Mężczyzna wie już po pierwszym spojrzeniu, że będzie w nim szalenie do twarzy — szufladzie, ale musi, jeśli jest dobrze wychowany, okazać wdzięczność i radość. Przytyka go więc do brody, cmoka ofiarodawczynię w rączkę i mówi, że właśnie taki krawat był mu potrzebny.

— Włóż go zaraz — piszczy kobietka.

— Nie mogę — kłamię — bo nie mam odpowiedniej koszuli.

I tu dopiero zaczyna się prawdziwa toaletowa tragedia. Kochaneczka jest szczodra, leci do miasta i kupuje koszulkę „odpowiednią” do krawacika. Jak wygląda owa koszulka — łatwo sobie wyobrazić. Cała w paseczki czerwono-żółte. Pannusieczka jest zachwycona.

— Pasuje, prawda?

Nieszczęsny obdarowany nie może się już wykręcić i musi to wszystko włożyć na siebie.

— A teraz pójdziemy do kawiarni, muszę cię pokazać w moich darach.

— Ja bym wolał do kina... a najchętniej przespałbym się z tobą troszeczkę na tapczanie... taki jestem zmęczony... tyle wrażeń....

— Mowij nie ma! Idziemy na spacer, a wieczorem zaprosiłam do siebie wszystkich twoich kolegów. Boże, jak ty wyglądasz w tej koszuli i w tym krawacie. Inny człowiek. Co to znaczy odpowiednie ubranie.

W małżeństwie, które jest instytucją o wiele wygodniejszą od „wolnej”, czyli niewolniczej miłości, sceny takie niemal nie zdarzają się. W małżeństwie wygląda to tak:

— I ty myślisz, że ja to na siebie włożę? Wstyd by mi było pokazać się w tej koszuli gdziekolwiek. Powiedz, gdzieś to świnstwo kupiła, i pójdziemy wymienić.

MAŁŻEŃSTWO DOSKONAŁE

Zgódźmy się przede wszystkim, że takie nie istnieje. Już jest dobrze, jeśli małżonkowie nie żyją z sobą jak pies z kotem, ale jak pies z psem, to znaczy, że czasem się ze sobą użerają, a czasem się sobie podlizują. Mężczyzna, żeniąc się, powinien uważać, ażeby nie musiał napisać na grobie swej żony tak, jak to zrobił pewien wdowiec: „Tu spoczywa moja małżonka — dla jej i mojego spokoju!”

Zasadą małżeństwa powinno być: „czyń drugiemu, co tobie miło”; poza tym kobieta powinna być jak herbata, to znaczy nie powinna zanadto naciągać.

Mniej więcej szczęśliwe małżeństwa powinny się dobierać nie zaletami, ale WADAMI. Nad tą głęboką prawdą, panowie, proszę się zastanowić. Mąż pijak, żona pijaczka — jakże zgodnie i miło ze sobą żyją! Mąż chodzi zalany w perłę, żona w podpalankę — czy to nie wzruszający widok? A mąż snob i żona snobka? Co to za idealne małżeństwo! Mąż mówi: — „Zaprosiłem na obiad hrabiego takiego a takiego albo ministra X”. A żona ze łzami w oczach rzuca mu się na szyję szepcząc: — „Och, jakiś ty dobry! Jak ty mnie kochasz!” Nie znamy takowych, ale możemy sobie wyobrazić, jak zgodne jest małżeństwo dwojga spekulantów; muszą być wobec siebie zupełnie szczerzy, bo inaczej mogliby sobie nawzajem „wpakować”.

Najzgodniejsze małżeństwo, jakie zdarzyło mi się w życiu spotkać, nieomal małżeństwo doskonałe, składało się z dwojga największych na świecie skąpców. W restauracji, do której przemocą zaciągnęli ich znajomi, dawali przykład wspania-

łego wzajemnego zgrania, jak również i wzajemnego poświęcenia.

— Nie jesteś głodna, kochanie, prawda? — zapytał czule mąż sknera.

— Oczywiście, że nie — odparła. — Kto by tam jadł o tej porze!

Dla przyzwoitości trzeba było jednak coś zamówić, mąż zamówił więc jeden kieliszek wódki i jedną kanapkę. Zjadł jednak tylko połowę kanapki i wypił połowę kieliszka, resztę podsunął żonie. Idealna żona, oceniając to nadludzkie niemal poświęcenie, wypila też tylko połowę i resztę przysunęła mężowi:

— Proszę cię bardzo, wypij tych kilka kropli na moje zdrowie!

— Kiedy ja to zostawiłem dla ciebie!

— Ja wiem, żeś ty się dla mnie poświęcił, ale mnie wódka szkodzi. Wypij za mnie, zrobisz mi tym prawdziwą przyjemność!

— W takim razie zamówię dla ciebie szklankę wody sodowej.

Skąpa żona też ma gest; stanowczo odmawia:

— Szkoda pieniędzy, mój drogi, musimy zbierać na raty.

Kiedyś skąpy mąż stracił trochę pieniędzy na nieudanej transakcji. Tak się tym przejął, że postanowił popełnić samobójstwo. Żona, rozumiejąc jego depresję, nie sprzeciwiała mu się zanadto, ale obliczywszy koszty pogrzebu pomyślała, że jednak należałoby go odwieść od tego zamiaru.

— A w jaki sposób chcesz popełnić samobójstwo? — pytała.

— Powieszę się! — wybuchnął mąż.

— Nie stać nas na to — odparła spokojnie żona.

— Jak to nie stać?

— Po prostu nie stać nas na kupienie porządnego przedwojennego sznura, który by się nie zerwał. Czy ty wiesz, ile teraz taki sznur musi kosztować? I skąd wziąć na to? Nie stać nas na takie zbytki!

— To w takim razie otworzę gaz na noc i zatruję się gazem.

— Taak? A ja później będę musiała zapłacić dodatkowy rachunek za gaz? Gaz wybij sobie z głowy!

— Utopię się! — jęknął nieszczęśliwy.

— Szkoda ubrania, mógłbyś je dobrze sprzedać, a tak zostawisz na brzegu, ukradną ci je i kilkaset złotych pęknie! Dojazd tramwajem do rzeki też nie był wliczony w nasz tygodniowy budżet. Zrezygnuj na razie z samobójstwa i napij się kieliszek wódki.

— Połowę — westchnął mąż — a ty wypijesz drugą!

— Wykluczone — odparła stanowczo skąpa żona — druga połowę kieliszka trzeba zostawić dla gości!

BAD DAYS

Czy wiecie, panowie, co to znaczy? — Znaczy to po angielsku „brzydkie dni”, a dosłownie „złe dni”.

Każdy mężczyzna miewa raz w miesiącu takie dni, które zwykle trwają dwie lub dwie i pół doby.

Co robi mąż podczas takiego okresu? Chodzi smutny, kwaśny, sztywny, jakby — nie „kij połknął”, ale krzyż. Nie mówi zwykle podczas owej trzydniówki nic albo tylko coś w rodzaju: — „Życie mi kompletnie zbrzydło” — albo z rzewnym, dalekim uśmiechem: — „To nawet nie jest czyściec, bo ja już od trzech dni nic... Kompletny zastój...”

Żona wówczas nie powinna go drażnić.

Są to objawy psycho-fizjologiczne, więc powinna chodzić koło niego jak koło chorego, pytania zadawać krótkie, rzeczowe, bo ilość słów męczy go. Pytania owe powinny być z dziedziny kulinarnej. Te go najmniej rozdrażnią: — „Wódeczki? Rosółku? Kanapkę? Kielbasę na gorąco?” Na wszystko odpowie: — „Spokoju, nic nie pragnę, tylko spokoju...”



Mądra żona nic sobie z tego nie powinna robić, tylko podsunąć mu do tapczanu, na którym, biedny, spoczywa, stolik suto zastawiony.

Gdy żona wyjdzie z pokoju, na pewno uszczknie coś z zagryzek.

U mężczyzn przewrażliwionych trzydniówka przyjmuje jeszcze groźniejsze formy.

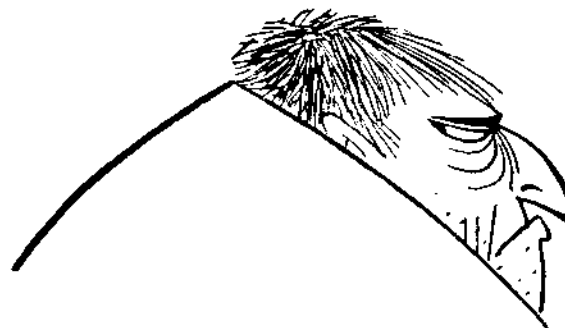
Żona wraca z zakupów do domu i widzi, jak „pan” składa swoje koszulki i pakuje do walizeczki.

— Co ty robisz?

— Wyjeżdżam...

— Dokąd?

— Nie wiem... Byle jak najdalej stąd...

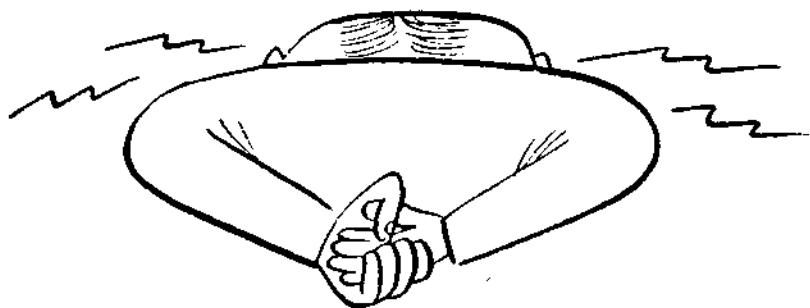


Dziewięćdziesiąt kobiet na sto zaczyna wówczas płakać. Bo i jakże tu nerwowo wytrzymać, gdy znikają w walizeczce miłutkie gatki, koszulki, które się razem wybierało, ubranko niedawno uszyte.

Pan jest wspaniałomyślny:

— Moją fotografię ci zostawię, z ręczników biorę ze sobą tylko trzy sztuki, z reszty pidżam będziesz mogła sobie uszyć letnią sukienkę... Mydło zostawiam. Kupię sobie inne gdzieś po drodze...

Im bardziej jest hojny i bezinteresowny, tym rzęsiściej płacze kobieta. Nie powinna jednak tego robić, bo za chwilę

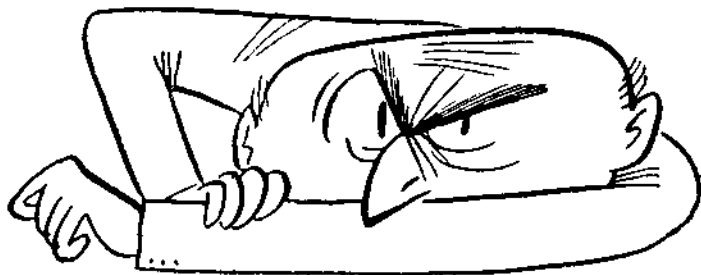


wróci jeszcze po krawat, potem po aparat fotograficzny, w tym czasie zje obiad:

— Choć dziwna rzecz... nie mam apetytu...

A potem się trochę zdrzemnie i postanowi... wyjechać na drugi dzień. Następny dzień to zwykle ostatni dzień trzydniówki, więc kryzys jest na ukończeniu i można mieć nadzieję, że wszystko niedługo wróci do normalnego trybu.

Najlepsza rada dla mężczyzn na przebycie owych fatalnych dni to: książka albo brydż. Wprawdzie taki partner bywa przy kartach w tym okresie bardzo przykry, agresywny, drażliwy, wciąż się pyta niedyskretnie: — Z czym? z czym pani licytowała bez atutu? — a potem, gdy wygra, nie chce przyjąć podartej setki, ale przynajmniej inni, nie biedna żona, cierpią na skutek jego *bad days*.



PRZEDWOJENNE ZASADY

Pan Leon Mniamnik, urzędnik magistracki w jednym z miast na zachodzie, postanowił się ożenić. Trafiło mu bardzo do przekonania zdanie, a raczej aforyzm, który gdzieś przeczytał: „W każdym wieku należy się żenić. W młodości żona jest kochanką, potem towarzyszką, a na starość nianką”. Drugi aforyzmik też rozczulił go i przekonał do małżeństwa: „Bardzo często oświadczasz się aniołowi, a żenisz się z kucharką!”

— Z kucharką? To świetnie — pomyślał Mniamnik. — Lubię dobrze zjeść, nie wydaję na to dużo pieniędzy. Ze stołówkami skończyłoby się wówczas, bo tak: jesz jeden obiad, to jesteś głodny, a każesz sobie dać drugi, dodatkowy, to się rozchorujesz.

Niestety, koleżanki, które pracowały w jego biurze, nie przypadły mu wcale do gustu.

— Jak ma na głowie, tak i w głowie — myślał spoglądając niechętnie na ich fryzury. „Každy dudek ma swój czubek”. Moja żona musi być skromnie i gładziutko uczesana, jak Smosarska w swoich pierwszych filmach. Musi być skromna, cicha, gospodarna i bardzo dziewczęca.

Zatykał uszy słysząc zawiesziste anegdotki, które opowiadały kolegom pracujące z nim panienki, anegdotki, w których nazwy nieskromnych części ciała wypowiedane były z takim spokojem, jak słowa ręka, noga, czoło.

— Nie, żadna z nich nie może zostać Mniamnikową — rozmyślał gryzając paznokcie.

— A gdybyś dał ogłoszenie do gazet — poradził mu ze

śmiechem jeden z kolegów — że poszukujesz panienki skromnej, cichej, niezepsutej, gospodarnej?

Ta myśl przypadła do smaku Mniamnikowi. W starych kufrach znalazł przedwojenne pisma codzienne i tam zaczął wyszukiwać rubryki pod „Różne” i „Matrymonialne”. „Cichy z klatki dla samotnej” — wpadło mu w oczy.

— „Cichy” pasowałoby do mnie — pomyślał pan Leon — „z klatki” również, bo przecież siedziałem w obozie, ale teraz należałoby wyszukać zalety, które ja pragnę znaleźć w mojej przyszłej...

Wzdrygnął się z obrzydzenia, gdy wyczytał następujące ogłoszenie: „Józio, Mieciu, Lulu, Pawełku, Dudusiu, Jasiu, Adasiu i ty, Andrzej — opuściliście mnie, a teraz co? Po odbiór dziecka zgłosić się ulica Równa nr 13, drugie piętro”.

— Fe! — zarumienił się wewnątrz Mniamnik. — Cóż za potworne zepsucie!

Czytając dalej natrafił na to, o co mu chodziło: „Poszukuję panienki skromnej, cichej, gospodarnej, o przedwojennych zasadach. Posag niewykluczony. Zgłoszenia z fotografią posyłać do redakcji IKC, Wielopole 1 -- pod „Mówią, że przystojny”.

— O, to właśnie doskonały wzór na moje ogłoszenie matrymonialne! — pomyślał pan Leon z zadowoleniem. — Tylko, ponieważ fotografie zawsze kłamią, więc po prostu podam swój adres i godziny przyjść.

Napisał więc na maszynie następujące ogłoszenie: „Kawaler na stanowisku pragnie tą drogą poślubić panienkę: skromną, cichą, gospodarną, mówią, że przystojną, o przedwojennych zasadach, posag niewykluczony. Przyjmuję codziennie między godziną 17—19, Rynek nr 55 — Leon Mniamnik”.

W dwa dni później ogłoszenie jego widniało jak byk w brukowym piśmie codziennym.

— No, no — śmieli się koledzy biurowi — jesteś sławny, zaczynają cię drukować!

Tydzień przeszedł i jakoś żadna młoda osóbką nie zjawiła się w jego mieszkaniu.

— Trzeba było jeszcze podać: „cichy z klatki” — żałował Mniamnik.

Któregoś jednak dnia, pod wieczór, odezwał się dzwonek. Pan Leon skoczył otworzyć. Do pokoju weszła jakaś osoba płci żeńskiej. Leon z bijącym sercem wprowadził ją do mieszkania, ale gdy zapalił światło, serce mu bić przestało. Osoba trzymająca w ręce numer pisma, w którym dał swoje ogłoszenie, była tęgą mamą o utlenionych na bladoblond włosach, o czarnych oczach, które wyglądały jak pająki w sieci (tyle wokoło nich było zmarszczek), z dużymi złotymi zębami na przodzie.

— Jestem skromną, cichą, gospodarną, o przedwojennych zasadach kobietą — rzekła mama — sądzę, że moja osoba spełnia w zupełności podane przez pana warunki.

— Ależ dobrodziko — jęknął Mniamnik — przecież pani, za przeproszeniem, mogłaby być... moją... ciotką.

Dama spojrzała na niego z oburzeniem.

— Trzeba wiedzieć, czego się chce, mój panie! Wyraźnie pan napisał w swoim ogłoszeniu, że poszukuje pan osoby o przedwojennych zasadach. Urodziłam się przed tamtą wojną, przyznaję, ale właśnie dlatego hołduję przedwojennym zasadom.

Z trudem wyperswadował biedny Mniamnik grubej mamie, że mu nie odpowiada, i w pokorze ducha zaczął oczekiwać dalszych wizyt.

Jako następna kandydatka zjawiła się u niego młoda panienska, dość przystojna, gładko uczesana, z dużymi kolczykami w uszach, w formie kwiatów.

— Te kolczyki schowam jej po ślubie — pomyślał chytrze Mniamnik.

— Co pani lubi? — zapytał pan Leon biorąc ją za rękę. — Dom, gospodarstwo, dzieci?

— To też — odparła panienska. — Ale jeśli mam być szczerą, to wolę się stołować w restauracji. Wolę też gatun-

kowe wódki od czystej. Kocham pracę, męża i umiem wówczas cichutko się zachowywać, najchętniej leżąc z książką na szezlongu. Wieczorem lubię gdzieś pójść, do teatru... do kina... na dansing.

— O, moja panno! — wybuchnął Mniamnik. — Na pewno nie zostanie pani moją żoną!

— Dlaczego? — zdziwiła się panienska — przecież pan wyraźnie zaznaczył, że pragnie pan poślubić osobę o przedwojennych zasadach, a przecież przed rokiem trzydziestym dziewiątym inaczej kobiety nie żyły.

Od tego czasu upłynął rok i Leon Mniamnik jest wciąż kawalerem. Zwierzył mi się niedawno, że pragnie znów dać ogłoszenie matrymonialne do gazet, ale następującej treści: „Kawaler etc., etc., pragnie poślubić dzielną młodą dziewczynę, gospodarną, mogącą dać utrzymanie mężowi i sobie, o POWOJENNYCH ZASADACH”.

ZAWIEDZONE AMBICJE

Każdy mężczyzna jest, zdaje się, projektem kogoś, kto coś nadzwyczajnego zrobi lub wymyśli.

Małżeństwo jest dla starszego, a niesławnego jeszcze bubka jakimś memento, że oto wszystko przepadło, że pisany mu jest tylko szary los, dom i żona (w przyszłości, niestety, własna stara baba!). Wielka miłość, reklamowana przez anonse kinowe, nie zadowoli nigdy i nie pocieszy ani trochę jego zranionej próżności. Może to tylko uczynić kochające serce kobiety. Ale kochać dowcipnie i mądrze, a przede wszystkim serdecznie — któraż kobieta to potrafi?

Mężczyzna żywi z zasady pretensje do zdobycia świata. Nawet... jeśli nazywa się Leonard Pała i jest urzędnikiem, miewa z pewnością nieraz głuche, nieokreślone uczucie buntu, jak nieświadomy siebie Achilles, więziony wśród fraucymeru. Jeśli ziemia odwraca się obojętnie od pp. Pały, Piernika lub Szracza, a w żadnej gazecie świata nazwisko ich nie figuruje — wówczas żona powinna zasłonić sobą ów niewdzięczny świat i wielbić męża siłą miliona ludzi.

Ale właśnie tego trudno się od kobiety spodziewać. Miłość ich dla mężczyzn rośnie lub zanika w zależności od cudzego zdania. Z wartością człowieka jest tak jak z dolarem. Dolar może być ładny i sympatyczny, nawet papierek, ale o jego istotnej wartości nie mogą przecież same kobiety decydować; muszą wpierw przeczytać gazetę.

Dlatego właśnie cichego Antoniego Piernika nie wielbią nigdy kobiety, za to każda bardzo chętnie padnie w objęcia jakiegoś bohaterowi lub sławnemu aktorowi filmowemu.

Powinno się, na wzór Indii, założyć Sekcję Wielbicieli, których opisuje Rabindranath Tagore w swoich nowelach. Członek tego towarzystwa wybiera sobie pierwszego z brzegu człowieka i wielbi go z rezygnacją przez długie lata. W ekstazie wywołanej uwielbieniem zacierają się nieistotne różnice między ludźmi i każdy staje się w oczach Wielbiciela istotą metafizyczną, daleką, nieskończenie głęboką, budzącą dreszcz upojenia i grozy. Do najdziwniejszych bohomazów można się przecież modlić i... nie obrażają się. Jest to nieszkodliwa i nawet zdrowa rozrywka.

O słodczy uwielbiania od rana do nocy bez żadnego powodu pana tego lub owego nie ma pojęcia ta, która tego nie spróbowała.

Mężczyźni bez pochlebstw giną.

I cóż wam szkodzi powiedzieć im czasem coś przyjemnego?

Jeśli wam ten wasz ślubny mąż nie imponuje niczym, to zważcie na jego wspałość, cudów dokonywającą męską rasę. I — w imię Edisona, Marconiego, Scotta, Shacklena i innych — pokłońcie mu się jako dalekiemu kuzynowi prawdziwych mężczyzn.



NIEPRZYJACIELE SŁABOŚCI

Mężczyźni uważają kobietę za rodzaj kuli u nogi. Toteż nie dbając o to, że się zniszczy i zużyje, ciągną ją w góry, taszczą w doliny, zmuszają do treningów, bo... któryż więzień dba tak bardzo o swoje kajdany?

Jednak trzeba się przeciw temu bronić, bo znów, w razie zaślabnięcia kobiety, mężczyzna wpada w zły humor, a nieraz nawet w pasję.

Mąż uznaje u żony tylko zwyczajny katar, przy czym sam ją zmusza do leżenia w łóżku. Lecz gdy rtęć w termometrze zaczyna się podnosić, przestaje go to bawić.

— To wszystko przez ciągłe mierzenie temperatury, ciągłe myślenie o chorobie! Czemu mnie nic nie brakuje? Bo jestem zdrow! Powiedz sobie, że ci nic nie brakuje — to będziesz zdrowa!

Ma trochę racji, bo z rtęcią w termometrze jest tak jak z tą kurą, co to: „dać jej grzędę, a ona mówi: — jeszcze wyżej siędę...”

Nie trzeba mierzyć zbyt często temperatury.

Istnieje hipoteza, że mężczyźni dwa razy silniej odczuwają każdy ból niż zwykły człowiek. Wystarczy porównać ból głowy u kobiety z tym samym cierpieniem u mężczyzny. Jak on go reklamuje, co wyprawia i jaki jest ciężko chory i nie-szczęśliwy, a wraz z nim cały dom!

Nie, stanowczo mężczyźni więcej cierpią.

Idealem dla każdego z tych panów jest kobieta dzielna, brunetka w białej bluzeczce i w angielskim kostiumie (zawsze się taka trafi), która tak opowiada, z papierosem w ręku, o przebyłym porodzie:

— Do końca grałam w brydża. Miałam właśnie zostać dziadkiem, gdy wtem zostałam matką...

Ta przynajmniej nie przesadza — mówią wówczas panowie.

Nie trzeba więc przesadzać, bo czymże są takie głupstwa wobec cierpień mężczyzny, gdy go główka boli!

SKLEPY

Nie można wymagać od męża, aby przystawał przed każdym sklepem z bielizną, bluzkami i szalikami. Gdyby stał długo przed wystawą pełną kombinacji damskich, toby mu się wreszcie twarz roześmiała, ale za to — charakter skrzywił.

Jeśli się więc nie chce zepsuć mężczyzny, to należy stawać z nim raczej przed księgarnią lub sklepem optyka, gdzie są o wiele ciekawsze dla niego rzeczy: szalki, ważki, lupy, lunety, tarantula w słoiku, aneroid i embrion nietoperza w spirytusie — jednym słowem wszystko, co może wpaść w męskie oko.

Trzeba się wraz z nim przyglądać temu wszystkiemu możliwie jak najdłużej.

Tylko nie należy równocześnie dużo mówić, bo mężczyźni wołają milczenie. Obecność drugiego indywiduum męczy ich i przyjemnie im jest o nim choć na chwilę zapomnieć. Kobieta ma zawsze coś do powiedzenia, mężczyzna zaś lubi sobie zamilczeć na każdy temat, bo gdyby ciągle gadał tak, jak to czynią kobiety, nie wymyśliłby na pewno ani kina, ani telefonu, ani nawet gramofonu.

Kobiety gadały, stroiły się, pachniały pięknie, mieszkały przed lustrem, a wymyśliły jedynie dzieci, opakowania słoików z konfiturami i powiedzenie:

„Mąż jest głową domu, a kobieta szyją, która tą głową kręci”.

Mężczyźni wymyślili lepsze dowcipy.

DOBROBUT

Przed wojną na Lesznie w Warszawie mieszkał znakomity szewc, którego firma nosiła tę dowcipną nazwę. Szewc ten zapewne zginął podczas wojny, bo inaczej odczwałby się do swych dawnych klientek.

DOBROBUT — równa się DOBROBYTOWI. Jak się nie ma „dobrobuta”, to o dobrobycie nie może być również mowy. Bo pamiętajcie o tym, panowie, że dobry but — to znaczy taki but, który nie ciśnie, nie gniecie; to dobre samopoczucie, dobry humor i dobry charakter. Buty niewygodne nie tylko gniotą i uwierają, ale również „piją”. A but, który „pije”, to już szczyt nieszczęścia. Żaden ząb, żadna głowa — nic nie potrafi tak boleć, jak antypatyczny zazwyczaj „duży palec”, gdy ma za ciasny but. Brzydki ten twór posiada u pań paznokiec albo czerwony albo szary (innego wyjścia nie ma), u mężczyzn zaś jest zawsze naturalnego koloru, czyli seledynowy. Seledyn ów zmienia się w głęboki fiolet, gdy buty „piją”, a właściciel butów przeistacza się z pyknika w ponurego schizofrenika.

Jestem pewna, że wielu mężów stanu, którzy decydowali o losach świata, miało — w momencie powzięcia decyzji, czy rzucić płonące żagwie w świat, czy też jeszcze zaczekać — gniotące i niewygodne buciory.

Buty więc, panowie, należy kupować na nogę, a nie „na oko”. Niestety, obecnie coraz częściej nosi się buty „na oko”. Przede wszystkim buty robione na miarę są tak poważnym wydatkiem, że mało kto z nas może sobie na nie pozwolić, a po drugie zaci krewni, znajdujący się za granicą, przysyłają nam świńskie półbuciki, które czasem są tak

piękne, że nie ma się serca ich sprzedać i nosi się je, psując sobie tym samym nogi i... charakter.

Strasznych rzeczy powodem bywa nieraz ciasny i niewygodny but. Znam pewnego młodzieńca, który w jasnobeżowych, za ciasnych zagranicznych półbutach wdepnął w... małżeństwo. Opowiadał mi to sam ze łzami w oczach. A było to tak.

Szedł piechotą na daleki zamiejski spacer ze znajomym dziewczęciem, które go trochę grzało, a trochę ziębiło (wrodzoną głupotą, połączoną z nadprzyrodzonym sprytem). Każdy krok w przepięknych zagranicznych butach był dla niego torturą nie do zniesienia. W pewnym momencie, nie mogąc już dłużej wytrzymać, zaproponował dziewczęciu, ażeby spojrzeć w przydrożnym lasku.

— Czy ci to nie będzie przeszkadzało, Laleczko, że zdejmę buty? — zapytał z uśmiechem umierającego łabędzia.

— O, świetnie — zawołała „laleczka” — ja zdejmę też, ale sukienkę również, bo mi jest strasznie gorąco.

Co później nastąpiło, można się domyślić.

— Jako dżentelmenowi — zauważyła „laleczka” po godzinie — nie wypada ci teraz nic innego zrobić, jak tylko się ze mną ożenić, inaczej powiem tatce, tatko powie to dyrektorowi, a dyrektor wyrzuci cię z posady!

Ożenił się więc biedny, przeklinając piękne, za ciasne beżowe buty. Od tego czasu nosi, w lecie sandały, w których wygląda jak święty Piotr Apostoł lub ks. Kneipp. Nic mu to już zresztą nie pomoże, dziś, kiedy tak strasznie wdepnął! Butów nie należy więc kupować „na oko” ani w znajomej owocarni, pralni chemicznej lub w sklepie z żelazem. Są to tak zwane okazje, a każdy kupiec, pamiętajmy o tym, jest hipnotyzerem.

— Mam tu okazjnie do sprzedania piękne, bardzo tanie buciuki — powie ci znajomy fryzjer, cukiernik lub piekarz. — Będą na szanownego pana jak ulał!

Przymierzasz zachęcony niezbyt wysoką ceną i zaczynasz spacerować w nich po sklepie na rozłożonej gazecie.

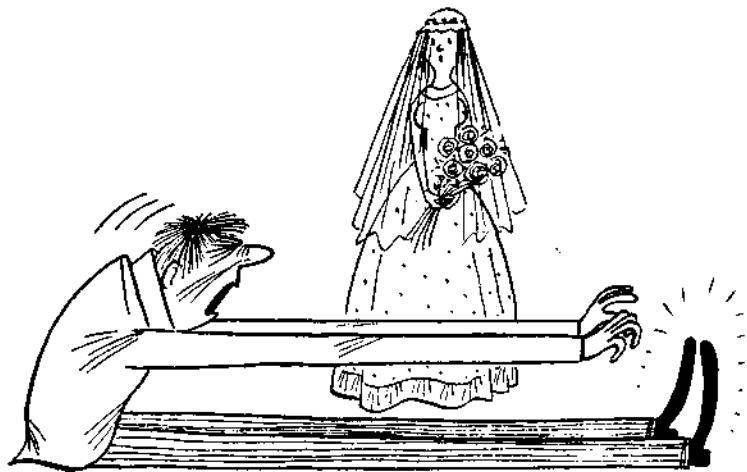
Rzeczywiście — powiesz wahajaco pod wpływem wzroku hipnotyzera-kupca — nawet dosyć wygodne... ten lewy trochę ciśnie...

— Teraz ciśnie — mówi hipnotyzer — bo nóżka jest od gorąca spuchnięta, ale jak szanowny pan wróci do domu, nóżki włoży do zimnej wody, to buciczki będą bardzo wygodne. Przecież to pański numerek...

Po czym nie czekając na dalsze zastrzeżenia klienta, owija szybko stare buty w papier dodając jeszcze na pożegnanie, że klient miał prawdziwe szczęście, bo tu już kilku panów się o te buty pytało i chcieli je kupić.

Już po drodze od spożywczego sklepiku do domu biedny nabywca czuje, że lewy but będzie narzędziem tortur, czymś w rodzaju starodawnego hiszpańskiego buta, który zaciskany przez oprawcę, miażdżył kość. Ale przypadło: pieniądze zapłacił, buty już przybrudzone — nie ma rady, będzie w nich musiał chodzić!

Jedynym wyjściem w takim wypadku, gdy się uległo hipnoznie sprzedawcy, byłoby, idąc w nowych butach, kłaść wciąż przed sobą na chodniku gazety. Wówczas i but byłby cały, i sprzedawca wściekły, bo niewygodne buciska można by mu oddać w stanie niemal dziewiczym...



BRZYDKIE STWORZENIE

Trzeba pamiętać o tym, że mężczyźni są na ogół mało przystojni. Mają zatem odrębną psychikę istot nie poczuwających się do kokieterii ani wobec przyrody, ani wobec ludzi, ani wobec lustra, ani wobec zwierząt.

Gdy się jest piękną jak marzenie, upudrowaną ślicznotką, o rzęsach czarnych i sztywnych, o oczach jak kwiaty cykorii, a ustach jak wiśnia bez pestek — to się ma ochotę do rozczulania się i nad biednymi, i nad wróblami, i nad wierszami, i nad samą sobą. Ale istota mało dekoratywna nie czuje potrzeby podobnej ekspansji uczuciowej.

Każda z nas wie dobrze, jak trudno współczuć z głodnymi ptaszkami w zimie lub umierającymi motylami w lecie, gdy się ma kapelusz nie do twarzy lub pryszcz na brodzie.

Nawet na koncercie, gdy się czuje, że się wygląda brzydko i że nieznamoma kobieta, siedząca, nie wścieka się ani trochę — nie można się szczerze przejąć muzyką i ulatywać na skrzydłach pieśni.

Toteż nie miejmy żalu do mężczyzn, że nie są czarującymi wszystkich poetami.

Człowiek bez piękności wyrasta twardy, prozaiczny i trzeźwy.

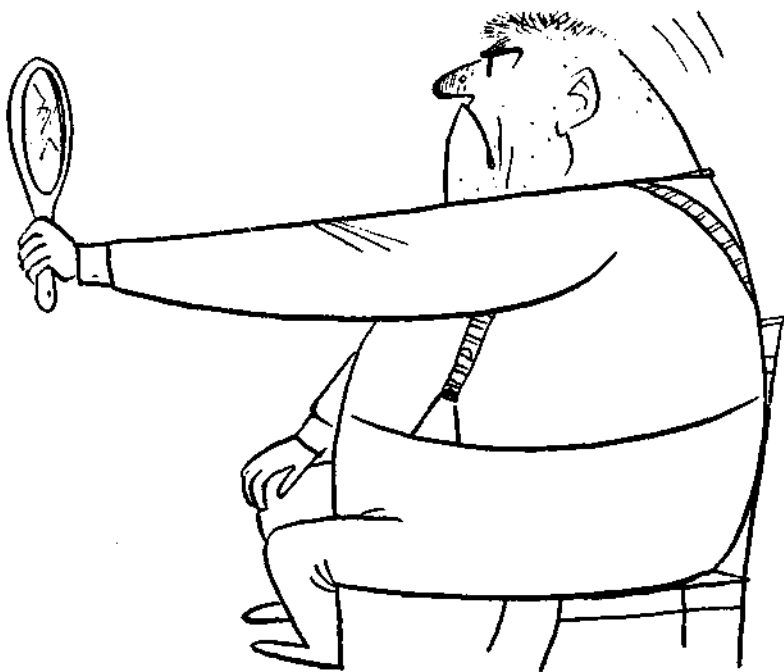
Niektórzy, zrezygnowani, nabierają zamiłowania do swej brzydoty i tarzają się w niej po prostu. Łysinę witają z entuzjazmem, a na wszelkie uwagi krytyczne odpowiadają wybuchami złości.

Patrząc na ładną żonę mówią sobie z triumfem:

— Jesteś ładna, a będziesz coraz mniej ładna. Ja zaś jestem brzydki i będę coraz brzydszy.

Na to jedyną radą jest wynaleźć sobie na pociechę przyjaciółkę, która ma jeszcze brzydszego męża, lub też brzydką przyjaciółkę, która ma bardzo pięknego męża.

Jedno z dwojga.



PIJE KUBA DO INKUBA

W pewnym dziełku, wydanym przez Towarzystwo Metapsychiczne pt. *Wstęp do wtajemniczenia*, przeczytałam bezcenne i rewelacyjne zdania o chwilowym opętaniu.

Człowieka — według słów autora — otacza niewidzialna siatka ochronna. Zboczenia seksualne, a przede wszystkim alkoholizm, zdolne są uszkodzić ową siatkę; wówczas do człowieczej jaźni włączają różne demony, inkuby i inne złe moce, które każą mu działać według swoich zachcianek i fantazji, często groźnych dla niego i jego otoczenia. Po otrzeźwieniu inkub znika wraz ze skutkami przepicia, a biedny alkoholik dopiero od znajomych dowiaduje się, co podczas owego opętania wygadywał i wyczyniał. Pijaczyna zielenieje i za obolałą głowę się łapie, gdy mu znajomi na drugi dzień opowiadają, co on, ów łagodny i spokojny z natury człowiek, wyprawiał.

— To — powiadają — żeś się zamknął na godzinę w pewnej ubikacji i przez godzinę nie wpuszczałeś tam spragnionych samotności — to się może zdarzyć; żeś panią domu nazwał starą taką a taką... w obecności jej męża — to też po pijanemu może się przytrafić; ale żeś wypił całą wodę z akwarium, a rybki wypłynęły przez okno — tego ci w żaden sposób nie można darować. Tym bardziej że darłeś się przy tym: — „Muszę mieć coś z ryb!”

Najlepszym dowodem opętania jest właśnie to, że ciężko załany nic nie pamięta z tego, co wyprawiał. Stawszy się znów sobą płacze, przeprasza, posyła obrażonym kwiaty i przysięga, że jeśli to prawda, że się w ten sposób zachowywał, to zupełnie bezwiednie i mimo woli.



Demony, uszkodziwszy siatkę ochronną wcielają się w człowieka w najrozmaitsze inkuby i nigdy nie wiadomo, który z nich spokojnego obywatela opęta.

Niezbyt groźny, ale za to najbardziej uprzykrzony jest inkub-Płeciuga. Opętawszy istotę człowieczą mówi przez jej usta w ten sposób:

— Ja bardzo przepraszam, ja ogromnie przepraszam, ale jeśli się pani ze mną nie napije, to ja tu wewnątrz... rozumie pani? Warszawa... pani już wie... i ten brunet, który był wtedy z panią... Ale to nieważne, proszę się napić. To nie o to chodzi, ale człowiek, pani rozumie, ma jeszcze coś. Psiakrew! Ma coś czy nie ma? Bo jak nie ma... to nie o to chodzi, to wszystko nieważne. Rączuchny całuję i proszę się napić... Ja wiem, ja nie jestem na pani poziomie... ale to nieważne. Phii!... cóż pani w ogóle sobie myśli? Chodzi o to, co w środku! Nie ma środka, są środkiki, ale to nie o to chodzi itd... itd...

Bardzo nieprzyjemny w towarzystwie jest typ opętany przez inkuba-Plugawca, który dobitnym głosem, całkiem niepodobnym do jego zamazanego głosiku, zaczyna nagle wypowiadać cały słownik najordynarniejszych wyrazów, akcentując przy tym pierwszą, zwykle najnieprzyzwoitszą literę.

Bardzo często spotykany jest też inkub-Erotoman. Ten, będąc również niewybredny, jak diabeł na sabacie czarownic, każe swojej ofierze obcałowywać na przyjęciu najstarsze damy, które często biorą to na serio i na drugi dzień obdzwanniają go telefonami, mówiąc mu swoje imiona i nazwiska, których on zupełnie nie zna i których, jak twierdzi, nigdy w życiu nie słyszał.

W pijanego wcielają się też czasem cudzoziemskie inkuby, a wówczas opętany zaczyna nagle pleść coś okropną francuszczyzną lub łamaną angielszczyzną.

Dla żon bardzo groźne jest opętanie mężów przez inkuba Ruchomego. Ruchomy inkub, bestia o niespożytych siłach, każe zalanemu mężowi przenosić się z knajpy do knajpy, aż w końcu, biedny, gdy już nikt nie chce mu towarzyszyć, zni-

ka w czeluściach nocy i dopiero nazajutrz znajdują go smacznie śpiącego na środku jezdni, na schodach obcej kamienicy, na wozie z węglem, na dnie strumyka — jednym słowem w najmniej stosownych miejscach.

Zdarzają się również inkuby o złodziejskich nawyczkach; te każą swojej ofierze chować do kieszeni cudze kieliszki i popielniczki. Mąż wróciwszy nad ranem do domu wyciąga nagle z kieszeni zamiast chustki do nosa... damską kombinację i słusznie wówczas przysięga, że mu ją chyba sam diabeł tam włożył, bo on by przecież czegoś podobnego nigdy nie zrobił.

Bardzo często, nawet w najlepszych towarzystwach, spotykany jest inkub-Tłuczek.

Ten każe opętanemu śpiewać: „Więc pijmy zdrowie, szwoleżerowie, niech troski zginą w rozbitym szkle...” — i w tym miejscu rymś... o ścianę kieliszkiem; i to zwykle o ścianę ozdobioną kosztownym lustrem.

Inkuby-Tłuczki bardzo często opętują kobiety, tak samo jak i inkuby-Erotomany; wszystkie inne wyżej wymienione wolą mężczyzn.

Jako konkluzja — skromna rada:

Oczywiście pić musimy, bo jesteśmy nędznymi, przyziemnymi robakami, które czasem zalać trzeba, ale, na miłość boską, nie pijmy tego przedostatniego kieliszka, który przerywa naszą siatkę ochronną i oddaje nas w ręce groźnych inkubów.



AFORYZMY

Nawet najwięksi egoiści kochają swoje matki. Nie mogą im zapomnieć tego, że ich na świat wydały.

Tęsknota za dzieckiem przejawia się u mężczyzny tym, że sam dziecinnieje.

Czego się Jaś za wcześnie nauczy, tego Jan najczęściej nie umie.

Mężczyzna dekoltuje się do mycia i gwizdze. Prawdopodobnie dla dodania otuchy sobie i innym, którzy by go przypadkiem zobaczyli w tym stanie.

Przyjaciół męża jest zawsze wrogiem żony — o ile nie jest jej kochankiem.

Mężczyźni w Polsce nie lubią kobiet. Może dlatego, że im nie mogą dorównać w zniewieściałości.

Mężczyzna nie lubi, aby w domu był ktoś nudniejszy od niego. Trzeba na to bardzo uważać.

Na małżeństwie każdy prawie wychodzi jak Piekarski na mękach.

Małżeństwo nie jest powieścią ani romansem. Byłaby to powieść bez sensu i tak nudna, że żaden wydawca by jej nie przyjął, a autor jej zginąłby marnie z głodu.

W ogrodzie zoologicznym w Berlinie na klatkach widnieją napisy: *Nicht füttern und nicht necken* (Nie karmić i nie drażnić). Gdyby mężczyźni siedzieli w klatkach, to napisy powinny by wyglądać następująco: *Häufig füttern, doch nicht necken* (Często karmić, ale nie drażnić).